



Seanan McGuire

*Pod cukrowym
niebem*

W nieobecny m śnie

POD CUKROWYM NIEBEM
W NIEOBECNYM ŚNIE

Seanan McGuire

Przełożyła Anna Reszka

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2024

Spis treści

Pod cukrowym niebem

Część I. Puste miejsca

Z powrotem w domu

1. Jedne drzwi się otwierają, inne są wyważane z zawiasów
2. Grawitacja przytrafia się najlepszym z nas
3. Córka martwej kobiety

Część II. Do Krainy Umarłych

4. Co pogrzebane, nie ginie, tylko jest schowane
5. Miejsca żywych, miejsca umarłych
6. Płacimy, ile trzeba; życie toczy się dalej

Część III. Upiecz mi górę, połukruj niebo

7. Jeńcy cudzej wojny
8. Najwyższa wieża
9. Taniec z Królową Ciasta
10. Farma kukurydzianych cukierków

Część IV. Tutaj zmieniamy świat

11. Cukier, przyprawy i cena do zapłacenia
12. Opowieść Piekarki

Część V. Co wydarzyło się później

13. Pora ruszać
14. Utopiona Dziewczyna

W nieobecny śnie

Część I. Co zbierzemy

1. Całkiem zwyczajny ogród
2. Kiedy drzwi nie są drzwiami?
3. Zasady to zasady, bez wyjątków, bez odwołania
4. Uczciwa cena
5. Początek się kończy

Część II. Najpierw trzeba zasiać

6. Z powrotem za niemożliwymi drzwiami
7. Leć, leć z dala od domu
8. Przy ogniu
9. Ze wstążkami we włosach

Część III. Gdzie będziemy

10. W którym polowanie zaczyna się i kończy
11. W powietrzu czystym jak kryształ
12. Na skrzydłach tak szerokich

Część IV. Musimy iść pierwsi

13. Jeszcze jedno drzwi
14. Obietnice i papierkowa robota
15. Uczciwa cena

Epilog. Chodźcie, kupujcie

Tytuł oryginału: *Beneath the Sugar Sky. In an Absent Dream*

Copyright © 2017, 2019 by Seanan McGuire

Copyright for the Polish translation © 2024 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Alicja Laskowska

Korekta: Magdalena Górnicka, Elwira Wyszyńska

Ilustracja na okładce: Dominik Broniek

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-68069-63-1

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

Pod cukrowym niebem

Midori, której drzwi czekają otworem

Cukier, mąka i cynamon nie stworzą domu, więc upiecz ściany z piernika i posłódź je kością. Jajka, mleko i bita śmietana, masło do maselnicy, upieczmy naszej królowej zamek, żeby do nas wróciła.

Dziecięca wyliczanka, Kraina Słodczy

Część I

Puste miejsca

Z powrotem w domu

Dzieci zawsze ześlizgiwały się w królicze nory, wpadały w lustra, były porywane przez tornada albo powodzie niespotykane akurat o tej porze roku. Dzieci zawsze „podróżowały”, a ponieważ są młode, bystre i pełne sprzecznosci, ich wyprawy nie ograniczały się do tego, co możliwe. Dorosłość przynosi ze sobą bariery, takie jak grawitacja, przestrzeń liniowa, pogląd, że pora snu to rzecz obiektywna, a nie sztucznie narzucone ograniczenie czasowe. Dorosli nadal mogą sturlać się do króliczej nory albo trafić do zaczarowanej szafy, ale zdarza się to coraz rzadziej z każdym mijającym rokiem. Może taka jest naturalna konsekwencja życia w świecie, w którym ostrożność to cecha konieczna do przetrwania, a logika wyklucza możliwość istnienia czegoś większego i lepszego niż to, co oczywiste. Dzieciństwo się kończy, zasady wypierają porywy fantazji. Tornada zabijają ludzi, a nie przenoszą ich do magicznych światów. Gadające lisy są objawem gorączki, a nie wysłannikami oznaczającymi początek wielkiej przygody.

Lecz dzieci, ach, dzieci... One podążają za lisami, otwierają szafy, zagląдают pod mosty. Dzieci wspinają się na mury, wpadają do studni i balansują na krawędzi możliwości, aż czasami – tylko czasami – to, co możliwe, poddaje się i pokazuje im drogę do domu.

Rola zbawcy świata cudów i magii, nim skończy się czternaście lat, właściwie nie uczy ostrożności, a wiele dzieci wpadających w szczeliny świata, w którym się urodziły, pewnego dnia otworzy niewłaściwe drzwi, spojrzy przez niewłaściwą dziurkę od klucza i trafi z powrotem tam, skąd wyruszyły. Dla niektórych jest to błogosławieństwo. Innym łatwo zostawić przygody i niemożliwości za sobą, wybrać rozsądek, przewidywalność i świat, z którego pochodzą. Dla innych...

Dla innych pokusa świata, do którego pasują, jest zbyt wielka, żeby przed nią uciec, i resztę życia spędzą na stukaniu w okna i zaglądaniu w dziurki od klucza, żeby znaleźć drogę do domu. Znaleźć idealne drzwi, które mogą je tam zaprowadzić wbrew wszystkiemu, wbrew nieprawdopodobieństwu.

Ich rodzinom może być trudno zrozumieć dzieci, które wróciły. Ludziom, którzy nigdy nie mieli własnych drzwi, te cudowne dzieci wydają się kłamcami. Marzycielami. Ci litościwi uważają je za... chore, ci okrutni – za nienormalne. Coś należy z nimi zrobić.

Na przykład przyjąć do Domu Eleanor West dla Zbłąkanych Dzieci – szkoły dla tych, którzy wrócili i mają nadzieję znowu odejść, kiedy powieje właściwy wiatr, kiedy gwiazdy będą jasne, kiedy świat przypomni sobie, co to znaczy mieć litość dla tęskniących i zagubionych. Tam mogą przebywać wśród siebie podobnych, zakładając, że w ogóle tacy istnieją. Mogą przebywać z ludźmi, którzy rozumieją, co to znaczy mieć zamknięte drzwi do domu. Zasady szkoły są proste. Zdrowiej. Nie trać nadziei. I jeśli się uda, znajdź drogę powrotną do miejsca, do którego należysz.

Żadnych domokrażców. Żadnych gości.

Żadnych kwest.

Jedne drzwi się otwierają, inne są wyważane z zawiasów

Jesień zawitała do Domu Eleanor West dla Zbłąkanych Dzieci, objawiając się w typowy sposób: liśćmi zmieniającymi barwę, brązowiejącą trawą, zapachem deszczu w powietrzu, zapowiedzią nowej pory roku. Krzaki jeżyn rosnące w głębi podwórza obsypały się owocami, kilkoro uczniów spędzało przy nich popołudnia z koszami w rękach; ich palce robiły się fioletowe, a wściekle serca się uspokajały.

Kade sprawdzał kit w oknach i uzupełniał go w miejscach, gdzie wilgoć mogłaby dostać się do środka. Jednym okiem zerkał na bibliotekę, drugim w niebo.

Angela też patrzyła w niebo, czekając na deszcz, w zwykłych butach na nogach i z parą zaczarowanych butów przewieszoną przez ramię; ich sznurówki były zawiązane na skomplikowany supeł. Jeśli światło i woda połączą się właśnie w taki sposób, jeśli tęcza dotknie miejsca, którego będzie mogła dosięgnąć, Angela zniknie, a potem będzie biegła i biegła, aż dotrze do domu.

Christopher, którego drzwi miały się otworzyć – jeśli w ogóle kiedyś odnajdzie drogę powrotną do domu – w Dzień Zmarłych, siedział w zagajniku za domem i grał coraz bardziej wyrafinowane melodie na kościanym flecie, próbując przygotować się na rozczarowanie, kiedy drzwi się nie pojawiają, albo na wszechogarniającą radość, kiedy Szkieletowa Dziewczyna wezwie go tam, gdzie było jego miejsce.

I tak w całej szkole uczniowie szykowali się na zmianę pory roku w sposób, który wydawał się dla nich najwłaściwszy, najbardziej kojący, najlepszy do przetrwania zimy. Dziewczyny, które trafiły do światów, gdzie rządziło lato, zamknęły się w swoich pokojach i płakały, przerażone widmem kolejnych sześciu miesięcy w tym miejscu, które nie wiedzieć kiedy stało

się więzieniem. Inne, przybyłe z krain wiecznego śniegu, ciepłych futer i słodkiego grzanego wina, cieszyły się, bo dostrzegły szansę, że jak kwiat otworzy się przed nimi droga powrotna.

Sama Eleanor West, w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat tak żwawa, że mogłaby uchodzić za sześćdziesięciolatkę – i często właśnie tyle lat dawali jej ludzie spoza szkoły – chodziła teraz po salach i okiem cieśli wypatrywała na ścianach wyrzuseń, a na sufitach śladów pleśni. Majstrowie co roku musieli dbać o ich stan. Panna West nienawidziła związanych z tym niedogodności. Dzieci nie lubiły udawać zwykłych młodocianych delikwentów, odesłanych przez rodziców za podpalenia albo wybijanie szyb, podczas gdy w rzeczywistości zostały odprawione za zabijanie smoków i upieranie się przy swoim. Kłamstwa wydawały się błahe, ale dyrektorka nie mogła winić uczniów, że tak właśnie się czują, choć sądziła, że zaczęłyby inaczej śpiewać, gdyby zaniedbała konserwację i komuś spadł na głowę kawał tynku.

Szukanie równowagi pomiędzy potrzebami uczniów a potrzebami szkoły było męczące, więc Eleanor tęskniła za powrotem do Nonsensu i beztroski, która, jak wiedziała, gdzieś tam na nią czekała w złotej krainie przyszłości. Podobnie jak dzieci, które wzięła pod opiekę, Eleanor West próbowała wrócić do domu, odkąd tylko sięgała pamięcią. W przeciwieństwie do większości z nich, jej walkę odmierzano się w dekadach, a nie w miesiącach. I w przeciwieństwie do większości z nich, Eleanor widziała, jak dziesiątki wędrowców znajdują drogę powrotną do domu, podczas gdy sama trwała w tym miejscu i nie mogła za nimi podążyć, nie mogła zrobić nic, tylko płakać.

Czasami myślała, że może właśnie na tym polega prawdziwa magia tego świata: tyle dzieci znalazło drogę do domu, będąc pod jej opieką, a jednak żaden rodzic nie oskarżył jej o zaniedbanie ani nie domagał się śledztwa z powodu zaginięcia ukochanej latorośli. Panna West wiedziała, że rodzice kochają swoje dzieci. Słyszała, jak ojcowie płaczą; ścisnęła ręce żon, które stoicko wpatrywały się w mrok, niezdolne się poruszyć, niezdolne pojąć ogromu swojego żalu. Ale nikt z nich nie nazwał jej zabójczynią ani nie zażądał zamknięcia szkoły. Oni wiedzieli. Czuli to w głębi serca. Na długo przed tym, jak zjawiała się u nich z podaniami w rękę, wiedzieli, że dzieci wróciły do nich tylko po to, żeby się pożegnać.

Jedne z drzwi się otworzyły i wyszła z nich dziewczyna z nosem w telefonie. Eleanor się zatrzymała. Kolizje były nieprzyjemną rzeczą i w miarę

możliwości należało ich unikać. Uczennica ruszyła w jej stronę, nie odrywając oczu od wyświetlacza.

Dyrektorka stuknęła łaską w podłogę. Dziewczyna stanęła i podniosła wzrok. Na jej policzkach wykwitły czerwone plamy, kiedy zobaczyła, że nie jest sama.

– Eee... – bąknęła. – Dzień dobry, panno West.

– Dzień dobry, Coro. I, proszę, mówi mi Eleanor. Może jestem coraz starsza, ale nigdy nie byłam panną. A ściślej mówiąc, nie byłam nią w miejscach, do których zwykle wędrowałam.

Cora wyglądała na zdezorientowaną. Taka reakcja nie była niczym niezwykłym u nowych uczniów. Wciąż przyzwyczajali się do myśli, że istnieje takie miejsce, gdzie ludzie im wierzą, gdzie opowiadanie o niemożliwych rzeczach spotyka się ze wzruszeniem ramion albo uwagą o czymś równie niemożliwym, a nie z drwiną albo oskarżeniem o brak piątej klepki.

– Tak, proszę pani – powiedziała w końcu.

Dyrektorka stłumiła westchnienie. Cora wkrótce sama się przekona. Jeśli nie, to Kade z nią porozmawia. Został jej zastępcą po śmierci Lundy, a Eleanor źle się z tym czuła – był jeszcze chłopcem i powinien nadal biegać po łąkach i wdrapywać się na drzewa, a nie zajmować się papierkową robotą i układać program nauczania. Lecz Kade był szczególnym przypadkiem, a ona nie mogła zaprzeczyć, że potrzebna jej była pomoc. W przyszłości to on miał kierować tą szkołą. Lepiej, żeby już teraz zaczął się do tego przygotowywać.

– Jak ci idzie aklimatyzacja, kochanie? – zapytała Eleanor.

Cora się rozpromieniła. Zadziwiająco, jaka ładna się robiła, kiedy przedstawiała wyglądać na ponurą, zakłopotaną i trochę zagubioną. Była niska i zbudowana z samych krągłości: łagodne wzniesienia piersi i brzucha, lekka pulchność ramion i ud, zaskakująca delikatność nadgarstków i kostek. Oczy miała niebieskie, włosy, długie i niegdyś naturalnie brązowe jak trawa na podwórku, teraz mieniły się najróżniejszymi odcieniami zieleni i błękitu jak u tropikalnej ryby.

(Gdyby dziewczyna została tu dostatecznie długo, włosy by jej urosły i wróciły do naturalnego koloru. Eleanor spotykała dzieci, które przeszły przez te same drzwi co Cora, dlatego wiedziała, choć nie zamierzała jej tego mówić, że w dniu, kiedy zieleń i błękit zaczną blaknąć – czy to będzie jutro, czy za rok – drzwi zamkną się na zawsze, a jej uczennica utknie w tym miejscu, wyrzucona na obcy brzeg).

– Wszyscy są naprawdę mili – zapewniła Cora. – Kade mówi, że wie, gdzie na kompasie znajduje się mój świat, i pomoże mi poszukać innych ludzi, którzy tam trafili. A Angela przedstawiła mnie innym dziewczynom. Kilka z nich również było w wodnych światach, więc mamy o czym rozmawiać.

– To cudownie. – Eleanor mówiła to szczerze. – Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować, dobrze? Chcę, żeby wszyscy moi uczniowie byli zadowoleni.

– Tak, proszę pani. – Uśmiech zniknął. Cora schowała telefon do kieszeni. – Muszę iść. Razem z Nadyą wybieramy się nad staw.

– Przypomnij jej, proszę, by wzięła kurtkę. Ona łatwo marznie.

Dyrektorka odsunęła się na bok, a Cora oddaliła się pośpiesznie. Eleanor nie potrafiła już dotrzymać kroku uczniom i uważała, że to dobrze. Im szybciej przestanie być przydatna, tym szybciej wróci do domu.

Ale starzenie się tak ją męczyło.

Cora zbiegła po schodach, lekko przygarbiona, spodziewając się drwin albo zniewag, ale żadnych nie usłyszała. W ciągu sześciu tygodni, odkąd zjawiała się w szkole, nikt nie nazwał jej „grubą”, co bywało innym określeniem „potwora”. Ani razu. Kade, który nieoficjalnie pełnił rolę krawca i posiadał kolekcję ubrań, które w ciągu dziesiątków lat zostawili odchodzący uczniowie, obejrzał ją od stóp do głów i podał liczbę, po usłyszeniu której Cora miała ochotę umrzeć, póki nie uświadomiła sobie, że w jego tonie nie ma oceny. On po prostu chciał dopasować dla niej strój.

Inni uczniowie droczyli się ze sobą, kłócili i wyzywali, ale te przezwiska zawsze dotyczyły rzeczy, które robili, albo miejsc, do których trafili, a nie tego, kim byli. Nadya nie miała prawej ręki do łokcia, a nikt nie mówił na nią „kaleka” czy „inwalidka”, co z pewnością by ją spotkało w dawnej szkole Cory. Jakby wszyscy tutaj nauczyli się być trochę mili albo przynajmniej bardziej uważali na język.

Cora była gruba przez całe życie. Jako niemowlę, jako małe dziecko na lekcjach pływania i jako starsza dziewczynka w szkole podstawowej. Dzień po dniu dowiadywała się, że „gruba” to inny sposób, by powiedzieć: bez-

wartościowa, brzydka, niechciana, odrażająca, bezużyteczna. Zaczęła im wierzyć w trzeciej klasie, bo co innego miała zrobić?

Potem trafiła do Rowów (nie myśl o tym, jak się tam znalazłaś, nie myśl o tym, jak mogłabyś tam wrócić, nie rób tego) i nagle stała się piękna. Nagle była silna, odporna na zimno wody, zdolna nurkować głębiej i pływać szybciej niż ktokolwiek w szkole. Raptem została bohaterką – dzielną, radosną i kochaną. A w dniu, w którym wciągnął ją wir i wyrzucił na jej własnym podwórku, znowu na suchy ląd, bez skrzeli na szyi i bez płetw na stopach, chciała umrzeć. Sądziła, że już nigdy więcej nie będzie piękna.

Lecz może tutaj... może tutaj tak. Może tutaj będzie mogła. Wszyscy inni walczyli o poczucie bezpieczeństwa, piękna, przynależności. Może jej też się to uda.

Nadya czekała na ganku, oglądając paznokcie z intensywnością tamy, która zaraz pęknie. Na dźwięk zamykanych drzwi podniosła wzrok.

– Spóźniłaś się. – W jej mowie krył się duch lekkiego rosyjskiego akcentu i owijał wokół samogłosek niczym wodorost, blady i cienki jak bibułka.

– Wpadłam na pannę West na korytarzu przed moim pokojem. – Cora pokręciła głową. – Nie sądziłam, że tam będzie. Porusza się bardzo cicho jak na staruszkę.

– Jest starsza, niż wygląda – powiedziała Nadya. – Kade mówi, że ma prawie sto lat.

Cora zmarszczyła brwi.

– To bez sensu.

– I mówi to dziewczyna, która ma wszystkie odcienie zieleni i niebieskiego na głowie – zauważyła Nadya. – To cud, że twoi rodzice przywieźli cię tutaj, zanim porwały cię firmy kosmetyczne, żeby odkryć tajemnicę włosów łonowych jak wodorosty.

– Ej! – obruszyła się Cora.

Nadya się roześmiała i zeszła z ganku po dwa stopnie naraz, jakby nie ufała, że zaprowadzą ją tam, gdzie chciała iść.

– Mówię prawdę, tylko dlatego, że cię kocham, i dlatego, że pewnego dnia znajdziesz się na okładkach gazet sprzedawanych w supermarkecie. Zaraz obok Toma Cruise'a i innych scjentologów.

– Raczej dlatego, że zamierzasz mnie wydać – stwierdziła Cora. – Panna West kazała mi przypomnieć, żebyś wzięła kurtkę.

– Panna West może sama przynieść mi kurtkę, jeśli tak bardzo chce, żebym ją założyła. Ja nie marznę.

– Nie, ale wciąż się przeziębiasz, a ona pewnie ma dość słuchania, jak wykasłujesz sobie płuca.

Nadya machnęła ręką.

– Musimy cierpieć, jeśli chcemy wrócić kiedyś do domu. No, chodź już, szybciej. Żółwie same się nie odwrócą.

Cora pokręciła głową i przyśpieszyła kroku.

Nadya należała do szkolnych weteranów: spędziła tu pięć lat, od jedenastego do szesnastego roku życia. W tym czasie jej drzwi się nie pojawiły, a ona nie poprosiła swoich rodziców adopcyjnych, żeby zabrali ją do domu. To było nietypowe. Wszyscy wiedzieli, że rodzice w każdej chwili mogą wypisać swoje dzieci. Wystarczyłoby, żeby Nadya poprosiła, a mogłaby wrócić do życia sprzed... cóż, sprzed wszystkiego.

Z tego, co Cora wiedziała, większość uczniów postanawiała wrócić do dawnego życia po czterech latach czekania na drzwi.

– Właśnie wtedy się poddają – powiedział Kade ze smutną miną. – Właśnie wtedy mówią: „Nie mogę żyć dla świata, który mnie nie chce, więc lepiej nauczę się żyć w świecie, który mam”.

Ale nie Nadya. Ona nie należała do żadnej kliky czy kręgu towarzyskiego, nie miała wielu bliskich przyjaciół – i nie chciała ich mieć – ale też nie wyjechała. Po lekcjach chodziła prosto nad staw z żółwiami, z wanny prosto do łóżka, włosy wciąż miała mokre, nieważne, ile przeziębień złapała, i nigdy nie przestawała wypatrywać w wodzie bąbelków, które wskazywałyby jej drogę powrotną do Belyyrek, Zatopionego Świata i Krainy pod Jeziorem.

Nadya podeszła do Cory pierwszego dnia w szkole, kiedy ta stała jak wryta w drzwiach jadalni, zbyt przerażona, żeby coś zjeść – a jeśli zaczną ją przezywać? – i zbyt przerażona, żeby odwrócić się i uciec – a jeśli będą się z niej śmiać za plecami?

– Hej, nowa dziewczyno – odezwała się wtedy Nadya. – Angela mówi, że byłaś syreną. To prawda?

Cora zaczęła się jąkać i mamrotać, ale w końcu potwierdziła. Nadya uśmiechnęła się z zadowoleniem i wzięła ją za ramię.

– To dobrze. Kazali mi znaleźć sobie więcej przyjaciół, a ty chyba się nadajesz. My, mokre dziewczyny, musimy trzymać się razem.

W następnych tygodniach Nadya została jej najlepszą i najgorszą przyjaciółką. Wpadała do pokoju Cory bez pukania, nagabywała jej współlokatorkę i próbowała przekonać pannę West, że mogłyby z Corą razem zamieszkać. Dyrektorka odmawiała, tłumacząc, że nikt w szkole nie byłby w stanie znaleźć ręcznika, gdyby dziewczyny, które biorą najwięcej kąpiele, znalazły się w tym samym miejscu i nawzajem dopingowały.

Cora nigdy wcześniej nie miała takiej przyjaciółki jak Nadya. Stwierdziła, że jej się to podoba, choć nowa sytuacja wciąż była dość przytłaczająca.

Staw z żółwiami był płaskim srebrnym dyskiem o powierzchni przeciętej płaskimi dyskami żółwi zajętych swoimi tajemniczymi żółwimi sprawami w miesiącach poprzedzających hibernację. Nadya podniosła z ziemi patyk i puściła się biegiem, zostawiając Corę, a ta powlekła się za nią jak wierny balon.

– Żółwie! – wrzasnęła Nadya. – Wasza królowa powraca!

Nie zatrzymała się na brzegu, tylko radośnie wbiegła na płyciznę, przełamując idealną gładkość tafli. Cora stanęła kilka kroków od skraju sadzawki. Wolała ocean, wolała jego słoność, uderzenia fal, lekkie szczypanie na skórze. Słodka woda jej nie wystarczała.

– Wracajcie, żółwie! – krzyknęła Nadya. – Wracajcie i pozwólcie mi was kochać!

W tym momencie z nieba spadła dziewczyna i z potężnym pluskiem wylądowała pośrodku żółwiowego stawu. Corę i Nadyę zbryzgała fala błotnistej wody.

Grawitacja przytrafia się najlepszym z nas

Dziewczyna wstała, krztusząc się, z wodorostami we włosach i bardzo zdeorientowanym żółwiem zaplątanym w skomplikowane fałdy jej sukni, która wyglądała, jakby ktoś postanowił połączyć balową kreację z weselnym tortem, najpierw ufarbowawszy obie rzeczy na wściekle różowy kolor. Wydawało się również, że suknia się rozpuszcza, spływa z jej ramion, rozchodzi się w szwach. Zanosilo się na to, że dziewczyna wkrótce zostanie naga.

Nieznajoma chyba nic nie zauważyła albo może po prostu się tym nie przejmowała. Wytarła z oczu wodę i rozpuszczający się materiał, strząsnęła je z rąk i rozejrzała dzikim wzrokiem, aż zauważyła Corę i Nadyę, stojące na brzegu z rozdziawionymi ustami i wytrzeszczonymi oczami.

– Hej, wy! – krzyknęła, wskazując w ich kierunku. – Zaprowadźcie mnie do swojego przywódcy!

Cora gwałtownie zamknęła usta, Nadya nadal się gapiła. Obie zawędrowały do miejsc, gdzie panowały inne zasady. Cora do krainy pięknego Rozumu, Nadya do krainy nienagannej Logiki. Żaden z nich nie przygotował ich na kobiety spadające z nieba w deszczu żółwi, zwłaszcza tutaj, w świecie, który obie uważały za tragicznie przewidywalny i nudny.

Cora pierwsza doszła do siebie.

– Masz na myśli pannę Eleanor? – zapytała.

I ogarnęła ją ulga. Tak. Ta dziewczyna – wyglądała na jakieś siedemnaście lat – chciała porozmawiać z panną Eleanor. Może była nową uczennicą, a w połowie semestru właśnie tak wyglądało przyjęcie do szkoły.

– Nie – odpowiedziała nieznajoma posępnym tonem i skrzyżowała ręce, tak że żółw zsunął się z jej ramienia i z głośnym pluskiem wpadł do stawu. – Mam na myśli moją matkę. Ona rządzi w domu, więc tutaj też musi rzą-

dzić. To... – skrzywiła wargi i następne słowo wypluła jak paskudny kęs – logiczne.

– Jak nazywa się twoja matka? – zapytała Cora.

– Onishi Sumi.

Nadya w końcu otrząsnęła się z szoku.

– To niemożliwe – oświadczyła, piorunując intruzkę wzrokiem. – Sumi nie żyje.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy. Schyliła się, wyjęła z wody zółwia i cisnęła nim w głowę Nadyi, która w ostatniej chwili się uchyliła. Suknia, prawie całkowicie rozpuszczona, opadła, tak że nieznajoma była teraz naga, pokryta jedynie różowawym szlamem. Cora zasłoniła oczy ręką.

Może wyjście dzisiaj z pokoju jednak nie było najlepszym pomysłem.

Gdy ludzie poznawali Corę, większość z nich zakładała, że skoro ma taką, a nie inną tuszę, z pewnością jest leniwa albo przynajmniej prowadzi niezdrowy tryb życia. To prawda, że musiała bandażować kolana i kostki przed każdym większym wysiłkiem – kilka pasów taśmy mogło uchronić ją przed późniejszym bólem – ale poza tym wszyscy mylili się w swoich przypuszczeniach. Cora zawsze lubiła biegać. Kiedy była mała, matka nie marzyła się jej wagą, bo nikt, kto widział, jak dziewczynka śmiga po podwórku, nie uwierzyłby, że coś jest z nią nie tak. Była pyzata, bo czekał ją okres intensywnego wzrostu, to wszystko.

Kiedy już zaczęła rosnąć, nie wystarczyło to, żeby zużyć jej rezerwy, ale Cora nadal biegała. Biegała z prędkością, która zdaniem ludzi powinna być zarezerwowana dla takich dziewczyn jak Nadya, przecinających wiatr jak nóż zamiast sunąć przed siebie jak żywe chmury – duże, miękkie i szybkie.

Teraz dotarła do frontowego ganku, dudniąc stopami o ziemię i pracując rękami, tak pochłonięta biegiem, że właściwie nie patrzyła, dokąd pędzi, i wpadła na Christophera. Oboje runęli na ziemię. On jęknął. On wrzasnął. Wylądowali w płątaniu kończyn u stóp ganku, Christopher pod nią.

– Uch – stęknął.

– Ocholera! – Z przerażenia i stresu jej okrzyk zlał się w jedno słowo.

To była ta chwila, kiedy Cora przestała być nową uczennicą, a stała się niezdarną, tłustą dziewczuchą. Uwolniła kolegę od swojego ciężaru tak

szybko, jak zdołała, ale straciła przy tym równowagę, tak że w rezultacie się od niego odtoczyła zamiast zerwać na nogi. Kiedy oddaliła się od niego na tyle, że stracili fizyczny kontakt, dźwignęła się na kolana i, oparta na rękach, zerknęła na niego czujnie. Myślała, że będzie wrzeszczał, ona się rozplacze, a tymczasem Nadya zostanie sama z nieznaną, która wypytuje o martwą osobę. A ten dzień zaczął się tak dobrze.

Christopher odwzajemnił spojrzenie, patrząc na nią z taką samą czujnością i z taką samą pretensją. Podniósł z ziemi swój kościany flet i rzucił urażonym tonem:

– To nie jest zaraźliwe, wiesz?

– Co nie jest zaraźliwe?

– Wejście do świata, który nie jest samymi jednorożcami i tęczami. Nie da się nim zarazić. Dotknięcie mnie nie zmieni miejsca, w którym byłaś.

Policzki Cory zapłonęły czerwienią.

– O nie! – Cora zamachała przed sobą rękami, co wyglądało, jakby to były papugoryby desperacko próbujące uciec. – Ja nie... To nie było... To znaczy ja...

– W porządku.

Christopher wstał. Był wysoki i szczupły, miał brązową karnację i czarne włosy. W lewą klapę wpiętą miał małą szpilkę w kształcie czaszki. Zawsze nosił marynarkę, częściowo ze względu na kieszenie, a częściowo ze względu na gotowość do ucieczki. Jak większość z nich. Zawsze mieli przy sobie nożyczki, talizmany, buty i inne rzeczy na wypadek, gdyby pojawiły się drzwi, a oni musieli zdecydować, czy chcą iść, czy zostać.

– Nie jesteś pierwsza.

– Myślałam, że będziesz wściekły i wyzwiesz mnie od grubasek – wypaliła Cora.

Christopher uniósł brwi.

– Ja... w porządku, nie tego się spodziewałem. Ja, eee... nie jestem pewien, co na to odpowiedzieć.

– Wiem, że jestem gruba, ale rzecz w tym, jak ludzie to mówią. – Cora w końcu przestała wymachiwać rękami. – Myślałam, że powiesz to w brzydki sposób.

– Rozumiem. Jestem Amerykaninem meksykańskiego pochodzenia. Czuję się paskudnie, gdy ludzie z mojej starej szkoły, uważając to za zabawne, pytali z udawaną troską, czy moi rodzice są legalnymi imigrantami. W końcu doszło do tego, że nie chciałem używać słowa „Meksyka-

nin”, bo w ich ustach brzmiało jak zniewaga, a to naprawdę była moja kultura, moje dziedzictwo i moja rodzina. Więc rozumiem. Nie podoba mi się to, ale to nie twoja wina.

– W porządku – powiedziała Cora, oddychając z ulgą. Potem skrzywiła nos i dodała: – Muszę iść. Muszę znaleźć pannę Eleanor.

– Dlatego tak się śpieszyłaś?

– Uhm. – Cora pokiwała głową. – W stawie żółwiowym jest dziwna dziewczyna, która twierdzi, że jest córką kogoś, o kim nigdy nie słyszałam, ale Nadya mówi, że ten ktoś nie żyje, więc chyba potrzebny jest nam jakiś dorosły.

– Skoro potrzebujecie dorosłego, powinnaś poszukać Kade’a, a nie Eleanor – stwierdził Christopher i ruszył do drzwi. – Kim jest te nieżyjąca osoba?

– Jakaś Sumi.

Christopher mocno zacisnął palce na kościanym flecie.

– Pośpieszmy się – rzucił nagłaco.

Cora ruszyła za nim po schodach prowadzących do szkoły.

Korytarze były chłodne i puste. O tej porze lekcje się nie odbywały. Uczniowie znajdowali się w różnych częściach kampusu, plotkowali w kuchni, spali w swoich pokojach. Jak na miejsce, które w pewnych okolicznościach potrafiło eksplodować hałasem i życiem, często bywało tu zaskakująco cicho.

– Sumi się tutaj uczyła, zanim ty przyjechałaś. Przebywała w Krainie Słodczy, wkurzyła tam hrabinę waty cukrowej i została wykopana jako polityczny wygnaniec.

– Rodzice ją zabrali?

– Została zamordowana.

Cora pokiwała głową. Słyszała o tych morderstwach, o dziewczynie imieniem Jill, która uznała, że najlepszy sposób na otwarcie drzwi do domu to pozbycie się tylu ludzi, ile się da. W tych opowieściach było sporo okropieństw i również trochę wstydliwego zrozumienia. Wielu uczniów – nie wszyscy, nawet nie większość, ale wielu – zrobiliby to samo, gdyby miało odpowiednie umiejętności. Niektórzy chyba nawet żywili trochę niechętnego szacunku dla tego, co zrobiła Jill. Jasne, uśmierciła parę osób, lecz w rezultacie wróciła do domu.

– Dziewczyna, która ją zabiła, nie była moją przyjaciółką, niezupełnie, ale jej siostra tak. Byliśmy... Jack i Jill trafiły do świata zwanego Wrzoso-

wiskami, jak z horroru, sądząc po ich opisach. Wielu ludzi łączyło mnie z nimi z powodu Mariposy.

– Świata, do którego ty trafiłeś?

Christopher skinął głową.

– Eleanor nadal nie potrafi stwierdzić, czy to była Kraina Wrózek, Podziemie czy coś nowego, pomiędzy. To dlatego nie należy za bardzo skupiać się na etykietkach. Czasami myślę, że właśnie to robimy źle. Próbujemy znaleźć jakiś sens, nawet jeśli wiadomo, że nigdy się nam to nie uda.

Cora nic nie odpowiedziała.

Korytarz kończył się zamkniętym gabinetem dyrektorki. Christopher zapukał dwa razy, a potem otworzył drzwi, nie czekając na zaproszenie.

Eleanor z pędzlem w ręce nakładała farbę olejną na płótno, które wyglądało, jakby już przyjęło więcej niż jedną warstwę. Kade też tam był. Siedział w wykuszu z kubkiem kawy w dłoniach. Oboje na nich spojrzeli, Eleanor z radością, Kade z lekkim zmieszaniem.

– Cora! Przyszłaś ze mną pomalować, kochanie? I Christopher. To cudownie widzieć, że się zaprzyjaźniacie po tym wszystkim.

Christopher się skrzywił.

– Tak, panno Eleanor. Właściwie to nie przyszliśmy na lekcje malowania. Ktoś jest w stawie żółwiowym.

– Nadya? – spytał Kade.

– Nie tym razem – odpowiedziała mu Cora. – Ta dziewczyna spadła z nieba, ma czarne włosy, a jej suknia rozpuściła się od wilgoci. Ona mówi... – Dotarła do granicy niemożliwości, poza którą nawet ona, niegdyś walcząca z Wężem z Zamrożonych Łez, nie potrafiła wyjść.

Na szczęście Christopher nie miał takich ograniczeń.

– Mówi, że Sumi jest jej matką. Czy ktoś może pójść nad staw i ustalić, co, do licha, się dzieje?

Kade usiadł prosto.

– Ja pójdę.

– Idź – powiedziała Eleanor. – Ja tutaj posprzątam. Przyrowadź ją do gabinetu, kiedy skończysz.

Kade skinął głową i zsunął się z siedziska, zostawiając kubek na parapecie. Ruszył do wyjścia, zgarniając po drodze Corę i Christophera. Eleanor w milczeniu odprowadziła wzrokiem całą trójkę. Kiedy drzwi się zamknęły, oparła głowę na dłoniach.

Świat Sumi, Kraina Słodczy, był Nonsensem, nieskrępowanym żadnymi normalnymi prawami, które rządziły innymi miejscami. Pewne proroctwo mówiło, że Sumi wróci któregoś dnia, pokona armię Królowej Ciast i ustanowi własną oświeconą monarchię. Rozsądek podpowiadał, że przyszłość spokojnie może robić swoje, skoro istnieje proroctwo. A teraz Sumi nie żyła, a przyszłość, jakakolwiek miała być, właśnie się rozpadała.

Wszystko się rozpadało, jeśli pozostawiało się różne rzeczy samym sobie. Przyszłość, przeszłość, bez znaczenia. Wszystko się rozpadało.

Córka martwej kobiety

Nieznajomej już nie było w stawie żółwiowym. Sytuacja się poprawiła, ale tylko trochę, bo bez wody i żółwi dziewczynie nie zostało żadne okrycie. Stała w błocie naga, ze skrzyżowanymi ramionami, i łypała gniewnie na Nadyę, która bładziła wzrokiem, gdzie się dało, byle na nią nie patrzeć.

Christopher zagwizdał, kiedy we trójkę dotarli na wzniesienie. Cora, która szła po prawej stronie Kade'a, oblała się rumieńcem i odwróciła wzrok.

– Wygląda trochę jak Sumi, gdyby Sumi była starsza, wyższa i seksowniejsza – stwierdził Christopher. – Ktoś złożył zamówienie w firmie, która zrzuca z nieba piękne japońskie dziewczyny? Przyjmują tam specjalne życzenia?

– Jedyne dziewczyny, jakie możesz sobie zamówić, pochodzą z firmy handlującej wyrobami medycznymi – odparował Kade.

Christopher się roześmiał. Cora jeszcze bardziej poczerwieniała.

Nadya, która właśnie ich dostrzegła, gwałtownie pomachała rękami nad głową, a na wypadek gdyby to nie wystarczyło, krzyknęła:

– Tutaj! Obok tej gołej damy!

– Ciastko to ciastko, nieważne, czy polukrowane – stwierdziła poważnym tonem nieznajoma.

– Nie jesteś ciastkiem, tylko ludzką istotą, a ja widzę twoją waginę – warknęła Nadya.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Jest ładna. Nie wstydzę się jej.

Kade przyśpieszył kroku. Gdy zbliżył się dostatecznie, żeby nie musieć krzyczeć, powiedział:

– Cześć, jestem Kade West, zastępca dyrektorki Domu Elea-nor West dla Zbłąkanych Dzieci. Jak mogę pomóc?

Naguska opuściła ramiona i zaczęła nimi energicznie gestykulować. Najwyraźniej obecność dwóch chłopców, oprócz dwóch dziewczyn, które tu były, kiedy spadła z nieba, zupełnie jej nie przeszkadzała.

– Szukam mojej matki – oznajmiła głośno. – Była tutaj, a teraz jej nie ma, a ja mam problem, więc znajdźcie ją i natychmiast oddajcie, bo potrzebuję jej bardziej niż wy!

– Zwolnij – uciszył ją Kade, a ponieważ jego prośba brzmiała rozsądnie, dziewczyna przestała krzyczeć i spojrzała na niego wielkimi oczami, nieco oszołomiona. – Zaczniemy od czegoś łatwiejszego. Jak się nazywasz?

– Onishi Rini.

Naprawdę trochę przypominała Sumi, gdyby Sumi pożyła dość długo, żeby przebrnąć przez zapętlenia i ślepe zaułki dojrzewania, wyrosnąć na wysoką, smukłą dziewczynę z pełnymi piersiami. Tylko oczy miała inne, szokująco pomarańczowe, z cienką białą obwódką wokół źrenic i cienką żółtą obwódką wokół tęczówek.

Jej oczy przypominały cukierki o wyglądzie ziaren kukurydzy. Kade w nie spojrzał i bez cienia wątpliwości uwierzył, że to córka Sumi, że w jakiejś przyszłości, w jakiejś niemożliwej, zwariowanej przyszłości Sumi wreszcie dotarła do domu, do swojego kukurydzianego farmera. Że gdzieś tam żyła sobie szczęśliwie, aż jej dawne ja zostało zamordowane i wszystko się posypało.

Czasami życie na peryferiach Nonsensu po prostu nie było sprawiedliwe.

– Jestem Kade – przedstawił się. – A to moi przyjaciele, Christopher, Cora i Nadya.

– Nie jestem jego przyjaciółką, tylko Utopioną Dziewczyną – sprostowała Nadya i obnażyła zęby w udawanej groźbie.

Kade ją zignorował.

– Miło cię poznać, Rini. Choć wolałbym, żeby to się stało w trochę lepszych okolicznościach. Pójdiesz ze mną? Opiekuję się szkolną garderobą. Mogę znaleźć ci coś do ubrania.

– Po co? – spytała Rini z rozdrażnieniem. – Ciebie też obraża moja waga? Czy ludzie w tym świecie ich nie mają?

– Wielu ludzi je posiada, i nie ma w nich nic złego, podobnie jak w twojej, ale pokazywanie genitaliów bez pytania innych o zdanie jest uważane za trochę niegrzeczne – wyjaśnił Kade. – Eleanor jest w domu, więc kiedy się ubierzesz, możemy usiąść i porozmawiać.

– Nie mam czasu na rozmowy – oświadczyła Rini. – Potrzebuję mojej matki. Proszę, gdzie ona jest?

– Rini...

– Nie rozumiem! – Okrzyk zabrzmiał jak wycie udreki. Rini uniosła lewą rękę. – Nie mam czasu!

– Co jest? – mruknęła Nadya.

Nikt inny się nie odezwał. Reszta wpatrywała się w lewą dłoń dziewczyny z dwoma brakującymi palcami. Nie zostały odcięte, nie było żadnych blizn. Rini też się taka nie urodziła; miejsce, gdzie powinny się znajdować palce, wyglądało jak ziejąca dziura, było zbyt puste. One po prostu zniknęły, przestały istnieć w tym świecie, jakby jej własna przyszłość dostosowała się do niepokojącej myśli, że matka nie mogła jej począć, więc ona nigdy się nie urodziła.

Rini opuściła rękę.

– Proszę – powtórzyła.

– To wszystko zmienia – przyznał Kade. – Chodź.

Rini była wysoka i chuda, ale wielu uczniów też było wysokich i chudych, zbyt wielu, jeśli chodzi o Corę. Nie podobało się jej, że ludzi, którzy mieli społecznie akceptowalne ciała, czekało w życiu więcej przygód i atrakcji. Wiedziała, że to małostkowa myśl i nie powinna w ogóle przyjść jej do głowy, a jeśli już, to ona tym bardziej nie powinna oddawać się takim rozważaniom, ale przecież nie mogła panować nad odruchowymi reakcjami. Rini miała wycucie mody pijanego kolibra; pociągały ją rzeczy jaskrawe, kolorowe i błyszczące, co również nie było niespotykane wśród uczniów, z których wielu trafiło do światów, gdzie idea subtelności przegrywała z dużo zabawniejszą ideą rażenia ludzkich oczu.

W końcu Kade namówił ją na tęczową sukienkę na ramiączkach, ufarbowaną w taki sposób, że kolory stapiały się ze sobą jak sorbet w słońcu. Dobrał jej również klapki, oba w tym samym stylu i takiego samego rozmiaru, ale jeden pomarańczowy, a drugi turkusowy. Dał jej wstążki do przewiązania włosów i teraz siedzieli w pięcioro w saloniku Eleanor.

Dyrektorka trzymała splecione dłonie na biurku jak dziecko odmawiające wieczorną modlitwę.

– ...i właśnie dlatego ona nie może być martwa – dokończyła Rini. Jej opowieść była długa, zawila i miejscami pozbawiona sensu, pełna politycznych zamachów stanu i bitew na popcornowe kulki, które były jak śnieżki, tylko że bardziej kleiste. Rozejrzała się po obecnych z wyrazem twarzy, który wahał się pomiędzy triumfem a nadzieją. Przedstawiła im swoją sprawę, jakby ułożyła puzzle, i teraz czekała na nagrodę. – Więc możemy pójść i powiedzieć jej, żeby przestała? Ja muszę istnieć. To ważne.

– Bardzo mi przykro, kochanie, ale śmierć w tym świecie nie działa w ten sposób – powiedziała Eleanor. Wydawało się, że boli ją każde słowo, bo jej ramiona coraz bardziej się garbiły. – To logiczny świat. Wszystkie działania mają tutaj swoje konsekwencje. Martwy to martwy, a pogrzebany to pogrzebany.

Rini zmarszczyła brwi.

– To głupie i idiotyczne, a ja nie jestem z logicznego świata, podobnie jak moja matka, więc to nie powinno mieć dla nas znaczenia. Potrzebuję jej. Muszę się urodzić. To ważne. Ja jestem ważna.

– Wszyscy są ważni – oświadczyła Eleanor.

Rini spojrzała na pozostałych.

– Proszę, zróbcie coś. Niech ta głupia stara kobieta przestanie być taka okropna i odda mi matkę.

– Nie nazywaj mojej cioci głupią starą kobietą – zaprotestował Kade.

– Nic się nie stało, kochanie – zapewniła go Eleanor. – Jestem głupią starą kobietą, a byłam nazywana jeszcze gorzej z dużo błahszych powodów. Nie mogę tego naprawić. Chciałabym, ale nie potrafię.

Cora, która coraz bardziej posępniała, odkąd Rini skończyła swoją opowieść, spojrzała na dziewczynę i zapytała:

– Skąd się tutaj wzięłaś?

– Właśnie wam opowiedziałam. Moja matka uprawiała seks z moim ojcem tuż przed zbiorami cukierków kukurydzianych i rok przed tym, jak pokonała Królową Ciast na Truskawkowym Moście. Macie tutaj seks? Czy ludzie w logicznym świecie rozmnażają się przez pączkowanie? To dlatego tak was zdenerwowała moja wagina?

Kade zakrył twarz dłonią.

– Hm – bąknęła Cora z płonącymi policzkami. – Tak, my... eee, mamy seks, ale czy możemy przestać tak często powtarzać słowo „wagina”? Poza tym chodziło mi o to, jak się tutaj dostałaś? Jak trafiłaś do żółwiowego stawu?

– Och! – Rini uniosła prawą rękę, w której nie brakowało jeszcze żadnych palców. Na nadgarstku miała bransoletkę z rodzaju tych, jakie mogłoby nosić dziecko: koraliki na ciasno zawiązanym sznurku. – Pomadkowy Czarnoksiężnik pokazał mi, jak tutaj dotrzeć, znaleźć mamę i powiedzieć jej, żeby przestała robić to, co robi, bo inaczej ja nigdy się nie urodzę. Powinnam teraz przekradać się przez Melasowe Bagna i wypatrywać zagrożeń wzdłuż naszej zachodniej granicy. To ważna sprawa. Więc jeśli moglibyśmy się pośpieszyć, byłoby cudownie.

Po jej słowach zapadła cisza, napięta jak cięciwa tuż przed strzałem. Rini powoli opuściła rękę i rozejrzała się dokoła. Wszyscy na nią patrzyli. Christopher głośno przełknął ślinę, a jego grdyka poruszyła się gwałtownie. W oczach Nadyi lśniły łzy.

– O co chodzi?

– Dlaczego ją tutaj zostawiliście? – zapytał Kade cichym i nagle jakby groźnym głosem. Wstał i zbliżył się do Rini. – Kiedy Sumi przyjechała do szkoły, była w rozsypce. Myśleliśmy, że ją stracimy. Myśleliśmy, że otwory sobie żyły, żeby wydostać z nich cukierki, a teraz ty się zjawiaś, co oznacza, że możesz... że możesz tak po prostu tutaj przychodzić i wracać, jakby nigdy nic. Jakby drzwi nie miały znaczenia. Dlaczego ją tutaj zostawiliście? Dlaczego ktoś nie przyszedł i jej nie zabrał, zanim było za późno?

Rini odsunęła się od niego i gorączkowo przeniosła wzrok na innych, szukając u nich pomocy. Nadya odwróciła twarz, Christopher pokręcił głową.

– Nie wiedziałam! – krzyknęła. – Mama zawsze mówiła, że uwielbia waszą szkołę, że zawarła przyjaźnie, dużo się nauczyła, w głowie tak się jej rozjaśniło, że w końcu zrozumiała, że sama chciała być pokręcona! Nigdy nie prosiła, żebym przyszła po nią wcześniej!

– Gdyby to zrobiła, mogłabyś nigdy się nie urodzić – uświadomiła jej Eleanor. Odchrząknęła i dodała trochę głośniej: – Kochani, proszę, nie dręczcie naszego gościa. Stało się, przeszłość to przeszłość i choć szukamy sposobu, że to zmienić, myślę, że powinniśmy się skupić na tym, co jeszcze można zrobić.

– Te koraliki mogą nas gdzieś przenieść? – zapytał Christopher. – Do jakiegoś świata?

– Jasne – potwierdziła Rini. – Wszędzie tam, gdzie jest cukier.

Christopher przebiegł palcami po kościanym flecie, wydobywając z niego duchy nut. Nikt nie mógł ich usłyszeć, ale to nie miało znaczenia.

On wiedział.

– Chyba wiem, jak to naprawić – oznajmił.

Pokój w piwnicy należał kiedyś do Jack i Jill, zanim wróciły na Wrzosiwiska, potem do Nancy, zanim wróciła do Krainy Umarłych, a teraz do Christophera. On żywił w związku z tym przesadną nadzieję, jakby fakt, że ostatnie trzy mieszkanki zdołały znaleźć drzwi, oznaczał, że jemu też z pewnością się uda. Myślenie magiczne mogło się wydawać nonsensowne niektórym ludziom, ale on tańczył ze szkieletami w blasku nagietkowego księżycyca, całował lśniąca czaszkę dziewczyny bez warg i kochał ją jak jeszcze nigdy nikogo i niczego w życiu, więc uważał, że zasłużył na trochę nonsensu, póki ten pomagał mu przetrwać.

Poprowadził gości do regału z metalowymi półkami przesłoniętego aksamitną zasłoną.

– Jack niczego ze sobą nie wzięła, kiedy odchodziła – wyjaśnił. – To znaczy niczego oprócz Jill. Nie starczyło jej rąk.

Jack przeniosła siostrę przez próg jak pannę młodą w noc poślubną, wracając na bezkresne pustkowia, które były ich wspólnym ideałem, i nie obejrzała się ani razu. Czasami Christopher nadal śnił, że za nimi podążył, że uciekł do świata, w którym nigdy nie byłby szczęśliwy, ale który mógłby uczynić go trochę mniej nieszczęśliwym niż ten tutaj.

– I co z tego? – spytała Nadya. – Jack i Jill były upiorne.

– To, że mam jej wszystkie rzeczy. I wszystkie rzeczy Jill, która próbowała stworzyć idealną dziewczynę. – Christopher odsunął zasłonę.

Na regale stało kilkanaście słoików z bursztynowym płynem i... innymi rzeczami. Częściami ludzkiego ciała, których nie powinno się oglądać oddzielnie. Christopher wspiął się na palce i z najwyższej półki zdjął galonowy sój. W środku pływały dwie dłonie, które z palcami rozpostartymi w wiecznym zaskoczeniu wyglądały jak blade rozgwiazdy.

– Pogrzebaliśmy je. – Głos Kade'a był lodowaty.

– Wiem – powiedział Christopher. – Ale zacząłem mieć koszmary po tym, jak rodzina Sumi zabrała ją, żeby ją pochować. O tym, że jej szkielet na wieki pozostanie niekompletny. Więc... wziąłem łopatę i wykopałem jej rękę. Tym sposobem, jeśli ona kiedyś wróci, będzie mogła je odzyskać.

Kade wytrzeszczył oczy.

– Christopherze, naprawdę twierdzisz, że przez cały ten czas dzieliłeś pokój z uciętymi rękami Sumi? Bo to nie jest normalne, chłopcze. – Jego akcent z Oklahomy, zawsze silniejszy w chwilach zdenerwowania, był teraz gęsty jak miód.

Natomiast Rini zupełnie nie wyglądała na poruszoną. Patrzyła na słój szeroko otwartymi, zaciekawionymi oczami.

– To są dłonie mojej matki? – spytała.

– Tak – potwierdził Christopher, ostrożnie trzymając słój. – Skoro wiemy, gdzie Sumi jest pochowana, możemy ją poskładać. To znaczy, ja mogę wywołać ją z grobu i oddać jej rękę.

– Co?... – wykrztusiła Cora.

– Faj – mruknęła Nadya.

– Szkielety zwykle nie mają dzieci – zauważył Kade. – Co sugerujesz?

Christopher wziął głęboki oddech.

– Sugeruję, żebyśmy wydostali Sumi z grobu, a potem odszukali Nancy. Ona jest w Krainie Umarłych, prawda? Na pewno wie, dokąd idą duchy. Może nam powie, gdzie jest teraz duch Sumi, a wtedy my ją poskładamy.

W pokoju znowu zapadła cisza, tym razem pełna namysłu. W końcu Eleanor się uśmiechnęła.

– To w ogóle nie ma sensu – stwierdziła. – Co oznacza, że może się udać. Chodźcie, moi drodzy, sprowadźmy waszą zagubioną siostrę z powrotem do domu.

Część II

Do Krainy Umarłych

Co pogrzebane, nie ginie, tylko jest schowane

Z piątki, która wybrała się w tę podróż – Nadya, Cora, Rini, Christopher i Kade – tylko ten ostatni umiał prowadzić samochód, więc to on wylądował za kierownicą szkolnego minivana i z oczami utkwionymi w drodze i modlitwą na ustach starał się skupić na tym, żeby dowieźć ich do celu w jednym kawałku.

Rini nigdy wcześniej nie jechała samochodem i wciąż odpinała pas bezpieczeństwa, bo nie podobało się jej, jak ją ściska. Nadya twierdziła, że może jechać tylko z opuszczonymi szybami, podczas gdy Cora nie lubiła zimna i wciąż podkręcała ogrzewanie. Natomiast Christopher upierał się, żeby nastawiać radio na cały regulator, co w ogóle nie miało sensu, bo zwykle melodie, które sam grał, były niesłyszalne dla nikogo oprócz martwych.

Wyglądało na to, że zdarzy się cud, jeśli dotrą do celu, nie zabijając się po drodze. Dołączenie do Sumi w zaświatach, w których przebywała – prawdopodobnie w tych przeznaczonych dla nastolatków, którzy przeszli przez niemożliwe drzwi – byłoby złą rzeczą. Gdyby oni wszyscy zginęli, Eleanor by się zdenerwowała, a szkoła zostałaby bez samochodu. Kade zacisnął zęby i skupił się na drodze.

Byłoby łatwiej, gdyby jechali w dzień. Rodzina Sumi mieszkała sześć godzin drogi od szkoły, a jej ciało pochowano na miejscowym cmentarzu. I dobrze. Rabowanie grobów nadal uważano za niewłaściwe, a robienie tego w biały dzień na ogół uznawano za niemądre. W rezultacie minęła już północ, oni nadal jechali, a w tej małej przygodzie wszystko było złym pomysłem, od początku do końca.

Nadya pochyliła się nad siedzeniem i spytała:

– Daleko jeszcze?

– Po co w ogóle z nami jedziesz? – odparował Kade. – Nie potrafisz fletem wywabić zmarłego z ziemi, nie potrafisz prowadzić, a dwóm osobom byłoby dużo wygodniej na tylnym siedzeniu.

– Spryskała mnie żółwiowa woda – przypomniała mu Nadya. – To znaczy, że musiałam jechać.

Kade westchnął.

– Pospierałbym się z tobą, ale jestem zbyt zmęczony. Nie możesz chociaż zostać na swoim miejscu? Jeśli nas zatrzymają, będziemy musieli się gęsto tłumaczyć z uciętych rąk i ludzkiej kości, którą Christopher trzyma w kieszeni.

– Po prostu im powiesz, że jesteśmy na wyprawie – doradziła Nadya.

– Uhm – mruknął Kade wymijająco.

– No więc daleko jeszcze?

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Cmentarz znajdował się jakieś pięć mil dalej. Kade obejrzał go na mapach Google. Tak się dogodnie składało, że ćwierć mili od tamtego miejsca rósł zagajnik. Mogli w nim ukryć samochód, podczas gdy będą się zajmowali bezczeszczeniem grobu Sumi.

Kade nie był religijny – odkąd wrócił z Pryzmatu i został wciśnięty w ciało za młode, za małe i w dodatku wystrojone w falbaniaste dziewczęce fatalaszki wybrane przez rodziców, którzy nie chcieli zrozumieć, że mają syna, a nie córkę – ale jako dziecko bywał w kościele dostatecznie często, by trochę się martwić, że skończą ukarani za występki przeciwko Bogu.

– Nie w taki sposób chciałem umrzeć – wymamrotał i zjechał z drogi w stronę drzew.

– Ja chcę umrzeć w łóżku z nagietków, z motylami wiszącymi nade mną jak żywy baldachim i ze Szkieletową Dziewczyną trzymającą w ręce nasz małżeński nóż – wyznał Christopher.

– Co? – zapytał Kade.

– Nic.

Kade ostrożnie wjechał pod rozłożysty dąb i zaparkował. Miał nadzieję, że nie widać ich z szosy.

– No dobrze, jesteśmy. Wszyscy wysiadać.

Nie musiał powtarzać tego Corze dwa razy. Dziewczyna otworzyła drzwi, zanim skończył mówić, i praktycznie wypadła na trawę. Jeżdżenie z tyłu zawsze sprawiało, że czuła się ogromna i bezwartościowa, bo zajmowała więcej miejsca, niż jej przysługiwało. Wytrzymała tylko dlatego, że

Nadya siedziała w środku, a Rini, nadal właściwie obca, przy drugich drzwiach. Gdyby Corze powiedziano, że będzie musiała spędzić całą jazdę przyciśnięta do kogoś, kogo nie знаła, pewnie zrezygnowałaby z przygody i zaszyła się w swoim pokoju.

Pozostali wysiedli bardziej statecznie. Rini skierowała oczy ku niebu i obróciła się z rozdziawionymi ustami.

– Co to jest? – zapytała, pokazując palcem na daleki pas Drogi Mlecznej.

– Gwiazdy, głupia – odpowiedziała Nadya.

– Nie jestem głupia, po prostu tego nie znam – wyjaśniła Rini. – Jak one się tam trzymają?

– Są bardzo daleko – wyjaśnił Kade. – Nie macie gwiazd w Krainie Słodczy?

– Nie. Jest księżyc – z kremu maślanego, bardzo kleistego, kiepskiego na piknikach – i słońce, a dawno temu Pierwszy Cukiernik rzucił garść cukierków w niebo. Przykleiły się naprawdę wysoko, ale to nadal cukierki. Można dojrzeć paski na miętówkach i drobinki cukru na żelkach.

– Eee, okay. – Kade spojrzał na Christophera. – Potrzebujemy łopaty?

– Nie, jeśli Sumi będzie chętna do tańca. – Christopher przesunął palcami po kościanym flecie, planując niespokojne arpeggia, melodię, którą miał zagrać dla zmarłej. – Jeśli będzie chciała tańczyć, poruszy niebo i ziemię, żeby do mnie przyjść.

– Więc prowadź, muzykancie.

Christopher skinął głową, przytknął flet do ust, wziął głęboki oddech i zaczął grać. Nie rozbrzmiał żaden dźwięk. Nigdy nie dało się słyszeć żadnej muzyki, kiedy Christopher grał na swoim kościanym instrumencie, przynajmniej jeśli chodzi o żywych. Była tylko idea dźwięku, zarys miejsca, gdzie powinien się znajdować, wycięty w powietrzu jak kawałek czekoladowego tortu.

Nikt nie wiedział, z jakiej odległości melodia fletu może wywołać zmarłych z grobu, w dodatku nie byli pewni, gdzie dokładnie jest pochowana Sumi, więc Christopher grał, kiedy szli w stronę bramy, robiąc wszystko, żeby ją wezwać. Tylko ją, Sumi, dziką dziewczynę, która umarła zbyt wcześnie i zbyt okrutnie, a nie wszystkie uśpione szczątki, które miał do zaoferowania cmentarz. Minęło dużo czasu, odkąd sam brał udział we właściwym tańcu, w którym kobiety noszą girlandy kwiatów na biodrach, a mężczyźni grzechoczą kośćmi palców jak kastanietami, w którym tancerze zamieniają się strojami, płciami i miejscami równie łatwo, jakby

wymieniali kwiaty na boferko. Kusiło go, żeby przywołać wszystkie szkielety z tego miejsca i zatracić się w zabawie, póki księżyc świeci wysoko.

Ale w ten sposób nie uratowałyby Rini ani nie spełnił obietnicy danej pannie Eleanor. Tak więc Christopher grał dla publiczności złożonej z jednej osoby, a kiedy usłyszał, jak Cora gwałtownie wciąga powietrze, uśmiechnął się i nadal przebierał palcami po flecie, budząc Sumi ze snu.

I oto się zjawiała. Smukły, delikatny szkielet otoczony perłową, opalizującą poświatą. Cementarna brama służyła temu, żeby zatrzymywać żywych na zewnątrz, a nie martwych wewnątrz. Sumi bokiem prześliznęła się między prętami, a jej bezcielesne ciało idealnie wpasowało się w szczelinę. Christopher stanął w miejscu, ale nadal grał, kiedy powstała z grobu Sumi szła przez pole na ich spotkanie.

– Gdzie jej reszta? – zapytała Nadya.

– On nie przyzywa ciał, tylko kości – wyjaśnił Kade. – Jedyne one go słuchają.

Ciało, osłabione przez czas, o ile jeszcze nie zgniło, musiało zostać zrzucone jak stary płaszcz, żeby Sumi, teraz jaśniejąca i spowita w tęcze, mogła odpowiedzieć na wezwanie Christophera.

Rini uniosła dłonie do ust. Jej kolejne palce zastąpiła dziwna, odstręczająca pustka.

– Mamo? – wyszeptała.

Sumi przechyliła głowę na bok, bardziej jak ptak niż dziewczyna, i nic nie powiedziała. Christopher się zawahał i opuścił flet. Gdy Sumi nie zmieniła się w stos kości, wydał z siebie długie westchnienie ulgi.

– Ona nie może mówić – powiedział. – Nie ma płuc, głosu ani niczego. –

W jego domu, w Mariposie, mogłaby mówić. Magia, która rządziła tą krainą, chętnie oddawała głos zmarłym.

Ale to nie był jego dom. Tutaj szkielety milczały, a jedyny skrawek Mariposy, który Christopher zawsze ze sobą nosił, wystarczał tylko do tego, żeby wezwać je z grobu.

– Ona nie żyje... – wyszeptała Rini, jakby dopiero teraz to zrozumiała. – Jak może być martwa?

– Wszystkich nas czeka śmierć – stwierdził Christopher. – Następna część będzie trudniejsza. Coro, możesz otworzyć słój z rękami?

Słyszając to, Cora się skrzywiła, ale uklękła i odkręciła pokrywkę. Na ziemię wylał się płyn o ostrym zapachu. Spojrzała na Christophera. Na jego

znak wyrzuciła resztę zawartości z naczynia, po czym zerwała się i odskokczyła, żeby uniknąć rozbryzgu.

Christopher uniósł flet i znowu zaczął grać.

– Będę rzygać – oznajmiła Nadya.

Ciało zaczęło odchodzić od dłoni Sumi jak rozwijający się kwiat. Ukazała się czysta biała kość i podczas gdy wszyscy patrzyli, okryła się tęczkami jak reszta szkieletu.

Wtedy Christopher zatknął flet za pasek i schylił się po dwie kościste dłonie. Podał je martwej dziewczynie. Ona sięgnęła kikutami i przytknęła je do stawów nadgarstkowych. Tęcze zajaśniały mocniej. Gdy Sumi się wyprostowała, była cała, każda kość, każdy fragment szkieletu na swoim miejscu.

– Gdybyśmy chcieli wejść do Podziemia, cmentarz wydaje się najlepszym miejscem – stwierdził Christopher i spojrzał na Rini. – Możesz powiedzieć tym koralikom, dokąd mają nas przenieść, prawda?

– Mogę im powiedzieć, o kogo mi chodzi, a one mnie do niego przeniosą – odparła Rini. – Nie mogłam znaleźć matki, nieważne, jak bardzo się starałam, więc odszukałam pannę Ely. Mama zawsze mówiła, że to dzięki niej szkoła działa.

– Okay. Powiedz koralikom, żeby zabrały nas do Nancy.

– Nie znam Nancy – zaprotestowała Rini.

– Nancy jest mądra – odezwał się Kade. – I cicha, więc czasami ludzie nie wiedzą, że jest bystra, ale to prawda.

– Potrafi stać tak nieruchomo, że wygląda jak posąg – dodał Christopher.

– Ma białe włosy z czarnymi pasmami i twierdzi, że nie są farbowane, i pewnie nie kłamie, bo nigdy nie widać odrostów – włączyła się Nadya. Inni na nią spojrzeli, a ona wzruszyła ramionami. – Nie byliśmy przyjaciółkami. Miałam z nią jedną terapię grupową, a poza tym trzymałam się od niej z daleka. Dla mnie była za sucha. Jak kościotrup.

Cora, która przyszła do szkoły już po odejściu Nancy, nie zabrała głosu.

Rini zmarszczyła brwi i popatrzyła na nich kolejno.

– A co z cukrem?

– Czerwony – powiedział Kade. – Mieszają go z sokiem z granatów. Ma goryczkę, ale nadal jest słodki. – Nie odrywał wzroku od Rini. Nigdy nie widział cukru w świecie Nancy, ale to nie miało znaczenia. Wiedział, jak powinno być, i tyle musiało wystarczyć.

Rini pokiwała głową, uniosła bransoletkę do ust i chwyciła jeden z koralików zębami.

Ugryzła go mocno, a gdy pękł z trzaskiem, dziewczyna go połknęła.

– One też są z cukru, prawda? – spytała Nadya.

– Tam, skąd pochodzę, wszystko jest z cukru. – Rini władczym gestem wyciągnęła rękę i chwyciła niewidzialną gałkę u drzwi. – Chodźcie. One nigdy nie są długo otwarte, a czasami są niezbyt dobrze dopasowane.

– Pewnie dlatego spadłaś z nieba – skomentował Christopher.

Rini pokiwała głową i otworzyła drzwi, których tam nie było.

Po drugiej stronie rósł zagajnik drzew o ciemnozielonych liściach i lekko powyginanych pniach. Gałęzie uginały się od czerwonych owoców. Niektóre granaty popękały, tak że widać było rubinowe pestki. Trawa wokół drzew wyglądała na miękką jak aksamit, a niebo w ogóle nie było niebem, tylko sklepieniem niemożliwej komnaty.

– Gaj granatów – wyszeptał Kade.

– To właściwe miejsce? – upewniła się Rini. – W takim razie chodźmy.

Przeszła przez drzwi, a szkieletowa matka tuż za nią. Inni podążyli za nimi, a kiedy portal zamknął się za Corą, zniknął, jakby nigdy go tam nie było.

Miejsca żywych, miejsca umarłych

Cała szóstka – pięcioro żywych i jedna umarła – ruszyła przez aksamitną trawę, nie kryjąc zdumienia. Christopher wygrywał na kościanym flecie niesłyszalne arpeggia. Sumi trzymała się blisko córki, a jej kości postukiwały cicho jak odległy szept wiatru w gałęziach drzew. Rini starała się na nią nie oglądać. Za każdym razem, kiedy widziała matkę, z drżeniem przygryzała wargę i szybko odwracała wzrok.

Nadya sięgnęła w górę jedyną całą ręką i palcami przesunęła po owocu granatu, wpatrując się w niego, jakby był najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziała.

– Nancy mówiła, że większość czasu spędziła jako posąg w komnacie Pani Cieni – przypomniał Kade, wysuwając się na czoło. Nikt nie zakwestionował jego przywództwa. Dobrze było mieć kogoś chętnego do tej roli. – To chyba oznacza, że może tu teraz być.

– Czy Pan Umarłych będzie szczęśliwy, kiedy nas zobaczy? – spytała Nadya, w końcu zabierając rękę z owocu.

– Może – powiedział Kade. – Musi być przyzwyczajony do ludzi wpadających bez zaproszenia, skoro są tu drzwi.

– Ale znajduje się tylko te, które do nas pasują – zauważyła Cora. – Tych nie znaleźliśmy, tylko je zrobiliśmy. Nie będzie zły z tego powodu?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – skwitował Kade i ruszył przed siebie.

– Dlaczego ludzie zawsze to mówią – wymamrotała Cora, wlokąc się na końcu grupy. – Zawsze jest więcej niż jeden sposób, żeby się czegoś dowiedzieć. Ludzie mówią, że jest tylko jeden, kiedy potrzebują pretekstu, żeby zrobić coś niewiarygodnie głupiego i nie ponieść za to odpowiedzialności. Jest mnóstwo sposobów, żeby się dowiedzieć, a niektóre z nich zakładają niewkurzanie człowieka, który tytułuje się „Panem Umarłych”.

– Tak, ale nie są takie zabawne, nie sądzisz?

Cora spojrzała w bok. Christopher celowo został w tyle, żeby iść obok niej. Uśmiechał się szeroko i wyglądał na bardziej swobodnego niż kiedykolwiek wcześniej.

– Dlaczego jesteś taki szczęśliwy? – zapytała. – Wszędzie tutaj są martwi ludzie.

– Właśnie dlatego jestem szczęśliwy. Wszyscy tutaj to martwi ludzie.

W jego ustach te słowa nie zabrzmiały jak skarga czy nawet spostrzeżenie, tylko niemal jak modlitwa, pełna nadziei na powrót do domu. To nie był jego świat, a jedynym tańczącym szkieletem była tutaj biedna Sumi, ale Christopher już od bardzo, bardzo dawna nie znajdował się bliżej Mariposa niż teraz i z każdym krokiem wracała mu radość.

– Naprawdę chcesz być szkieletem? – wypaliła Cora.

Christopher wzruszył ramionami.

– Prędzej czy później wszyscy będą szkieletem. Jak umrzesz, miękkie części odpadną, a zostaną tylko piękne kości. Ja chcę jedynie wrócić do miejsca, w którym nie muszę umrzeć, żeby być pięknym.

– Ale ty nie jesteś gruby! – Cora nie zdołała ukryć przerażenia w głosie.

Nawet nie próbowała. Dorastanie jako grubaska oznaczało niekończący się szereg diet podsuwanych przez „pomocnych” krewnych i jeszcze bardziej „pomocnych” rad udzielanych przez koleżanki z klasy: o głodzeniu się albo wymiotach na zawołanie. Zaburzeń odżywiania udało się jej uniknąć dzięki zwykłemu szczęściu i za sprawą drużyny pływackiej, której zależało na jej dobrej formie. Gdyby szkoła nie oferowała zarówno pływania długodystansowego, jak i szybkiego, gdyby oczekiwano od niej, że schudnie, zanim pozwolą jej wejść do wody, pewnie dołączyłaby do dziewczyn spotykających się za salą gimnastyczną, które umierały powoli na diecie złożonej z kostek lodu, czarnej kawy i papierosów.

– Nie chodzi o to, czy ktoś jest chudy czy gruby – powiedział Christopher. – Nie... O cholera. Pewnie myślisz, że chodzi o odchudzanie? – Nie czekał na jej odpowiedź, tylko mówił dalej: – Nie, naprawdę nie. Mariposa to kraina szkieletów. Póki mam skórę, póki jestem taki jak teraz, mogą mnie zmusić do odejścia. Kiedy Szkieletowa Dziewczyna i ja się pobierzemy, będę mógł zostać tam na zawsze. Tylko tego chcę.

– Tego wszyscy z nas chcą – przyznała Cora.

– Byłaś syreną, prawda? Tak mówiła Nadya.

– Nadal nią jestem. Po prostu teraz mam łuski pod skórą.

Christopher uśmiechnął się trochę krzywo.

– Zabawne. Właśnie tam trzymam swoje kości.

Zagajnik granatów stopniowo się przerzedzał, drzewa rosły w coraz większych odstępach, w miarę jak zbliżali się do wysokiej marmurowej ściany. Były w niej drzwi, wysokie i imponujące, jak w katedrze albo w pałacu; drzwi, które mówiły: „trzymaj się z dala” głośniej niż „wejdz”. Jednak stały przed nimi otworem i nie zjawił się nikt, żeby ich przepędzić. Kade obejrzał się na pozostałych, wzruszył ramionami i poszedł dalej, nie zostawiając im innego wyboru jak iść za nim.

I nagle, bez uprzedzenia, aż Cora pomyślała, że ludzie, którzy tutaj żyją – którzy tutaj istnieją – mieliby pełne prawo się rozgniewać, znaleźli się w Krainie Umarłych.

Architektura okazała się dokładnie taka, jaką Cora pamiętała z setek filmów: marmurowe kolumny podtrzymujące niemożliwe sklepienia, białe kamienne ściany ozdobione fryzami i akwarelami z kwitnącymi łąkami. Kolory były przygaszone: biele, pastelowe zielenie i brudne róże, lecz wcale nie wydawały się przesłodzone, natomiast podkreślały aurę powagi i ciszy. Jedynym dźwiękiem był stukot ich kroków na kamiennej posadzce i grzechot kości Sumi.

– Nie zostaliście zaproszeni i żadne z naszych drzwi nie otworzyły się ani nie zamknęły w minionym dniu. – Kobieta stała między nimi a bramą, przez którą mogliby wrócić do gaju granatów. Jej głos był cichy i lekko zachrypnięty; tak pewnie brzmiałaby jeżynowa brandy, gdyby miała krtań. – Kim jesteście? Jak się tutaj dostaliście?

Czując się jak dziecko przyłapano na zakradaniu się o północy do kuchni po smakołyk, Cora odwróciła się z płonącymi policzkami i ujrzała Panią Cieni.

Władczyni była niska i krągła, o skórze barwy wypolerowanego cyprysu i włosach opadających niemal do pasa kaskadą atramentowych loków. Jej oczy przypominały pestki granatu, ciemnoczerwone i równie niemożliwe jak cukierkowe tęczęwki Rini, ale tak samo niezaprzeczalnie prawdziwe. Luźno udrapowana suknia miała taki sam kolor co oczy władczyni, a grecki styl podkreślał wszystkie krągłości, tak że Cora zatęskniła za równie korzystnym strojem.

– No więc? – ponagliła Pani Cieni. – Zaniemówiliście w mojej obecności? Czy na poczekaniu wymyślacie tłumaczenie? Radzę mnie nie okłamywać. Mój mąż ma niewiele cierpliwości dla tych, którzy wkraczają na jego teren i jednocześnie go obrażają.

– Przepraszam, proszę pani – odezwał się Kade, występując do przodu. Ulga reszty grupy była niemal namacalna. Niech ktoś inny weźmie winę na siebie, skoro tak trzeba. – Wiem, że przybyliśmy bez zaproszenia, ale nie byliśmy pewni, jak zadzwonić do drzwi.

– Pachniesz Krainą Wrózek, mały bohaterze – stwierdziła władczyni, marszcząc nos. – Wszyscy pachniecie czymś, czego nie powinno tutaj być, wszyscy oprócz niego. – Wskazała na Christophera. – Lustrami, Krainą Wrózek i Jeziorami. Nawet szkielet pachnie Lustrem. Ta woń utrzymuje się też po śmierci. Nie powinniście dzwonić do naszych drzwi.

– Przybyliśmy tu, żeby prosić o łaskę – nie poddawał się Kade. – To jest Rini.

Rini uniosła rękę w nieśmiałym pozdrowieniu. Został jej jeden palec i kciuk, a połowa dłoni się roztopiła, zastąpiona przez pustkę, która aż kłuła w oczy.

– Ten szkielet to jej matka Sumi, która umarła, zanim Rini mogła się urodzić, a teraz Rini... znika – ciągnął Kade. – Jedna z naszych koleżanek z klasy mieszka tu z wami. Mieliśmy nadzieję, że pomoże nam się dowiedzieć, dokąd duch Sumi trafił po śmierci, bo wtedy moglibyśmy spróbować ją odzyskać, żeby Rini zupełnie nie zniknęła... proszę pani.

Oczy Pani Cieni rozszerzyły się odrobinę.

– Jesteście przyjaciółmi Nancy – stwierdziła.

– Tak, proszę pani.

– Ja nie – wyrwała się Nadya. – Ja jestem Utopioną Dziewczyną.

– Tak. – Pani Cieni obrzuciła ją zamyślonym spojrzeniem. – Trafiłaś do jednego z Zatopionych Światów, gdzie są podziemne jeziora i zapomniane rzeki. Wiele z nich graniczy z Krainą Umarłych. Nie są Podziemiami, ale znajdują się pod resztą świata.

Nadya zbladła.

– Wie pani, jak dotrzeć do Belyyreki? – spytała niemal szeptem.

– Tego nie powiedziałam. Nie mamy władzy nad Zatopionymi Światami. Nie mogłabym otworzyć do nich drzwi, nawet gdybyś mnie o to poprosiła. Ale znam to miejsce. Jest piękne.

– Tak – potwierdziła Nadya i zaczęła płakać.

Pani Cieni odwróciła się z powrotem do Kade'a.

– Przybyliście niezaproszeni, żeby dręczyć moją pannę służebną, która nadal cierpi po pobycie w waszym towarzystwie. Dlaczego mielibyśmy

pozwolić wam na audiencję u niej? Dlaczego w ogóle mielibyśmy spełniać wasze prośby?

– Bo Nancy mówiła nam, że pani jest dobra – odezwał się Christopher. Patrzył na nią z nabożnym podziwem, jakby od lat nie widział nic piękniejszego. – Mówiła, że przy pani nigdy nie czuła się gorsza tylko dlatego, że jest inna. Pani i mąż byliście powodem, dla którego chciała tu wrócić i zostać na zawsze. Pani uczyniła to miejsce domem. Nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś, kto okazał taką dobroć Nancy, byłby taki okrutny, żeby nam nie pomóc.

– Mariposa, prawda? – Pani Cieni się zamyśliła. – Tyle różnych drzwi, a jednak wszyscy tu jesteście i próbujecie dokonać niemożliwego. Pozwolę wam porozmawiać z Nancy.

– Dziękujemy – powiedział Kade.

– Jeszcze mi nie dziękujcie. Są pewne warunki. Nie możecie nic jeść ani pić. Nie wolno wam rozmawiać z nikim oprócz mnie, mojego męża i Nancy. Żywi, którzy postanawiają spędzić swoje lata na tym dworze, robią to, bo szukają spokoju, ciszy i samotności. Nie potrzebują, byście im przypominali, że kiedyś byli szybcy i gorący. Rozumiecie?

– Tak, proszę pani – zapewnił Kade.

Pozostali skinęli głowami, nawet Rini, która wyglądała na kompletnie oszołomioną. Robiła, co mogła, żeby trzymać język za zębami. Jako że była dziewczyną z Nonsensu, która znalazła się w świecie pełnym zasad, jej wysiłki graniczyły z cudem.

– Dobrze – powiedziała Pani Cieni. – Tędy.

Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi prowadzących do zagajnika.

Drzewa zniknęły. W ich miejscu pojawił się długi korytarz jak z muzeum albo z pałacu, z rzeźbami rozmieszczonymi wzdłuż ścian. Wszystkie posągi stały całkowicie nieruchomo, odziane w śnieżnobiałe drapowane szaty. Nie, nie posągi... ludzie. Ludzie w każdym wieku – od dzieci, które dopiero zgubiły niemowlęce proporcje, po mężczyzn i kobiety starsze od Eleanor, o twarzach pooranych zmarszczkami i chudych kończynach. Zachowali resztki witalności, która zdradzała ich naturę, ale poza tym

równie dobrze mogliby być wyrzeźbieni z kamienia, tak bardzo starali się go imitować.

Rini zadrżała i przysunęła się odrobinę do Kade'a, jakby myślała, że ją ochroni.

– Jak oni mogą stać tak nieruchomo? – wyszeptwała głosem przerażonym i jednocześnie pełnym podziwu. – Ja wpadłabym w drgawki.

– I właśnie dlatego to nigdy nie były twoje drzwi – powiedział Kade. – Nie idziemy tam, gdzie nie powinniśmy być, nawet jeśli czasami rodzimy się w niewłaściwym miejscu.

– Znałam pewnego chłopca, kiedy byłam mała. Jego rodzice wydobywali karmel na północnym paśmie. On nie lubił zapachu czekolady ani sposobu, w jaki topiła się na jego języku. Chciał być czysty, przestrzegać zasad i rozumieć. Zniknął w roku, kiedy zaczęliśmy szkołę, a jego rodzice smucili się, ale powiedzieli, że znalazł swoje drzwi i jeśli będzie miał szczęście, nigdy nie wróci, nigdy, przenigdy.

Kade pokiwał głową.

– Właśnie. Twoja matka i ja urodziliśmy się w tym samym świecie i nie było to dobre dla żadnego z nas, więc udaliśmy się gdzieś indziej. – Kade nie zapytał, jakich rzeczy uczono w szkole w świecie Nonsensu. Jego własny świat był Logiką i to, co miało sens dla Rini, dla niego nie miałoby żadnego.

Ludzie stojący na piedestałach i w ściennych niszach nie mówili ani nie zrobili nic, co by świadczyło, że są świadomi ich obecności. Ich przewodniczka szła dalej, a oni podążali za nią, aż dotarli do podwójnych marmurowych drzwi. Pani Cieni zastukała w nie delikatnie palcem wskazującym. Gdy podwoje się otworzyły, ukazała się sala, która wyglądała jak połączenie katedry z jaskinią.

Pośrodku wznosiło się podium. Stały na nim dwa trony, każdy otoczony przez trzy niskie postumenty z żywymi statuami.

Posągiem najbliższym drzwi była Nancy.

Nancy spokojna. Nancy w swoim żywiole. Wysoka, cicha i silna, z jednym ramieniem uniesionym we wdzięcznym geście, brodą lekko skierowaną ku sufitowi, w pozie uwydatniającej delikatną linię szyi i rzeźbę obojczyka. Jak inne posągi miała na sobie długą białą szatę, ale w przeciwieństwie do tamtych jej szyję zdobiła wstążka czerwona jak wino, jak owoc granatu, tak że cała reszta postaci wyglądała jak monochromatyczny relief. Ktoś ułożył jej biało-czarne włosy w taki sposób, że ciemne pasma zosta-

wione przez palce Pana Umarłych były wyeksponowane niczym honorowa odznaka – bo właśnie tym były.

Christopher zagwizdał cicho.

– Cholera, dziewczyno.

Kade nic nie powiedział, tylko się gapił.

Oba trony były teraz puste. Pani Cieni zaprowadziła ich do podium i zatrzymała się przy swojej służce. Dziewczyna musiała wiedzieć, że tu są, ale niczym się nie zdradziła.

– Nancy, rusz się, proszę – cicho powiedziała Pani Cieni. – Masz towarzystwo.

Nancy poruszyła się jak topniejący szron, najpierw powoli, prawie nieostrzegalnie, potem szybciej, a kiedy skończyła opuszczać ramię i brodę, odwróciła się do nich z czymś zbliżonym do ludzkiej gracji, ale o wiele ją przewyższającej. Spojrzała na ludzi zebranych u stóp jej piedestału, a jej oczy lekko się rozszerzyły.

– Kade – powiedziała. – Christopher... Nadya? – Reszty nie rozpoznała. – Co tutaj robicie? Wszystko w porządku? Jesteście... – Umilkła. – Nie, nie jesteście martwi. Gdybyście byli martwi, nie byłoby was tutaj.

– Nie jesteśmy martwi – zapewnił ją Kade z uśmiechem. – Dobrze cię widzieć, Nancy.

– Was też dobrze widzieć. – Nancy wyczekująco spojrzała na Panią Cieni. Władczyni skinęła głową, a wtedy ona osunęła się na kolana i przyjęła wdzięczną klęczącą pozę na piedestale. Każdy jej ruch był swobodny, wyćwiczony. Robiła to już wcześniej. – Przepraszam, że się nie pożegnałam.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas kiedyś się zegnał – pocieszył ją Kade. – Szczęśliwa?

Uśmiech Nancy był krótki, ale promienny. Artyści byliby gotowi oddać życie za szansę namalowania tej chwili czystej, bezgranicznej błogości.

– Zawsze.

– W takim razie wszystko zostało ci wybaczone. – Kade skinął na Rini, żeby podeszła. – To jest Rini, córka Sumi.

– Co? – Na twarzy Nancy odmalowało się zdumienie na wzmiankę o dawnej współlokatorce. – Sumi nie miała dzieci. Była za młoda. Zresztą by mi powiedziała.

– Powinna wrócić do Krainy Słodocy, uratować świat, wyjść za mąż i urodzić dziecko. – Rini uniosła rękę. Jej dłoń całkiem zniknęła, ramię koń-

czyło się na nadgarstku i na wyrwie, która po niej pozostała w rzeczywistym świecie. – Musi przestać być martwa, wrócić do domu i uprawiać seks, żebym ja mogła żyć!

– Hm – mruknęła Nancy skonsternowana.

– To jest Sumi. – Christopher wskazał na opalizujący szkielet, który stał obok niego. – Mieliśmy nadzieję, że wiesz, gdzie jest jej reszta.

– Masz na myśli jej ducha? – zapytała Nancy.

– Tak.

Sumi nic nie powiedziała, tylko przechyliła na bok lśniąca czaszkę w geście, który był bladym cieniem jej charakterystycznego gestu zaciekania z czasów, zanim umarła, jej ciało i skóra odpadły, a głos ucichł na wieki.

– Nawet jeśli... – Nancy zerknęła na swoją panią, a ona przyzwalająco skinęła głową. – Nawet gdybym potrafiła znaleźć ducha Sumi, nawet gdyby ona tutaj była, jak byście ją poskładali? Nadal by wam brakowało... paru gąbczastych kawałków.

– Pozwól, że my się będziemy o to martwić – powiedział Kade.

Nancy zerknęła na Panią Cieni, a kiedy władczyni ponownie skinęła głową na znak zgody, wróciła spojrzeniem do dawnych przyjaciół i wyjaśniła:

– Nie wszystkie duchy przychodzą tutaj. To nie jest jedyne Podziemie. Sumi może być w tysiącu miejsc albo nigdzie. Czasami ludzie nie chcą dalej istnieć, więc po prostu znikają.

– Możemy spróbować? – zapytał Kade. – Zdaje się, że umieranie, kiedy trzeba ratować świat, może być wystarczającym powodem, żeby zostać tu przez jakiś czas. A wy mieszkaliście razem, kiedy ona żyła. Sumi nigdy nie lubiła być sama.

– Nawet jeśli znajdziecie jej ducha, to tylko jedna część, która czeka na ponowne narodziny – uświadomiła im Nancy. – Reszty tutaj nie ma.

– Musimy spróbować – oświadczyła Rini. – Nie istnieje żadne inne miejsce, do którego moglibyśmy pójść.

Nancy wydała głębokie, powolne westchnienie, które zaczęło się od palców stóp i powędrowało w górę przez całe ciało. Potem rozprostowała nogi, zsunęła się z piedestału i bezgłośnie wylądowała na posadzce. Jej spódnica się zadarła, tak że Kade zobaczył białe stopy i pierścień na każdym palcu, lśniący i srebrny.

– Chodźcie ze mną – powiedziała Nancy, ukloniła się władczyni i ruszyła przed siebie. Każdy jej krok brzmiał jak dzwoneczek, gdy palce stóp dotykały podłogi.

Kade i reszta podążyli jej śladami, zostawiając za sobą Panią Cieni i jej posągi.

Kade patrzył ukradkowo na Nancy, starając się zapamiętać nowy kształt jej twarzy. Wydawała się chudsza, lecz nie alarmująco. Tego rodzaju chudość cechowała zawodowych sportowców w szczycie formy albo ludzi, którzy przez cały dzień podejmują jakiś wysiłek fizyczny. Włosy nadal miała białe, oczy nadal ciemne i nadal była piękna. Boże, ależ była piękna...

Nadya wepchnęła się między nich i spytała:

– Więc to wszystko, co robisz przez cały dzień? Stoisz? Opuściłaś świat pełen gównianych zajęć, żeby móc tutaj stać?

– To coś więcej niż stanie – zaprotestowała Nancy. – Cześć, Nadyu. Dobrze wyglądasz.

– Wysycham, a w tym świecie nie ma żadnych dobrych rzek – odparła Nadya.

– Mamy kilka. – Nancy pokręciła głową. – A ja nie tylko stoję. To jest jak taniec wykonywany w całkowitym bezruchu. Muszę znieruchomieć tak całkowicie, że moje serce zapomina bić, a komórki zapominają się starzeć. Niektóre posągi są tutaj od stuleci, spowolnione niemal do punktu nieśmiertelności, żeby zdobić komnaty naszej pani. To zaszczyt i powołanie, a ja to kocham. Tak bardzo kocham.

– Głupie to trochę.

– Mówisz tak, bo nie zostałam powołana. – To była prawda, prosta i kompletna. Nie wymagała żadnych upiększeń ani uzupełnień.

Nadya odwróciła wzrok.

– W szkole wszystko dobrze – poinformował Kade. – Ciocia Eleanor czuje się lepiej. Ostatnio prawie nie używa laski. Mamy kilkoro nowych uczniów.

– Jedną przyprowadziłeś ze sobą. – Nancy zaśmiała się cicho. – Czy to dziwne, że bardziej mnie to niepokoi niż przyprowadzenie szkieletu?

- Ma na imię Cora. Jest miła. Była syreną.
- Więc nadal nią jest – stwierdziła Nancy. – Zawsze jest nadzieja.
- Sumi mówiła, że nadzieja to ośmioliterowe słowo.
- Miała rację. Nadzieja nigdy nie umiera.

Dotarli do następnych zamkniętych drzwi, tym razem ze srebrnego filigranu, za którymi widniał nieskończony mrok. Gdy drzwi się otworzyły, Nancy wkroczyła w ciemność, która okazała się nie taka całkowita.

W powietrzu wirowały srebrne iskry, śmigając po pomieszczeniu tak szybko i niestrudzenie, jak reszta Dworu Umarłych była cicha i nieruchoma.

Rini głośno nabrała powietrza. Wszyscy się odwrócili.

Sumi była cała pokryta drobinkami światła. Setki iskierek zebrały się na jej kościach i z każdą sekundą ich przybywało. Trzymała szkieletowe ręce w górze, jakby podziwiała lśniące plamki, które osiadły na jej paliczkach. Migotliwe kropki wypełniły nawet jej oczodoły, zastępując puste spojrzenie czymś niepokojąco żywym.

– Ona musi być jedną z nich – stwierdziła Nancy, wskazując na pomieszczenie. – Dusze, które przybywają tutaj na odpoczynek, zjawiają się najpierw w tej komnacie. Tańcząc, pozbywają się niepokoję, zanim odzyskają ciała. Zawołajcie ją i zobaczcie, czy przyjdzie.

– Christopherze? – odezwał się Kade.

– Gram dla szkieletów, a nie dla dusz – zaprotestował Christopher, ale uniósł flet do ust i wydobył z niego niesłyszalną nutę.

Świetliste drobinki opuściły Sumi, wzbiły się w powietrze i zaczęły krążyć wokół niego żywiołowo. Podczas gdy on nadal grał, niektóre światełka oddaliły się od niego, a inne zaczęły skupiać się przed szkieletem Sumi. Cząstka po cząstce zlewały się ze sobą, aż ukazał się jaśniejący, przezroczysty duch nastoletniej dziewczyny.

Miała na sobie typowy szkolny mundurek: białe podkolanówki, plisowaną spódniczkę i blezer zapinany na guziki, a włosy zaplecione w dwa warkocze, okiełznane, utemperowane. To była Sumi, tak, ale Sumi unieruchomiona, Sumi wyzuta ze śmiechu i nonsensu. Rini westchnęła głośno, tym razem z bólem, i uniosła całą rękę i kikut drugiej do ust.

Zjawa spojrzała na szkielet. Szkielet spojrzeł na zjawę.

– Dlaczego ona tak wygląda? – zapytała szeptem Rini. – Co zrobiliście mojej matce?

– Mówiłam ci, że mamy jej ducha, ale nie duszę, nie serce – przypomniała Nancy. – Jej serce było dzikie, a takie tutaj nie trafiają. Inaczej sama nie znalazłabym się w Krainie Umarłych. Nigdy nie byłam dziką istotą. – Spojrzała na widmo Sumi z żalem i, tak, z miłością w oczach. – Wszyscy składamy się ze szkieletu, ciała, duszy i serca. Teraz są tutaj dwa elementy, jeśli Sumi zechce pójść z tobą, ale nie sądzę, żeby było tutaj jej serce.

– Mamo... – Słowo zabrzmiało, jakby wymówiła je dużo młodsza dziewczynka, pasowało do pory spania i złych chwil, otartych kolan i bolącego brzucha. Rini podarowała je duchowi Sumi jak obietnicę i modlitwę jednocześnie, jak coś drogiego. – Potrzebuję cię. Proszę. Jesteś nam potrzebna. Królowa Ciast zwycięży, jeśli nie wrócisz do domu.

Królowa Ciast nigdy nie została pokonana, bo Sumi umarła, zanim zdołała wrócić do Krainy Słodczy i obalić rząd. Rini ratowała nie tylko siebie. Ratowała swój świat, próbowała nie dopuścić do katastrofy.

Wymuskana zjawa Sumi spojrzała na nią pustym wzrokiem. Nancy, która rozumiała tutejszych zmarłych jak nikt inny, odchrząknęła i powiedziała:

– Będzie źle, jeśli z nimi nie pójdziesz.

Zjawa odwróciła się i spojrzała na nią, a potem skinęła głową, zrobiła krok do przodu i otoczyła szkielet fantomowym ciałem. Rini wyciągnęła do niej rękę i zamarła w pół ruchu, kiedy zobaczyła, że zniknęły kolejne dwa palce.

– Musimy się pośpieszyć – stwierdziła.

– Musicie zapłacić – odezwał się obcy głos.

Wszyscy odwrócili się jednocześnie. Tylko Nancy się uśmiechnęła, kiedy zobaczyła mężczyznę stojącego w drzwiach. Był wysoki i chudy, o skórze koloru popiołu wulkanicznego i włosach barwy kości. Podobnie jak żona miał na sobie powłóczystą szatę, niemal grecką w kroju, która podkreślała długość jego kończyn i szerokość ramion.

– Tutaj nic nie ma za darmo – dodał. – Nic do picia, nic do jedzenia, słyszysz goście po przybyciu. Dlaczego sądzicie, że oddam wam nasze skarby, skoro nie dzielimy się nawet wodą? – Jego głos był niski, głęboki i nieuchronny jak śmierć gwiazd.

– Jak mamy zapłacić, panie? – zapytał Kade ostrożnie.

Pan Umarłych spojrzał na niego jasnymi, bezlitosnymi oczami.

– Jedno z was będzie musiało tu zostać.

Płacimy, ile trzeba; życie toczy się dalej

– Nie – oświadczył Kade bez wahania. – Nie jesteśmy na sprzedaż.

– To nie jest sprzedaż, tylko wymiana – rzekł Pan Umarłych. – Chcecie zabrać jedną z moich mieszkanek, obiecać jej, że znowu będzie żywa, choć nie ma takiej możliwości. Zabroniłbym wam tego, gdybym sądził, że posłuchacie, ale nie pierwsi spośród żywych próbujecie odgrywać Orfeusza i wabić to, co moje. Wyznaczenie ceny to jedyny sposób, żeby ludzie nie okradli mnie ze wszystkiego.

– Panie – odezwała się Nancy i dygnęła nisko. Gdy zgięła się w pół, znieruchomiała w tej pozycji i zamieniła w posąg.

Pan Umarłych się uśmiechnął. Wyglądał dziwnie ludzko, kiedy się uśmiechał.

– Moja Nancy. – W jego głosie bez wątpienia brzmiała czułość. – To są twoi przyjaciele?

– Ze szkoły – potwierdziła Nancy, prostując się. – To jest Kade.

– Aha. Ten słynny chłopiec. – Pan Umarłych odwrócił się do Kade'a. – Nancy cię wychwala.

– Dostatecznie mocno, żeby dał nam pan zniżkę?

– Niestety.

– Zaczekajcie. – Nadya zrobiła krok do przodu i nerwowo obejrzała się na innych. Jej włosy, suche po tak długim czasie bez wanny i żółtawego stawu, wyglądały jak puszyste brązowe chmury wokół głowy. – Panie Umarłych, ma pan tutaj żółwie? Nie duchy żółwi, tylko prawdziwe żółwie, które pływają w stawach i robią żółwiowe rzeczy.

– W Rzece Zapomnianych Dusz są żółwie – odpowiedział Pan Umarłych, lekko skonsternowany.

– Okay, okay. Bo pańska... eee, żona mówiła, że zna Belyyrekę. Właśnie tam zaprowadziły mnie drzwi. Do Zatopionego Świata, w którym byłam Utopioną Dziewczyną. I nadal nią jestem. Tam, skąd przychodzę, jest za sucho. Powietrze nie ma litości.

– Znam to miejsce – rzekł Pan Umarłych.

– Drzwi mogą otworzyć się wszędzie, jeśli światy leżą dostatecznie blisko siebie, prawda? Rini – Nadya wskazała skinieniem głowy na pociągającą nosem dziewczynę o oczach jak kukurydziane cukierki – mówiła, że pewien chłopiec z jej świata znalazł swoje drzwi i odszedł do miejsca, do którego lepiej pasował. Gdybym tutaj została, a Belyyreka chciała mnie z powrotem, moje drzwi by mnie znalazły?

– Nadyu, nie – zaprotestowała Cora.

– Tak – powiedział Pan Umarłych. – I jeśli chodzi o Belyyrekę, puściłbym cię tam. Usunąłbym się i zrezygnował ze wszystkich roszczeń do ciebie.

Nadya rozejrzała się po pozostałych.

– Jestem w szkole od pięciu lat. Za miesiąc skończę siedemnaście. Jeszcze rok i zostanę absolwentką, a rodzina będzie oczekiwać, że zrobię coś ze swoim życiem. Nie mogę tylko odliczać czasu. Chcę wrócić do domu, a to oznacza czekanie, aż Belyyreka wezwie mnie z powrotem. Nie jestem wygnańcem politycznym jak Sumi. Nie jestem wygnańcem kulturowym jak Kade. Po prostu porwał mnie niewłaściwy prąd. Chcę wrócić do domu. Mogę równie dobrze poczekać tutaj, jak na kampusie.

– Nadyu, nie – powtórzyła Cora z większą desperacją. – Nie możesz mnie zostawić. Jesteś jedyną prawdziwą przyjaciółką, jaką mam.

Uśmiech przemknął po twarzy Nady i zaraz zgasł.

– Widzisz, to najlepszy powód, żeby tutaj została. Musisz zawrzeć więcej przyjaźni, Coro. Nie mogę być jedyną bliską ci osobą.

– Ciocia Eleanor mnie zabije – wymamrotał Kade.

– Nie, kiedy jej powiesz, że to był mój wybór i że to miejsce jest bliżej Belyyreki niż szkoła. – Nadya zbyła jego słowa niedbałym machnięciem ręką i odwróciła się do Pana Umarłych. – Jeśli wypuści pan moich przyjaciół i pozwoli mi wrócić do domu, kiedy pojawią się moje drzwi, zostanę tutaj. Będę polować w pańskich rzekach, terroryzować pańskie żółwie i nigdy nie będę nieruchoma, ale pan nie chce kogoś nieruchomego, bo inaczej nie prosiłby pan o nikogo z nas. Po prostu ktoś musi zostać, żeby pan czuł, że wszystkim rządzi.

– Winny zarzucanych mu czynów – przyznał Pan Umarłych z lekkim uśmiechem. – Zostaniesz?

– Zostanę.

Kade zamknął oczy ze zbolaną miną.

– Umowa przypieczętowana – oznajmił Pan Umarłych. – Zapłata uiszczona. Duch może iść z wami. Nancy?

– Tak, panie?

– Zaprowadź swoją przyjaciółkę do rzeki.

– Tak, panie. – Nancy spojrzała na Nadyę. – Chodź ze mną.

Pozostali patrzyli w milczeniu, jak dziewczyna, która ich opuściła, żeby zdobić komnaty swojego Pana, prowadzi Utopioną Dziewczynę w stronę rzeki, w stronę przyszłości, w stronę tego, z czym ta przyszłość mogła się wiązać. Żadna z nich się nie obejrzała. Żadna się nie pożegnała. Szkielet Sumi obleczony w zjawę cierpliwie przypominał, dlaczego postanowili zapłacić tę cenę i co za nią dostaną.

– Dziękuję, panie – powiedział w końcu Kade. – Teraz już pójdziemy.

– Zaczekaj – odezwał się Christopher.

Pan Umarłych przeniósł na niego wzrok.

– Tak, dziecko Mariposy?

– Mogę fletem przywoływać kości zmarłych z ziemi i w Mariposie to wystarczy. Ale Sumi czegoś brakuje. Nonsens tutaj nie trafia, powiedziała Nancy. W takim razie gdzie?

– Do tego samego miejsca, do którego nonsens zawsze ciągnie – odparł Pan Umarłych. – Do domu. Nawet jeśli drzwi nie otwierają się za życia wędrowca, on znajduje odpoczynek po śmierci.

– Do domu – powtórzył Kade wolno i spojrzał na Rini. – W porządku. Zabierz nas do Krainy Słodocy.

Jej oczy się rozjarzyły. Rini bez wahania uniosła bransoletkę do ust i odgryzła następny koralik. Schrupała go głośno i połknęła.

Portal otworzył się szeroko tuż pod jej stopami, a oni w niego wpadli – czwórka nastolatków i jeden migotliwy szkielet. Rini śmiała się przez całą drogę na dół. Drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Pan Umarłych popatrzył na miejsce, w którym przed chwilą się znajdowały, po czym westchnął i machnął ręką, posyłając na pokój płamki światła. Żywi zawsze tak się śpieszyli. Wkrótce się nauczą.

Drzwi Rini otworzyły się nad czymś, co Cora nazwałaby oceanem, gdyby nie był jaskraworóżowy i delikatnie musujący. Lecąc w dół, Christopher zwinął się w kłębek i całym ciałem ochraniał flet. Kade spadał jak amator, w panice wymachując rękami i nogami. Rini śmiała się i wirowała dziko w powietrzu, jakby nie wierzyła, że grawitacja zrobi jej krzywdę. Szkielet Sumi po prostu opadał spokojnie. Martwi ludzie prawdopodobnie nie bali się, że utoną.

Cora, kiedyś czarny koń szkolnej drużyny pływackiej, wygięła ciało w łuk i wyciągnęła przed siebie ramiona ze złączonymi dłońmi i pochyloną głową, żeby zmniejszyć ryzyko złamania karku przy uderzeniu. Nieczęsto się zdarzało, żeby nurkujący skakali z takiej wysokości.

Lecę, pomyślała oszołomiona. I kogo obchodziło, że morze w dole jest różowe, a powietrze pachnie cukrem i syropem truskawkowym? Kogo to obchodziło? Szkoła miała staw z żółwiami i wanny dostatecznie duże, żeby Cora mogła zanurzyć się po sam nos, tak że nad powierzchnię wystawały tylko małe wysepki kolan i brzuch, ale nie było tam basenu, nie było oceanu. Nie pływała, odkąd opuściła Rowy, i każda cząsteczka jej ciała tęskniła za chwilą, kiedy otoczy ją morze.

Uderzyli w powierzchnię jednocześnie: Kade i Christopher z wielkimi rozbryzgami, Rini i Sumi z mniejszymi, a Cora przecięła fale jak harpun i pomknęła w różowe bulgoczące głębiny.

Pierwsza się wynurzyła. Siła wytrenowanych syrenich kopnięć nogami wyniosła ją nad różową pianę. Cora zaczęła się krztusić.

– To woda sodowa! – wykrzyknęła.

Rini się zaśmiała.

– Truskawkowo-rabarbarowa! – Jedno jej ucho zniknęło, podążając w nicość za palcami. Chyba tego nie zauważyła. – Jesteśmy w domu, jesteśmy w domu, jesteśmy w domu, w pianie! – Opryskała Corę, posyłając kropelki wody sodowej we wszystkie strony.

Gdy Kade się wynurzył, zaczął kaszleć i prychać. Lekkie kości Sumi po prostu uniosły się na powierzchnię.

Cora zmarszczyła brwi.

– Gdzie Christopher? – zapytała, patrząc na Kade'a.

– Co masz na myśli?

– Widziałam, gdzie wszyscy są, kiedy spadaliśmy. – Tylko ona była dostatecznie opanowana, żeby zwracać na to uwagę. Pozostali wpadli w panikę albo lecieli w dół jak kamień, nie próbując rozeznaczyć się w sytu-

acji. Nie mogła ich za to winić. Życie przygotowało każde z nich do czegoś innego. – Był tuż obok mnie.

Oczy Kade'a się rozszerzyły.

– Nie wiem.

Nie było czasu na rozmowy, jeśli Cora chciała, żeby wszystko dobrze się skończyło. Wzięła oddech i zanurkowała, żałując, że nie ma gumki do włosów, a jeszcze lepiej – skrzeli.

Truskawkowo-rabarbarowa woda sodowa – Kto to wymyślił? Wszyscy dostaną infekcji dróg moczowych! – była przezroczyista, lżejsza od normalnej wody. Bąbelki szczypały ją w oczy, ale potrafiła radzić sobie z takim dyskomfortem. Chlor bywał gorszy.

(Trudno było nie myśleć o uszkodzeniach, które może spowodować cukier i dwutlenek węgla, ale przecież Rini się nie martwiła, a to był jej ocean, świat Nonsensu. Może tutaj wszystko inaczej działało. Wszędzie, dokąd Cora trafiała, rzeczy wyglądały inaczej. W tej krainie również, bo w przeciwnym razie nie byłiby w stanie utrzymać się na powierzchni).

Obok przepłynął długi węgorz, jakby ulepiony z masy ciągutkowej. Dziwny kształt jego ciała podsuwał obraz miętowych rekinów, żółwi ze skorupami z dropsów, żelkowych ryb i meduz, całego ekosystemu z żywego cukru, rozkwitającego w miejscu, gdzie panowały inne zasady i nie przejmowano się tym, jak sprawy wyglądają gdzie indziej. To „gdzie indziej” było legendą i kłamstwem, póki samo nie zaczęło cię szukać.

Dalej w dół. Cora nurkowała w głąb truskawkowo-rabarbarowego morza, aż zobaczyła, że obok niej powoli opada coś ciemnego. To coś wyglądało zbyt solidnie, żeby być z cukru i nadawać się do torby ze słodyczami. Cora przyśpieszyła, instynktownie złączając nogi i mknąc w dół delfinem. Była bohaterką Rowów, syreną, która pływała, jakby gonił ją sam diabeł. Mimo braku płetw i łusek szybko znalazła się obok Christophera.

Jego oczy były zamknięte. Z nosa ani ust nie wylatywały żadne bąbelki. Ale w ręce mocno ścisnął kościany flet. Może to oznaczało, że nadal żył? Inaczej by go chyba wypuścił?

Normalnie Cora wsunęłaby ręce pod jego pachy i przyciągnęła go do siebie, ale gdyby przez to zgubił flet, na pewno by się upierał, żeby po niego wrócić – po ten ostatni kawałek domu. Cora mogła to zrozumieć. Przytuliła go do piersi, jak pan młody przenoszący świeżo poślubioną żonę przez próg albo Potwór z Czarnej Laguny wychodzący z wody ze swoją ofiarą na rękach.

I popłynęła w górę.

Czasami myślała, że urodziła się jako syrena, czas spędzony wśród dwunożnych istot był zwykłym przypadkiem, a jej rzeczywistością... płetwy. I mokra, wodna egzystencja, wolna od tyranii grawitacji, która starała się zrujnować jej dzień jeszcze bardziej niż zwykle, poczynając od upadku Rini do stawu żółwiowego. Kopnęła nogami, a morze odpowiedziało, pchając ją w górę, zmieniając wysiłek w pęd.

Tutaj i teraz życie było takie, jakie powinno być. Tylko ona i otoczenie, w którym jej rozmiary stanowiły atut, a nie przeszkodę. Płuca miała pojemne. Nogi i ręce silne. Nawet ciężar Christophera jej nie spowalniał.

Przebili się na powierzchnię w fontannie wody sodowej i bąbelków. Czekając na nich, Rini i Kade nadal podskakiwali na falach, a szkielet Sumi dryfował jak zabawka do kąpielii najbardziej ponurego dziecka na świecie.

Głowa Christophera zwisała bezwładnie, jego usta były otwarte, na brodę ściekał strumyk różowej wody. Cora rozejrzała się gorączkowo, aż dostrzegła w oddali pas łądu. Nie znajdował się daleko, może pięćdziesiąt jardów. Wiedziała, że da radę.

– Chodźcie! – krzyknęła i popłynęła w stronę plaży.

Szybko zdystansowała towarzyszy. Nie miało to jednak znaczenia. Oni nie mieli znaczenia. Christopher tonął, prawie się utopił. To jego musiała ratować.

Niemal w mgnieniu oka dotarła do brzegu i wygramoliła się na niechcianych nogach z musujących fal. Łąd był z brązowego cukru i kruszonki, stwierdziła Cora, kiedy kładła na nim Christophera. Chłopak nadal się nie ruszał. Cora przekręciła go na bok i zaczęła bić po plecach, aż z jego ust trysnął różowy płyn i szybko wsiąknął w cukrową plażę. Lecz Christopher nie otwierał oczu.

Cora się skrzywiła, gdy zrozumiała, co musi zrobić. Odwróciła go z powrotem na plecy i zaczęła robić sztuczne oddychanie. Między dziewiątą a dziesiątą klasą zaliczyła wszelkiego rodzaju kursy ratownictwa, bo zamierzała spędzić lato na basenie i chronić dzieci przed utonięciem. A może nawet te grubsze i bardziej nieśmiałe przed rówieśnikami, którzy zawsze znajdowali pretekst do drwin.

(Nie liczyła na swoich rówieśników, którzy byli jeszcze bardziej skłonni wyśmiewać się z innych niż ich młodszy bracia i siostry. Trudno było zliczyć karteczki zostawiane w jej szafce, okrutniejsze niż te, które dostawała w szkole, gdzie przynajmniej uczniowie byli do niej przyzwyczajeni

i nauczyli się myśleć o niej inaczej niż jako o „tej grubej dziewczynie”. Nigdy nie nosiła czerwonego kostiumu pływackiego ani gwizdka. Robiła... coś innego, a kiedy obudziła się w Rowach, pomyślała, że zaświaty są zaskakująco miłe. Nie zdawała sobie sprawy, że to nadal jest życie, a ono zawsze znajdzie nowy sposób, żeby być okrutnym).

Oddychała za niego, naciskała na jego pierś, aż Christopher sam zaczerpnął tchu, przewrócił się na bok i po raz drugi wymiotował różowy płyn na piasek. Zaczął kaszleć, a ona pomogła mu usiąść i zaczęła łagodnie, powoli masować jego plecy.

– Oddychaj – powiedziała. – Musisz oddychać.

Za sobą usłyszała jakieś zamieszanie, ale się nie odwróciła. Wiedziała, co by zobaczyła: dwoje ludzi, którzy nie pływali za dobrze, chwiejnie wychodziło na brzeg, a za nim szkielet. Nie potrafiła stwierdzić, kiedy takie widoki stały się nową normalnością.

Christopher zakaszlał znowu, a potem gwałtownie uniósł głowę i jego oczy rozszerzyły się z przerażenia. Cora westchnęła.

– Masz go w ręce. Nie pozwoliłabym ci go wypuścić.

Chłopak spojrzał w dół i odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył flet. Nadal się nie odzywał.

Cora usiadła na piętach, cała pokryta lepkim różowym płynem, i po raz pierwszy od opuszczenia Rowów poczuła się niemal zadowolona. Niemal jak w domu. Odwróciła się do Kade'a i Rini.

– Nic mu nie będzie.

– Dzięki Bogu – powiedział Kade. – Ciocia Eleanor może i mi wybaczy, że Nadya postanowiła zostać w Podziemiu, które może graniczyć z jej światem, ale nie wybaczyłaby żadnego utonięcia.

– Dlaczego miałoby mu coś być? – zapytała Rini. – To tylko cukier.

– Ludzie, który stąd nie pochodzą, mogą umrzeć, jeśli wciągną do płuc za dużo płynu – wyjaśniła Cora. – To się nazywa „utonięcie”.

Rini zrobiła zaniepokojoną minę.

– Jaki okropny musi być ten wasz świat. Nie chciałabym żyć w miejscu, gdzie matki umierają, a ludzie nie mogą oddychać w morzu.

– Tak, trzeba radzić sobie z tym, co się ma – mruknęła Cora, myśląc o tabletkach, basenach i utonięciach. Odwróciła się z powrotem do Christophera.

– Myślisz, że dasz radę wstać?

On skinął głową, nadal bez słowa. Cora wsunęła ręce pod jego pachy i wstała, ciągnąc go ze sobą. Christopher zakaszłał jeszcze raz i przycisnął rękę do gardła.

– Piecze – wychrypiał.

– To dwutlenek węgla – powiedziała Cora. – Nie oddycha się wodą sodową. Zwykłą też nie, chyba że jest się do tego przystosowanym. Chlor również potrafi mocno podrażnić. To minie.

Christopher pokiwał głową, opuścił rękę i dołączył ją do drugiej, ściskając flet, już suchy i bez śladów po kąpieli w różowym barwniku.

Tego samego nie można było powiedzieć o pozostałej trójce. Biała koszula Kade'a miała teraz przyjemny odcień różu, suknia Rini mniej przypominała roztopiony sorbet, a bardziej truskawkowe smoothie. Ciemne ubranie Cory zachowało kolor, ale skarpetki już nie były białe. Nawet Sumi lśniła od malutkich kropelek różowego płynu, które wyglądały w słońcu jak klejnoty.

– Robi się coraz dziwniej, a ja nie jestem pewna, czy mi się to podoba – stwierdziła Cora.

Kade posłał jej współczujące spojrzenie i przesunął dłonią po włosach. Na ziemię spłynęła kleista fala wody sodowej.

– Staraj się o tym za dużo nie myśleć. Nie wiemy, ile logiki może znieść to miejsce, a jeśli spróbuje nas złamać, bo stosujemy za dużo zasad, będziemy mieli problem. – Odwrócił się do Rini. – Teraz jesteś u siebie. Dokąd mamy pójść, żeby znaleźć nonsens twojej matki? Będziemy go potrzebowali, jeśli chcemy poskładać ją z powrotem.

Cora stłumiła chichot. Wiedziała, że jej śmiech zabrzmiałby histerycznie, jakby już dłużej nad sobą nie panowała. Niewykluczone. Była solidną, praktyczną osobą i choć akceptowała istnienie magii – trudno nie akceptować, zważywszy na okoliczności – między uznaniem, że „magia jest prawdziwa, inne światy są prawdziwe, syreny mogą być prawdziwe w świecie, który je chce” a „wszystko jest prawdziwe, kobiety spadają z nieba do żółwiowych stawów, szkielety chodzą, a my zostawiliśmy najlepszą przyjaciółkę w podziemnym świecie” zostawało jeszcze sporo innych możliwości.

Po powrocie do szkoły zamierzała przygotować sobie gorącą kąpiel, zwinąć się w wannie i spać wiele dni.

– To Truskawkowe Morze – powiedziała Rini, rozglądając się niepewnie. – Na zachodzie są Góry Bezowe, a na wschodzie Wielka Cukrowa Góra. Jeśli wytyczymy kurs między nimi, przez Lukrowy Las, powinniśmy

dotrzeć do ziem uprawnych. Tam jest mój dom. Tam powinna być moja matka. Jeśli jej nonsens miałyby dokądś pójść, to pewnie właśnie tam.

– Nie rozumiem – stwierdziła Rini.

– Skoro normalnie ludzie tutaj nie toną, kiedy oddychają wodą, a Christopher prawie utonął, do Krainy Słodyczy wdziera się logika – wyjaśnił Kade. – Musimy naprawić twoją matkę i wydostać się stąd, zanim ten świat postanowi nas wypędzić.

– Dokąd pójdziemy? – zapytała Cora.

– To rodzaj filozoficznego pytania, które moja ciocia kocha, a ja nienawidzę. Może wrócimy do szkoły. Albo do Krainy Umarłych, utkniemy tam na zawsze i będziemy patrzeć, jak Nancy odstawia ogrodowego krasnala. A może damy się wykopać z powrotem przez nasze drzwi. – Jego usta zmieniły się w cienką, ponurą kreskę. – Dobrze dla was. Nie tak dobrze dla mnie.

Cora nie знаła wszystkich szczegółów, ale dość, by wiedzieć, że tylko on jeden spośród wszystkich uczniów nie chciał wrócić do swojego świata. Podczas gdy reszta z nich szukała drzwi, on tylko siedział i obserwował, zadowolony, że szkoła będzie jego domem do końca życia. I dobrze. Ktoś musiał pilnować latarni morskiej, bo zawsze trafiają się zagubione dzieci szukające światła. Jednocześnie wydawało się to okropne. Nie powinno być tak, że ktoś znajduje swoje miejsce, a potem je odrzuca.

– Kraina Słodyczy to Kraina Słodyczy – powiedziała Rini, wyraźnie zakłopotana. – Mama zawsze powtarzała, że to Nonsens, a potem się śmiała, całowała mnie i mówiła: „Ale rzeczy nadal robią to, co robią, a dzieci nadal się rodzą”.

– Więc to jest świat Nonsensu ze stałymi wewnętrznymi zasadami – stwierdził Kade z ulgą w głosie. – Pewnie znajdujecie się przy granicy Logiki albo macie silne fundamenty Rozumu. Tak czy inaczej, raczej nas nie wyrzucą, póki nie zaczniemy kwestionować otaczającej nas rzeczywistości. Nikt nie mówi o jedzeniu.

– Nie planowaliśmy – odparł Christopher.

Cora, która powoli zaczynała sobie uświadamiać, że jest grubaską w świecie zbudowanym z ciasta – coś, co uczniowie z dawnej szkoły pewnie nazwaliby jej najbardziej skrywaną fantazją – nic nie powiedziała, ale jej twarz zapłonęła czerwienią.

Całą piątką ruszyli po kruszonkowej plaży w stronę znajdujących się przed nimi skał z razowych krakersów i kruchych ciastek. Tylko Sumi nie

miała kłopotów z nierównym terenem. Była zbyt lekka, żeby grzęznąć w piasku, szła po nim lekko i zwinnie, zostawiając za sobą kościane odciski. Stanowiła dziwne połączenie niemożliwości: tęczowego szkieletu i poważnej nastolatki jak z czarno-białej odbitki z negatywu, a sam jej widok przyprawiał Corę o dreszcz. Żaden z obrazów Sumi z osobna nie byłby zły. Razem w jakiś sposób wydawały się odpychające – zbyt dysonansowe, żeby uznać je za możliwe, i zbyt konkretne, żeby je odrzucić.

– Jak daleko jest do twojej farmy? – zapytał Kade.

Rini zastanawiała się przez chwilę.

– Nie więcej niż dzień drogi. „Dobra jednodniowa podróż jest jak soda do pieczenia: użyj jej właściwie, a ciasto wyrośnie ci na spotkanie”.

Christopher zamrugał.

– Masz na myśli, że ten świat zmienia się tak, żeby każde miejsce, do którego chcesz dotrzeć, znalazło się w odległości jednego dnia drogi?

– Jasne – potwierdziła Rini. – Nie tak to działa tam, skąd pochodzisz?

– Niestety nie.

– Hm – mruknęła Rini. – I to mój świat nazywacie nonsensownym.

Christopherowi nie przyszła do głowy żadna sprytna riposta.

Corę rozboleły łydki, zanim dotarli do końca plaży, tak że solidne skalne podłoże z wypieków przyniosło jej ulgę. Razowy krakers i kruche ciasto miały większą sprężystość niż skała, więc chodziło się po nich jak po gumowej nawierzchni na placu zabaw. Nadal marzyła o tym, żeby usiąść, ale jeśli tutaj wszystkie drogi były takie jak ta, jeszcze trochę mogła wytrzymać.

Nie uszli daleko, kiedy pojawiła się pierwsza roślinność... jeśli można było ją tak nazwać. Drzewa miały pnie z piernika i karmelu, liście z waty cukrowej i gumisiowe owoce. Trawa wyglądała, jakby wyciśnięto ją z rękawa cukierniczego. Rini zatrzymała się, wspięła na palce i z niższych gałęzi zerwała garść ciasteczkowych lizaków. Zaczęła je pogryzać, idąc dalej.

– Jedzenie ziemi nigdy nie jest dobrym pomysłem – ostrzegła beztrojskim tonem, z ciastem między zębami i lukrem na wargach. – Ludzie po niej chodzą.

– Ale skoro ziemia jest jadalna, jakie ma znaczenie, że czyjeś stopy są brudne? – zapytał Christopher.

Rini przełknęła, a potem rzuciła mu miażdżące spojrzenie i powiedziała:

– Bo siusiamy. Ludzie siusiają, a potem inni ludzie w to wchodzą i idą dalej. Nie chcę jeść czegoś, na co ktoś nasikał. To obrzydliwe. Tam, skąd pochodzisz, je się siki?

– Nie!

– A co z sikaniem?

– Żaden ze szkieletów z Mariposy... tego nie robi. Czasami jedzą i nadal cieszą się smakiem wina i piwa imbirowego, ale nie mają żołądków, więc wszystko przez nie przelatuje.

Cora łypnęła na niego.

– Ale ty...

– Nie pytaj. – Christopher pokręcił głową. – To była kłopotliwa i nieprzyjemna kwestia, ale w końcu ją rozpracowaliśmy, a ja nie chcę o tym rozmawiać.

– Rini, jak to możliwe, że wszystko tutaj jest z cukru oprócz ludzi? – zagadnął Kade, żeby nie musieć słuchać dalszych wyjaśnień.

– Och, to proste. – Rini zjadła następnego lizaka. – Kraina Słodyczy jest jak łamiszczyki. Kolejne warstwy, jedna na drugiej, schodzące aż do samego środka, który jest twardą małą kulką z kamienia i smutku. Coś jak wasz świat, tylko że mniejszy.

– Dzięki – rzucił Kade.

Rini nie zwróciła na niego uwagi, tylko mówiła dalej:

– To jest świat, więc choć nikt w nim nie mieszkał, w końcu ktoś znalazł do niego drzwi. Rozejrzał się i pomyślał: „Okropność”, a potem: „Przydałoby się jakieś pieczywo”. Później znalazł piec i wszystko, co potrzebne do zrobienia chleba, bo Kraina Słodyczy już chciała się narodzić. Tak więc ta osoba piekła, piekła i piekła. Upiekła tyle chleba, ile mogła zjeść, potem upiekła sobie łóżko, a następnie dom, żeby do niego wstawić to łóżko. Wtedy pomyślała: „Miło byłoby chodzić po czymś miękkim”. I upiekła dość chleba, żeby powstała droga opasująca cały świat dwa razy, tak że kamień zniknął i powstało całe królestwo z chleba. Nadal jednak ten świat był bardzo mały, aż w końcu ta osoba się znudziła, upiekła sobie drzwi do domu i nigdy nie wróciła. – Rini umilkła na chwilę. – Ale jej córka to zrobiła. Niezbyt lubiła chleb, bo przez całe życie była córką piekarki, ale, rany, uwielbiała ciastka...

Opowieść ciągnęła się i ciągnęła, Rini mówiła o stworzeniu Krainy Słodyczy, zataczając wielkie, leniwe pętle. Piekarki, niekończący się ciąg piekarek, jedna po drugiej przechodziły przez drzwi, które upiekła ta pierwsza.

Każda zostawała dostatecznie długo, żeby dołożyć do świata kolejną warstwę, stać się kolejnym nazwiskiem w panteonie kulinarnych bogów Krainy Słodocy.

– ...a kiedy cukierniczka od brownie położyła ostatnią warstwę świata, zaczęły wyrastać rośliny. Chyba właśnie to się dzieje, kiedy jest tyle cukru w jednym miejscu.

– Nie – sprzeciwiła się Cora. – Wcale nie.

Chciała dodać coś więcej: że chleb wysycha albo pleśnieje, lody zwykle nie są dostatecznie stabilne, żeby służyć jako podstawa lodowca, nieważne, jak bardzo są zimne, ale ugryzła się w język. Zasady były tutaj inne niż w Rowach, Krainie Umarłych i we wszystkich światach po drugiej stronie znikających, niemożliwych drzwi.

Rini pewnie byłaby przerażona, gdyby usłyszała o pleśniejącym chlebie, psujących się zamrażarkach i innych niemiłych rzeczach, które po drugiej stronie drzwi mogą się przytrafić budulcowi jej świata. I może to wyjaśniało powstanie Krainy Słodocy. Może pierwsza piekarka, dziewczyna, która po prostu chciała upiec chleb, przybyła z miejsca, gdzie pieczywo czerstwiało, zanim się je zjadło. Tak więc piekła, piekła i piekła, aż jej brzuch już nigdy nie był pusty i nie bała się umrzeć z głodu, a potem wróciła do domu, nauczywszy się tylko jednej rzeczy, której mógł jej nauczyć mały, pusty świat.

Według Rini Kraina Słodocy była jak łamiszczęki. Cora pomyślała, że jest bardziej jak perła – kolejne warstwy otaczające pierwotną, przemożną potrzebę, na przykład głód. A jeśli wszystkie światy tak powstały? Jeśli zostały zbudowane przez wędrowców, którzy natrafili na drzwi i znaleźli drogę do jakiegoś idealnego miejsca, miejsca hiperrealistycznego, miejsca, którego pragnęli? Miejsca, gdzie mogli zaspokoić to pragnienie?

Plażę zostawili tak daleko za sobą, że nie docierał już do nich szum fal, ale powietrze nadal lekko pachniało truskawkami. Cora przypuszczała, że to woda sodowa wsiąkła w ich ubrania, które teraz, szybko schnąc, zaczynały kleić się do skóry. Przeleciała nad nią mucha z czarnej żelowej fasolki, z nogami z cienko poskręcanej lukrecji. Cora ją odpędziła.

Rini zatrzymała się, nie przestając żuć ciasteczkowych kulek.

– Oho – powiedziała z pełnymi ustami i przełknęła. – Mamy problem.

– Jaki? – zapytał Kade.

Rini pokazała palcem.

Przed nimi ze wzgórza z tarty melasowej i bezy zjeżdżał oddział, który mógł stanowić szpicę armii. Z tej odległości nie dało się stwierdzić, czy konie są prawdziwe, czy niezwykle pomysłowo ulepione z ciasta, ale nie miało to znaczenia, bo miecz z cukru mógł być dostatecznie ostry, żeby przebić ciało aż do kości. Rycerze dosiadający tych nieustępliwych rumałów nosili zbroje z folii aluminiowej, które lśniły w słońcu. Nie było wątpliwości co do ich zamiarów.

– Może spadajmy? – Rini odwróciła się i zaczęła biec. Reszta popędziła za nią.

Oczywiście, że próbowali uciekać. Inna reakcja byłaby niemądra.

Oczywiście, że im się nie udało. Z całej piątki tylko Cora regularnie biegała i choć potrafiła być całkiem szybka, jeśli chciała, zawsze bardziej interesowały ją długie dystanse niż sprint. Sumi brakowało mięśni, które pozwoliłyby jej wykorzystać lekką budowę. Rini biegła jak ktoś, kto nigdy nie uważał ćwiczeń fizycznych za konieczną część codziennego życia. Była szczupła, ale bez formy. Pierwsza została z tyłu.

Kade i Christopher starali się, jak mogli, ale jeden był krawcem, a drugi niedawno omal nie utonął. Żaden z nich nie trenował biegania. Wkrótce uciekinierzy zostali otoczeni przez konnych rycerzy zakutych w zbroje.

Z bliska wierzchowce rzeczywiście były z ciała i krwi, natomiast pancerze wyglądały na zrobione z landrynek i posypki orzechowej owiniętych folią aluminiową, żeby nie kleiły się do ludzkiej skóry i końskiej sierści.

– Onishi Rini, jesteś aresztowana za zbrodnie przeciwko Królowej Ciast – ogłosił dowódca. – Pójdiesz z nami.

– Cholera! – rzucił Christopher, i miał rację. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Część III

Upiecz mi górę, polukruj niebo

Jeńcy cudzej wojny

Rycerze wydobyli skądś zadziwiającą ilość sznura skręconego z waty cukrowej, związali nim swoich jeńców i przerzucili ich przez końskie grzbiety niczym rzeczy do prania. Najwyraźniej bali się dotykać Sumi w jej całej szkieletowej glorii, aż w końcu musieli zarzucić jej pętlę na szyję jak psu. To wystarczyło, żeby potulnie wlokła się za wolno jadącą grupą, bez protestów czy próby ucieczki.

Wszyscy zostali dokładnie przeszukani, zanim ich skrupowano. Żołnierze skonfiskowali im to, co uznali za potencjalnie niebezpieczne, w tym bransoletkę Rini i kościany flet Christophera. Cora starała się nie myśleć za dużo o tym, co może oznaczać utrata bransoletki. Z pewnością czarnoksiężnik, który dał ją Rini, mógł wykonać następną, żeby mieli jak wrócić do panny Eleanor, kiedy to wszystko się skończy. Z pewnością nie utkną w świecie jeszcze mniej dla nich odpowiednim niż ten, w którym się urodzili. Ona nadal nie potrafiła myśleć o szkole panny West jako o domu ani nawet rozważać powrotu do rodziny, która czekała na dzień, kiedy zostanie wyleczona ze wszystkiego, co czyniło ją tym, kim była, ale...

Ale nie mogła zostać tutaj. To wcale nie była fantastyczna przygoda, tylko koszmar cukierkowej krainy, o którym, zdaniem dzieciaków z jej dawnej szkoły, powinna marzyć, a z którym ona nie chciała mieć nic wspólnego. Zupełnie nic.

Rycerze galopowali, jeńcy dyndali na siodłach, wszystko zaczęło zlewać się ze sobą, jakby krajobraz wokół nich przyśpieszał. Logicznym nonsensem Krainy Słodocy było to, że wszystko znajdowało się nie więcej jak dzień drogi od każdego innego miejsca, nieważne jak szybko się jechało albo jak bardzo rozrósłby się ten świat.

(Wyglądało to trochę na oszustwo; z drugiej strony komuś takiemu jak Rini samoloty i auta sportowe pewnie również wydawały się nieuczciwym

sposobem na pokonywanie wszelkich odległości. Oszustwo zawsze było kwestią perspektywy i oceniającego).

Kade gwałtownie wciągnął powietrze. Cora wykręciła się w więzach i wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, o co chodzi. I wtedy też krzyknęła cicho, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy próbowała wszystko ogarnąć wzrokiem.

Pod pewnymi względami zamek, który przed nimi wyrósł, był ni mniej, ni więcej tylko domkiem z piernika, który został powiększony do monstrualnych rozmiarów. Do wznoszenia takich konstrukcji rodzice zachęcają dzieci na wakacjach, a wtedy mąka i lukier są dosłownie wszędzie. Ale to porównanie, choć prawdziwe, nie oddawało sprawiedliwości ogromnej budowli z ciasta, płatków i cukru. To nie było dzieło sztuki kulinarnej przeznaczone do pożarcia po świątecznym obiedzie. To był monument, nader charakterystyczny obiekt, architektoniczny cud, który miał przetrwać tysiąc lat.

Ściany z piernika były tak ciemne od przypraw, że niemal czarne, utwardzone melasą i wzmocnione słupami ze skręconych precli. Kryształowy cukru zdobiący mury były większe od pięści Kade'a i tak ostre, że cała forteca zmieniła się w broń. Blanki budowli chyba wyciosano z cukrowych sopli, wieże były niemożliwie wysokie, przecząc prawom fizyki i zdrowemu rozsądkowi.

Rini jęknęła.

– Zamek Królowej Ciast. Już po nas.

– Myślałam, że twoja matka ją pokonała – wyszeptała Cora.

– I tak, i nie. Kiedy mama umarła przed powrotem do Krainy Słodczy, wszystko zaczęło się chrzanić. Królowa Ciast wróciła w tym samym czasie, kiedy zniknęły moje pierwsze palce. Zrobiła to niespodziewanie, może dlatego, że moja mama zabiła ją równie podstępnie, a mnie robiła po jednym składniku naraz. Upieczenie się zajęło mi dziewięć miesięcy. Może zniknięcie po kawałku też zajmie mi podobną ilość czasu, aż zostanie ze mnie tylko serce leżące na ziemi i bijące bez ciała.

– Serca nie przestają pracować w ten sposób – odezwał się Christopher.

– Szkielety nie chodzą – odparowała Rini.

– Wszyscy cisza! – warknął jeden z rycerzy. – Okażcie trochę szacunku. Zaraz staniecie przed prawowitą władczynią Krainy Słodczy.

– Nie ma żadnej prawowitej władczyni Krainy Słodczy – oświadczyła Rini. – Ciastka, cukierki, karmel i piernik nie stosują się do tych samych

zasad, więc jak można tworzyć takie dla wszystkich jednocześnie? Służycie fałszywej królowej. Pierwsza Piekarka by się was wstydziła. Pierwszy Piec nie upiekłby waszych serc. Wy...

Pięść trafiła ją prosto w twarz, tak że głowa jej odskoczyła, a Rini zaczęła spazmatycznie łapać powietrze. Rycerz groźnym wzrokiem przesuwał kolejno po reszcie jeńców.

– Okażcie szacunek albo zapłaćcie należną cenę. Wybór należy do was.

Konie ruszyły dalej, niosąc ich w stronę zamku i czekającej tam na nich niemożliwej kobiety.

Główny hol zamku spełniał obietnicę złożoną przez jego zewnętrzną część. Wszystko było z cukierków, ciastek albo innych wypieków, ale wyniesionych na takie wyżyny sztuki kulinarnej, że inni cukiernicy zapłakaliby nad daremnością własnych wysiłków. Ze sklepionego, czekoladowego sufitu zwisały żyrandole zrobione z kryształów cukru. Okna z cukrowymi witrażami filtrowały i rozpraszały światło, zmieniając je w tęczową eksplozję.

Cora mogłaby zamknąć oczy i wyobrazić sobie to miejsce wykonane w całości z plastiku masowo produkowanego ku uciechu dzieci. Od razu wszystko zaczęło wyglądać trochę lepiej. Gdyby udawała, że nic z tego się nie dzieje naprawdę, że jest bezpieczna w swoim łóżku w szkole – albo jeszcze lepiej, że śpi w Rowach w sieci z wodorostów, a prądy łagodnie kołyszą ją do snu – wtedy może przetrwałaby ten koszmar bez uszczerbku na zdrowiu psychicznym.

Nierówny cukrowy czubek włóczni wbity w plecy nie pozwalał jej jednak całkiem się wyłączyć.

Rini kulą. Sądząc po chodzie, palce u jej stóp najwyraźniej poszły w ślady palców u rąk, co pozbawiło ją równowagi. Obaj chłopcy szli normalnie, ale Christopher był blady i trochę zagubiony. Wciąż próbował wydobyć nuty z fletu, którego już nie było.

Tylko Sumi wyglądała na nadal nieporuszoną. Wlokła się potulnie, choć z trudem, a jej szkieletowe stopy postukiwały lekko na wypolerowanej cukierkowej podłodze. Cienka powłoka jej ducha rozglądała się wokół

z uprzejmą obojętnością, jakby to, gdzie się znalazła, w żadnym razie nie było godne uwagi czy niezwykle.

– Co z nami robią, Rini? – zapytał Kade cichym głosem.

– Mama mówiła, że kiedy pierwszy raz stanęła przed Królową Ciast, ta zmusiła ją do zjedzenia całego talerza brokułów – odpowiedziała Rini.

Kade trochę się odprężył.

– O, to nie takie straszne...

– A potem próbowała ją rozciąć, żeby odczytać przyszłość z jej wnętrzości, bo z cukierkowymi nie da się tego zrobić. Są zbyt klejący. – Rini powiedziała to rzeczowym tonem, jakby trochę zakłopotana, że musi przypominać im takie podstawowe rzeczy.

Kade zbladł.

– To już gorzej. To bardzo źle.

– Cisza – warknął jeden z rycerzy.

Zbliżali się do masywnych piernikowych podwoi ozdobionych taflami jadalnego szkła w o tuzinie barw. Cora zmarszczyła brwi. Drzwi był kolorowe i piękne, owszem, pokryte drobnymi kryształkami cukru, które błyszczały w świetle jak gwiazdy, ale ewidentnie tutaj nie pasowały. Nic tutaj do siebie nie pasowało. To dlatego pomyślała o dzieciach bawiących się w kuchni. Brakowało tu harmonii, jakiegoś przewodniego tematu. Zamek był wielki, dramatyczny, ale nie był spójny.

To świat Nonsensu. Spójność prawdopodobnie nie była tutaj priorytetem.

Obok drzwi otworzył się mały włącz i wyskoczyła z niego ładna lalka wyrzeźbiona z miętówek i toffi. W klejących się dłoniach trzymała zwój.

– Jej Wysokość Niekwestionowana Władczyni Krainy Słodczy, sukinsorka Pierwszej Piekarki, Królowa Ciast, przyjmie was teraz! – Jej głos był wysoki, piskliwy i słodki jak syrop. – Podziwiajcie jej hojność! Zachwycajcie się jej dobrocią! Uważajcie, żeby nie gryźć rąk, które was karmią!

Lalka nagle odskoczyła do tyłu, jakby pociągnięta za sznurek, którym była przewiązana w pasie. Włącz się zatrzasnął, podwoje się otworzyły, a ich oczom ukazała się bajecznie kolorowa, zaczarowana komnata.

Sala tronowa była jak Kraina Słodczy w miniaturze: dziecięca, zabawkowa wersja dzikiego i potencjalnie niebezpiecznego świata zewnętrznego. Ściany pomalowano w zielone falujące wzgórza, zwieńczone różowo-błękitnym niebem z waty cukrowej. Wszędzie rosły lizakowe drzewa i żelkowe krzewy. Podłoga z zielonego cukru kamiennego wyglądała jak trawa.

Po pierwszym kroku Cora zobaczyła, że ściany nie zostały pomalowane, tylko zrobiono je z lukru wyciśniętego z rękawa cukierniczego, rozmieszczonego tak, żeby dawać złudzenie głębi. Kolejny krok i Cora stwierdziła, że krzewy i drzewa rosną w donicach z mordoklejek, a ich korzenie są przycięte, żeby się nie rozrastały.

Gdy Cora zrobiła trzeci krok, rozsunęła się kotara z cukrowej roślinności i do sali wkroczyła Królowa Ciast, chuda kobieta o wymizerowanej twarzy, w sukni, która była sześciopiętrowym weselnym tortem oblanym polewą i ozdobionym jadalnymi klejnotami. Nie sprawiała wrażenia wygodnej do noszenia. Cora nie była nawet pewna, czy da się chodzić w tej kreacji bez obawy jej zniszczenia i konieczności upieczenia na nowo. W ręce władczyni dzierżyła berło, długą, wymyślną laskę z dmuchanego cukru i fili-granu z masy cukrowej, pasującą do korony.

Królowa popatrzyła na każde z nich kolejno, na dłużej zatrzymując wzrok na Sumi. Na koniec utkwiała spojrzenie w Rini i uśmiechnęła się słodko.

– Nareszcie – powiedziała. – Twoja matka nie zaprosiła mnie na twoje pierwsze urodziny, a to ja rządę tymi ziemiami. Na znak hołdu pierwszy kawałek tortu powinien być mój.

– Moja matka dała pierwszy kawałek tortu Pierwszej Piekarce, co jest słuszne i właściwe, i nie zaprosiła żadnych martwych ludzi na moje przyjęcie – oświadczyła Rini. – Nie żebyśmy panią zaprosiły, gdyby nie była pani martwa. Mama zawsze mówiła, że jest pani osobą, która potrafiłaby zepsuć każde przyjęcie.

Królowa Ciast przez chwilę patrzyła na nią groźnie... ale tylko przez chwilę, bo zaraz jej twarz z powrotem przybrała wyraz spokojnej łagodności, tak że grymas niezadowolenia można by wziąć co najwyżej za złudzenie.

– Twoja matka myliła się w tylu sprawach. Nadal pamiętam, jak wylała mi gorący tłuszcz na ręce. Moje piękne ręce. – Uniosła je, pokazując, że są idealne i nietknięte. – Myślała, że mnie w ten sposób powstrzyma, ale spójrz na mnie teraz. Jestem tutaj, cała i zdrowa, i znowu rządę, a ty, jej cenna mała nadzieja, znikasz. Jak myślisz, ile jeszcze masz czasu, zanim świat zrozumie, że nigdy nie istniałaś, i połknie cię całą? Chcę wiedzieć, kiedy zaplanować swoje przyjęcie. Dla uczczenia wiecznego życia.

– Była pani jedną z nas – stwierdziła Cora ze zdumieniem.

Królowa Ciast odwróciła się do niej ze zmrużonymi oczami.

– Nie pamiętam, żebym pozwoliła ci zabrać głos, moja droga. A teraz zamknij tę tłustą buzię, bo inaczej ja to zrobię.

– Była pani jedną z nas – powtórzyła Cora. Nawet nie drgnęła, kiedy usłyszała słowo „tłusta”. Zbyt dobrze je знаła, żeby mogło ją zranić. Zetknęła się już wcześniej z tego rodzaju nienawiścią, zawsze płynącą ze strony kobiet z jej grupy Strażników Wagi albo Anonimowych Jedzenioholiców, którzy się głodzili, ale jakoś nie udawało się im znaleźć ziemi obiecanej akceptacji, podobno czekającej na nich po drugiej stronie wagi.

– Czyli kim? – Każde słowo królowej ociekało jadem jak zatruty kawałek karmelu, który zamierzała wepchnąć do ust Cory.

– Znalazła pani drzwi. Nie jest pani stąd bardziej niż Sumi. – Cora zerknęła na Kade’a, szukając u niego potwierdzenia, i poczuła ciepło w piersi, kiedy lekko skinął głową na znak, że żywił takie same podejrzenia. Wróciła spojrzeniem do królowej. – Była pani cukierniczką? Sumi nie była cukierniczką, tylko...

– Skrzypaczką – dokończył za nią Kade. – Nie chciała piec ciast. Po prostu chciała robić coś użytecznego własnymi rękami. Potrzebowała Nonsensu, a ja przypuszczam, że Nonsens potrzebował jej, skoro pani próbowała zmusić go do przestrzegania zasad, których on nie potrzebował.

Królowa Ciast zacisnęła usta.

– Musisz być ze świata Sumi – stwierdziła sztywno. – Jesteś równie okropny jak ona kiedyś. Teraz jest cicha. Jak tego dokonałeś?

– Cóż, po prostu umarła – odparł Kade.

– Martwi ludzie normalnie zostają w grobach, z dala od reszty z nas. To jednak... – Królowa się uśmiechnęła. – Dostałam od was prawdziwy dar. Nikt nigdy więcej przeciwko mnie nie wystąpi, skoro mój największy wróg zmienił się w szkielet obleczony w ducha. Jak to osiągnęliście? Pozwolę wam wszystkim wrócić do domu, jeśli mi to zdradzicie.

Kłamstwem byłoby stwierdzenie, że propozycja nie była pod pewnym względami kusząca. Wezwano ich, żeby uratować świat i przy okazji samych siebie, ale nie chodziło o tę krainę. Nawet Rini zależało tylko na odzyskaniu matki, a to co innego, nawet jeśli nadal było godne podziwu. Mogliby wrócić do szkoły i poczekać, aż ich drzwi się otworzą, poczekać na szansę powrotu do światów, w których wszystko ma sens, zostawić to miejsce i jego nonsensy. To nie była ich walka.

Jednak Sumi zmieniła się w milczący szkielet odziany w cienie i tęcze, a Rini zniknęła kawałek po kawałku zgodnie z zasadami panującymi w jej

rzeczywistości. Gdyby teraz odeszli, nie mogliby jej uratować. Gdyby ją teraz opuścili, wkrótce zostałyby po niej tylko pamięć.

(Lecz czy choćby pamięć by przetrwała? Gdyby Rini się nie urodziła, gdyby nigdy nie istniała, czy pamiętaliby ją po jej zniknięciu? Albo czy ta cała szalona przygoda zaliczyłaby się do rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły poza snem? Gdyby Rini całkiem zniknęła, jak wytłumaczyliby sobie nieobecność Nadyi? Czy uznaliby, że znalazła swoje drzwi i wróciła do domu? Czy tak zrodziłaby się kolejna historia sukcesu, którą inni uczniowie opowiadaliby sobie szeptem po zgaszeniu świateł, mając nadzieję, że ich drzwi też wkrótce się otworzą? Taka możliwość wydawała się najgorszą z możliwych. Nadya powinna być zapamiętana za to, co zrobiła, żeby im pomóc, a nie za to, co ludzie zaczną wymyślać, żeby wypełnić przestrzeń, w której jej już nie ma).

– Nie, dziękuję – powiedziała Cora sztywno. I mówiła to w imieniu ich trojga, również Kade’a, silnego i spokojnego, oraz Christophera, drżącego i bladego.

Nie wyglądał dobrze. Nawet Rini wyglądała lepiej, choć powoli przestała istnieć.

– Tak myślałam, ale musiałam wam to zaproponować – stwierdziła władczyni, odchylając się na oparcie tronu. Kawalek jej sukni odpadł i stoczył się na podłogę. Tam porwała go kajmakowa mysz z wąsami z waty cukrowej i uciekła. – Zapytam jeszcze raz: skąd się wziął tutaj mój stary wróg? To, co martwe, jest martwe.

Nikt z nich nie odezwał się ani słowem.

Królowa westchnęła.

– Uparte dzieci szybko przekonują się, że potrafię być bardzo okrutna, kiedy tylko tego zechcę. Czy to miało coś wspólnego z tym wszystkim? – Sięgnęła za siebie i pokazała im kościany flet. – To dziwny instrument. Dmucham i dmucham, a nie wydobywa się z niego żaden dźwięk.

Widok fletu podziałał na Christophera piorunująco. Chłopak nagle się wyprostował, cały rozedrgany, na jego policzki wróciły jaskrawe kolory, jakby dostał gorączki.

– Oddaj mi go – zażądał zbolalym szeptem, który jednak był dobrze słyszalny.

– Och, to twoje? Ma zabawny kolor. Z czego jest zrobiony?

– Z kości. – Christopher zrobił niepewny krok do przodu. Kolana się pod nim ugiwały. – Mojej kości. On jest mój, zrobiony ze mnie, oddaj mi go.

– Z kości? – Królowa przyjrzała się fletowi, tym razem z fascynacją mieszającą się z niesmakiem. – Kłamca. Nie ma możliwości, żebyś stracił tak dużą kość i nadal był cały.

– Szkieletowa Dziewczyna dała mi inną kość, żeby zastąpić moją, on jest mój, musisz mi go oddać. – Głos Christophera przeszedł w wycie, a on, ze sznurem nadal wiszącym na szyi, rzucił się na Królową Ciast.

Jego dłonie znajdowały się zaledwie pół metra od jej gardła, kiedy jeden z rycerzy nastąpił na koniec sznura. Christopher bezładnie gruchnął na podłogę i zaczął szlochać.

– Fascynujące – powiedziała władczyni. – Z jakich strasznych światów musicie pochodzić, skoro takie rzeczy są tam normalne. Nie martwcie się, dzieci. Jesteście teraz w Krainie Słodczy. Będziecie tu szczęśliwe i bezpieczne, a gdy tylko to – wskazała na Rini – skończy znikać, będziecie mogły zostać na zawsze.

Strzeliła palcami.

– Straże, znajdźcie im jakieś przyjemne miejsce, gdzie nie będę musiała słuchać ich krzyków – rozkazała słodkim głosem. – I zostawcie tu ten szkielet. Chcę się z nim zabawić.

Królowa Ciast rozparła się na tronie i uśmiechnęła, kiedy z Sali wywlekano jej najnowszych wrogów. Jaki cudowny dzień się zapowiadał.

Najwyższa wieża

„Przyjemne miejsce” w zamku Królowej Ciast okazało się dużym, pustym pokojem o piernikowych ścianach i ze stosami żelkowych owoców na podłodze, które przypuszczalnie miały służyć więźniom za poślanie. Nikt nie próbował skuć ich łańcuchami ani umieścić osobno. Strażnicy po prostu zaciągnęli ich po schodach na szczyt chyba najwyższej wieży tego świata. Jej jedyne okno znajdowało się tak wysoko, że Cora musiała wspiąć się aż na palce, żeby go dosięgnąć, i wychodziło na czekoladowy kamieniołom o poszarpanych brzegach wykutych z gigantycznych migdałów. O, tak. Utknęli na dobre. Jeśli nie zdołają otworzyć drzwi, nigdy się stąd nie wydostaną.

Rini z zamkniętymi oczami oparła się o ścianę. Jedno jej ramię udało się do zasysającej nicości, która wykradała ją po kawałku. Co niepokojące, to wcale nie ona była w najgorszym stanie. Ten wątpliwy zaszczyt przypadł w udziale Christopherowi, który leżał obok drzwi zwinięty w kłębek i drżał spazmatycznie.

– On potrzebuje swojego fletu – stwierdził Kade, przykładając dłoń do czoła Christophera i marszcząc brwi. – Marznie.

– On jest naprawdę wykonany z jego kości ? – Cora opadła na pięty i odwróciła się od okna.

Kade ponuro skinął głową.

– Dla niego było to częścią ratowania Mariposy. Opowiadał mi o tym, kiedy aktualizowałem historię jego świata.

Oprócz obowiązków szkolnego krawca Kade był historykiem amatorem i kartografem, rejestrującym historie dzieci, które przewijały się przez szkołę. Mówił, że próbuje sporządzić dokładną mapę Kompas, która określi granice Nonsensu, Logiki, Cnoty i Nikczemności, wszystkich głównych światów po drugiej stronie drzwi. Cora w to wierzyła, ale sądziła również, że Kade po prostu lubi mieć jakiś pretekst do rozmów z ludźmi o różnicach,

które stawały się podobieństwami, kiedy ukazywało się je we właściwym świetle. Wszyscy coś przetrwali. Co prawda ich przeżycia różniły się znacząco, ale nie zmieniało to faktu, że pod pewnym względami były takie same.

– Można włożyć ją z powrotem?

Christopher pokręcił głową i wymamrotał słabo:

– Nie chciałbym tego. Wewnątrz było coś niedobrego. Lekarze mówili, że guz. Ale Szkieletowa Dziewczyna wywołała go muzyką i mnie uwolniła. Jestem jej winien... wszystko.

– Ale...

– Kość nadal należy do mnie. – W głosie Christophera zabrzmiała nuta gwałtowności, która zniknęła w jednej chwili, jakby nigdy się nie pojawiła.

Kade westchnął, poklepał go po ramieniu i podszedł do Cory stojącej przy oknie. Ściszone głosem powiedział:

– To wszystko nie dzieje się tak, jak zwykle się działo – chyba świat uznał, że to gówniany ruch – ale zdarzało się już wcześniej. Dzieciaki, które przeszły przez drzwi, wracały z jakimś magicznym przedmiotem, a on nadal działał w naszym świecie, gdzie w ogóle nie powinno być żadnej magii.

– I?

– Więc jeśli chcesz mieć magię w naszym świecie, musisz w jakiś sposób za nią zapłacić. Przez większość czasu magiczny przedmiot łączy się z daną osobą poprzez krew, łzy albo coś innego, co pochodzi z jej ciała. Albo, jak w tym przypadku, z całą cholerną kością. Magia, która nadaje jej moc, to Christopher. Jeśli on jej nie odzyska...

Cora spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

– Mówisz, że on umrze?

– Może nie umrze. Nigdy nie rozstawał się z fletem na dłużej niż kilka minut. Może po prostu bardzo się rozchoruje. Albo rak wróci. Nie wiem. – Kade był wyraźnie strapiony. – Przeprowadzam wywiady ze wszystkimi nowymi. Wszystko zapisuję, bo jest tyle drzwi i tyle różnych wariacji, że po prostu nie wiemy wszystkiego. Jednak on może umrzeć, jeśli nie odzyskamy fletu. Nie on pierwszy.

Przed nim opowieści spisywała również Eleanor albo inni nieliczni badacze podróży do światów za drzwiami i ich konsekwencji. Pisali o dziewczynach, które obracały się w nicość, kiedy rozstawały się z magicznymi butami albo złotymi kulami, o chłopcach, którzy spłonęli żywcem w noc, kiedy rodzice zabrali im chłodzące srebrne dzwonki,

o dzieciach, które znajdowano w ogrodzie, cudownie wyleczone z jakiejś niewyobrażalnej choroby, a ona wracała po dziesięciu latach, kiedy rodzeństwo albo ich własne dziecko stłukło małą kryształową figurkę, której zabroniono im dotykać.

Podróże zmieniały ludzi. Nie wszystkie zmiany były widoczne albo nawet logiczne w świecie, gdzie góra zawsze była górą, dół zawsze dołem, a szkielety zostawały w grobach, zamiast wstawać i tańczyć, ale to nie sprawiało, że zmiany się cofały. One istniały niezależnie od tego, czy były chciane, czy nie.

Cora, której włosy miały naturalnie niebieski i zielony odcień na całym ciele, obejrzała się niespokojnie na dygoczącego Christophera, który leżał skulony na żelkowym stosie.

– Musimy odzyskać flet – stwierdziła.

– Jak proponujesz to zrobić? – zapytała Rini głosem beznamiętnym, matowym, pozbawionym żaru czy charakterystycznej dla niej kapryśności. Dziewczyna się poddała. Rezygnacja była widoczna w niej całej, załamanej i rozbitej. – Królowa Ciast ma armię, a my nic. Nie mamy nic, a ona ma nas i moją matkę. To koniec. Przegraliśmy. Ja się nie urodzę, więc nie będę musiała się więcej o to martwić. Mam nadzieję, że wy uciekniecie i dotrzecie na cukierkowe pola. Tamtejsi farmerzy pomogą wam ukryć się przed królową. Ona ich nienawidzi, a oni nienawidzą jej, ale kukurydziane cukierki nie są takie jak większość upraw. One nie płoną, więc królowa zostawi je w spokoju, a wam się uda.

Rini umilkła na tak długi czas, że wszyscy myśleli, że już skończyła. Lecz po chwili dodała ściszym głosem:

– Przepraszam. Nie powinnam była was tutaj sprowadzać. To wszystko moja wina.

– To wina osoby, która zabiła twoją matkę, i tej głupiej Królowej Ciast za to jej: „Patrzcie na mnie wszyscy, mogę być despotką magicznego cukierkowego świata, czyż nie jestem wspaniała?”. – Cora z wściekłością kopnęła w ścianę. W pierniku pojawiło się wgniecenie. Niewystarczające jednak, żeby otworzyć im drogę do wolności, a gdyby nawet, ta droga oznaczałaby upadek z bardzo, bardzo wysoka. – Zgodziliśmy się tu przybyć, bo chcieliśmy pomóc. I nadal zamierzamy pomóc.

– Jak? – zapytała Rini. – Christopher jest zbyt chory, żeby wstać, a tylko on spośród was był użyteczny.

Cora otworzyła usta, żeby się sprzeciwić, ale zaraz je zamknęła. Odwróciła się do Kade'a.

– Ty jesteś krawcem i wszystko zapisujesz, ale co robiłeś, kiedy przeszedłeś przez swoje drzwi? – spytała. – Co było po drugiej stronie?

Kade się zawahał. Potem westchnął i spojrzał za okno.

– Każdy świat ma swój zestaw kryteriów – powiedział. – Niektóre światy są bardziej... wybredne niż inne. Pryzmat jest uważany za Krainę Wrózek. Formalnie rzecz biorąc, to jest Targ Goblinów, co oznacza, że mogą kontrolować, gdzie pojawią się drzwi. Każdy świat wybiera dzieci, które go odwiedzą, ale Pryzmat je obserwuje i nadzoruje, zanim je zgarnie, bo zwykle je zatrzymuje. Pryzmat jest jednym z tych światów, o których wiemy cokolwiek głównie z powodu dziury, którą zrobił w kompasie, zanim ja tam poszedłem i sprawiłem, że mnie wyrzucili.

Cora nic nie odpowiedziała. Czar przestałby działać i Kade by sobie przypomniał, że mówi do publiczności. Mógłby wtedy zamilknąć. Ona tego nie chciała.

– W Pryzmacie Dwór Wrózek toczył wojnę z Imperium Goblinów przez tysiące lat. Mogliby wygrać z tysiąc razy. Podobnie jak gobliny. Jednak dla nich wojna jest wszystkim, co znają. Mają tyle rytuałów, ceremonii i tradycji związanych z walką, że gdyby zabrać im wojnę, byłiby zagubieni. Oczywiście tego nie wiedziałem. Wiedziałem jedynie, że czeka mnie przygoda. Że zostanę bohaterem, wybawcą, i zrobię coś, co dla odmiany będzie miało znaczenie. – Kade spochmurniał. – Dwór Wrózek zawsze porwał małe dziewczynki. Najładniejsze małe dziewczynki, jakie mogli znaleźć, takie ze wstążkami we włosach i z koronkami na sukienkach. Podobało mu się, że stanowimy taki kontrast w odniesieniu do armii goblinów.

Cora drgnęła lekko na słowo „my”.

– Co...

– Och, daj spokój. – Kade posłał jej lekko rozbawione spojrzenie. – Mówiłaś, że Nadya jest twoją najlepszą przyjaciółką. To niemożliwe, żeby ci nie powiedziała.

– Ja... ale, tak... ale... ja... – Cora umilkła. – Brakuje mi odpowiednich słów.

– Jak większości ludzi do chwili, kiedy ich potrzebują, a wtedy potrzebują wszystkich od razu – stwierdził Kade. – Moi rodzice myśleli, że jestem dziewczynką. Ludzie w Pryzmacie odpowiedzialni za wybór swojego następnego wybawcy jednorazowego użytku także myśleli, że jestem

dziewczynką. Do diabła, ja sam myślałem, że jestem dziewczynką, bo nigdy nie miałem czasu się zatrzymać i zastanowić, dlaczego nią nie jestem. Całe lata zabrało mi ratowanie świata, który przestał mnie chcieć, kiedy zmieniłem zaimki.

– Ale uratowałeś świat – powiedziała Cora.

Kade pokiwał głową.

– Tak. Król goblinów uczynił mnie swoim dziedzicem, zanim go zabiłem. Obwołał mnie księciem goblinów i następcą tronu, a wtedy uświadomiłem sobie, jak długo czekałem, aż ktoś mnie zobaczy, naprawdę zrozumie, kim jestem pod tymi lokami, błyskotkami i rzeczami, których nie chciałem, ale których zarazem nie mogłem odrzucić.

– Więc umiesz władać mieczem – stwierdziła Cora.

– Tak. – Kade spojrzał na nią czujnie. – A bo co?

Cora się uśmiechnęła.

Pierwszym krokiem było przeniesienie Christophera na środek pokoju, tak żeby każdy, kto stanie w drzwiach, od razu go zobaczył. Zdobycie czegoś ciężkiego było drugim posunięciem. Cora oblizywała palce i wbijała je raz po raz w twardą polewę między pieczonymi cegłami, z których była zbudowana ściana, wydłubywała zaprawę, aż zdołała wyjąć jedną z cegieł. Usunięcie kolejnej poszło już łatwo.

Wtedy podbiegła do drzwi i zabębniła w nie pięściami, krzycząc:

– Hej! Potrzebujemy fletu Christophera! Hej tam! Potrzebujemy pomocy!

Uderzała w drzwi i wrzeszczała, aż rozboleły ją dłonie i gardło. Drzwi mogły być zrobione z kruchego ciasta, ale najwyraźniej już tak stwardniało, że to wystarczyło, by zrobić jej krzywdę. Mimo to nie przestawała w nie łomotać. Cały plan zależał teraz od jej wytrwałości.

W końcu na schodach rozbrzmiały kroki i jakiś głos krzyknął:

– Przestań! Spokój!

Cora była bardzo dobra w ignorowaniu ludzi, którzy kazali jej robić głupie rzeczy. Nadal więc bębniła pięściami w drzwi i wrzeszczała.

Drzwi otworzyły się bez ostrzeżenia, uderzając ją w nos i odrzucając kilka kroków w tył. I dobrze. Zabolało, ale Cora spodziewała się bólu,

a poza tym była sportsmenką przyzwyczajoną do rozbijania nosa o brzeg basenu czy zdzierania skóry z kolan i palców. Wstała chwiejnie, starając się wyglądać na potulną, ale nie nazbyt przerażoną.

– Potrzebujemy fletu Christophera – wyjęczała. – On umiera. – Wskazała na Christophera, który z niepokojącą łatwością odgrywał rolę w ich małym przedstawieniu. Miał jedynie leżeć i wyglądać okropnie. Robił jedno i drugie, a oni nawet nie musieli go o to prosić.

Strażnik groźnie zmarszczył brwi i przekroczył próg. Cora błyskawicznie znalazła się przy nim i wciągnęła go do środka. Kade, który ukrywał się za otwartymi drzwiami, wyskoczył zza nich i mocno zdzielił wartownika w głowę kawałkiem jadalnego muru. Mężczyzna wydał odgłos przypominający krztuszenie się i upadł.

Rini, która siedziała oparta o ścianę, nagle się zerwała i wymierzyła solidny kopniak w jego szyję. Strażnik zacharczał ponownie, ale nie podniósł rąk, żeby się zasłonić.

– Powinniście już iść. – Rini spojrzała na nieruchomą postać. – Ja mogę go przypilnować, kiedy was nie będzie.

– Przez „przypilnowanie” masz na myśli...

Rini uniosła głowę. Jej cukierkowe tęczęwki wydawały się jeszcze bardziej błyszczące i bardziej nieprawdopodobne niż w szkole.

– On wcale nie chce tu być – powiedziała. – Ten świat zmienia się tak, żeby Królowa Ciast zawsze w nim była, a moja rodzina nigdy. Jednak Królowa Ciast w ogóle nie powinna istnieć, co oznacza, że ten człowiek powinien znajdować się gdzie indziej. Zwiążę go i wybadam, czy wie, gdzie jest jego miejsce. Ale musicie zabrać jego zbroję.

Kade niepewnie pokiwał głową i zaczął zdejmować ze strażnika pancerz wykonany z połączonej folii aluminiowej nałożonej na czekoladę. Zbroja powinna się stopić pod wpływem ciepłoty ciała, ale nadal pozostała świeża i twarda. Cora zmarszczyła brwi. Niektóre rzeczy w tym miejscu wskazywały na niewłaściwe wykorzystanie magii, a ta była jedną z nich.

Christopher nie poruszył się przez całe to zamieszanie. Cora uklękła obok niego i przytknęła mu palce do szyi. Wyczuła puls. Christopher jeszcze nie umarł. Może umierał, ale na razie wciąż żył.

– Odzyskamy twój flet – obiecała szeptem. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Tylko się trzymaj. Głupio byłoby umrzeć w ten sposób.

Christopher nic nie odpowiedział.

Gdy Cora wstała, Kade już miał na sobie foliową zbroję strażnika i oglądał jego miecz.

– Jest wyważony inaczej niż te, do których przywykłem – stwierdził. – Pod czekoladą chyba jest toffi. Ale wygląda na ostry. Zrobię z niego właściwy użytek.

– Dobrze – powiedziała Cora. – Chodźmy uratować ten dzień.

Taniec z Królową Ciasta

Kade wprowadził Corę do sali tronowej, ściskając jej ramię tak mocno, że niemal sprawiał jej tym ból. Ukradziony miecz trzymał przypięty do pasa. Królowa Ciast, która siedziała na tronie z brodą opartą na dłoni, wyprostowała się, wyraźnie rozdarta między irytacją z powodu tego wtargnięcia a ulgą, że ma powód do rozdrażnienia.

– Co tu robicie? – zapytała. – Nie kazałam przyprowadzić żadnych więźniów.

Sumi była przywiązana do tronu plecionym lukrecjowym łańcuchem zarzuconym na szkieletową szyję. Jej widok wystarczył, żeby umocnić Corę w jej zamiarach. Nie mogli pozwolić sobie na niepowodzenie. Gdyby im się nie udało, właśnie tak wyglądałaby rzeczywistość w Krainie Słodczy: rządziłaby nią kobieta, która uważała, że torturowanie zmarłych jest właściwe i usprawiedliwione.

– Poprosiłam o audiencję – odezwała się Cora szybko, uprzedzając Kade'a. – Chciałam... chciałam z panią porozmawiać. – Pomyślała o Rini stojącej nago w żółtym stawie i z dumą oświadczającą Nadyi, że jej wagina jest ładna. Poczowała, że na jej twarz wypływa gorący rumieniec. Łatwo wpadała w zakłopotanie, co mogło być bronią, gdyby chciała je wykorzystać w ten sposób. – Pomyślałam, że mogłaby pani... pomyślałam, że może mamy ze sobą coś wspólnego.

Królowa Ciast zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. Cora, która przez lata zniosła już wiele takich oględzin, zmusiła się, żeby stać zupełnie nieruchomo i nawet nie drgnąć. Wiedziała, co widzi królowa. Podwójny podbródek, pękatą talię, uda ocierające się o siebie tak, że tkanina, z której uszyte były jej dzinsy, z każdym dniem robiła się cieńsza. Wiedziała również, czego królowa nie dostrzega. Nie widziała w niej sportsmenki, uczennicy, przyjaciółki ani bohaterki Rowów, a jedynie bardzo dużo tłuszczu, jak

wszyscy inni, kiedy patrzyli na nią w ten sposób. Tylko to dostrzegali, bo tylko tego szukali.

Królowa westchnęła, a jej twarz złagodniała.

– Och, biedne dziecko – powiedziała. – Jakie okrutne musi ci się wydawać to miejsce. Tyle pokus... chyba że właśnie one przyciągnęły cię do Krainy Słodocy. Planujesz zająć się na śmierć i pozostawić swoje ciało tam, gdzie nigdy nikt go nie znajdzie?

– Nie. Nic nie przyciągnęło mnie do Krainy Słodocy. Zjawiłam się tutaj, żeby pomóc Rini odzyskać matkę. Nie rozumiałam, co Sumi zrobiła z tym miejscem. Myliliśmy się.

Królowa zmrużyła oczy.

– Mów dalej – poleciła.

– To nie był świat Sumi, a to znaczy, że nie jest on również światem Rini. Obie są zbyt... nie wiem. Zbyt nielogiczne, żeby zadbać o takie miejsce. Ono potrzebuje twardej ręki. Kogoś, kto rozumie siłę woli i wie, czym jest dyscyplina. – Musiała być ostrożna, żeby nie wydać się zbyt nachalną. Przesada wzbudziłaby podejrzliwość, a ta wszystko by zepsuła.

Królowa zaczęła się uśmiechać i pokiwała głową.

– Właśnie tak. To miejsce było jednym wielkim bałaganem, kiedy znalazłam swoje drzwi.

– Jestem w stanie w to uwierzyć – skłamała Cora, walcząc z impulsem, by przypomnieć królowej, że już raz próbowała przeprowadzić tę rozmowę. Odkryła, że kiedy ludzie myślą, że wiedzą więcej niż ona, na ogół lepiej jest im na to pozwolić. – Wydaje się pani do tego wprost stworzona. Ten świat musiał pani bardzo potrzebować.

– Tak. – Władczyni odchyliła się na oparcie tronu. Z jej sukni odpadł kawałek polewy i stoczył się na podłogę. – Wezwał mnie tutaj, żebym piekła ciastka. Ciastka! Kto chce, żeby na świecie było więcej ciastek? Nikt nie potrzebuje tego rodzaju obrzydliwego braku umiaru. Ten świat chciał, żebym była gruba, leniwa i okropna jak wszyscy ludzie, którzy tu przybyli przede mną. A ja pragnęłam, żeby był większy i lepszy, i wygrałam, prawda? A ty czego chcesz, mała renegatko?

– Chcę nauczyć się... – Cora spojrzała na talię królowej, szczupłą, choć odzianą w ciasto, i przełknęła ślinę na myśl o swojej hipokryzji. To dla Christophera, pomyślała. – Chcę być taka jak pani.

– Przeprowadź ją bliżej – rozkazała królowa. – Chcę zobaczyć jej oczy.

Kade posłusznie ruszył przez salę, eskortując Corę. Po obu stronach tronu stali dwaj strażnicy, żaden na tyle blisko, żeby zdążyć zainterweniować w razie potrzeby. To dobrze. Oprócz mieczy obaj mieli włócznie. To źle. Cora wzięła głęboki oddech, starając się skupić na tym, że to, co chce zrobić, jest konieczne.

Kiedy znaleźli się dostatecznie blisko, władczyni pochyliła się do przodu, chwyciła brodę Cory kościstymi palcami i obróciła jej głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

– Mogłabyś być ładna, wiesz – stwierdziła. – Gdybyś nauczyła się kontrolować apetyt, gdybyś zrozumiała, jakie ważne jest dbanie o siebie, mogłabyś być ładna. Nigdy nie widziałam włosów takich jak twoje. Tak, mogłabyś być uderzającą piękną. Pobyt tutaj ci w tym pomoże. Najlepszy sposób, żeby stać się silną, to otaczać się rzeczami, których nie możesz mieć. Codzienne wyrzeczenia przypominają ci, za co cierpisz.

Cora nic nie odpowiedziała. Była przyzwyczajona do powszechnie panującej opinii, że jej rozmiary wynikają ze złej diety, podczas gdy w rzeczywistości bardziej chodziło o metabolizm i geny, a nad nimi akurat nie miała żadnej kontroli.

Królowa się uśmiechnęła.

– Tak. – Puściła brodę Cory i rozsiadła się z powrotem na tronie. – Myślę, że cię zatrzymam.

– Dziękuję – powiedziała Cora potulnie i zrobiła krok do tyłu, stając za Kade'em. – Naprawdę jest pani monarchinią, którą trzeba naśladować i... obalić z tronu. Teraz!

Kade, szkolony na bohatera i wojownika, zasłużył sobie na tytuł księcia goblinów. Broń znalazła się w jego ręce; zanim Cora skończyła mówić, czubek miecza spoczął w zagłębieniu szyi królowej, przyciśnięty na tyle mocno, żeby zrobić dołek w skórze.

– Nie ruszaj się! – polecił Kade za bezpieczną osłoną swojego hełmu. – Zechce pani oddać flet, który zabrała naszemu przyjacielowi? On bardzo za nim tęskni. Coro?

Cora wystąpiła do przodu, wyciągając rękę. Królowa Ciast łypnęła na nią groźnie, ale z posępną miną wcisnęła jej do dłoni flet umazany polewą. Cora cofnęła się, zanim władczyni zdążyła zrobić coś więcej.

– Zapłacisz za to – ostrzegła królowa niemal konwersacyjnym tonem. – Przerobię twoje kości na piernik, a twoje kandyzowane podroby trafią na mój stół.

– Może tak, a może nie – wtrącił się Kade. – Żaden ze strażników jakoś nie rusza, żeby panią ratować. To wiele mówi o tym miejscu. – Rzeczywiście gwardziści stali jak wrośnięci na swoich miejscach, najwyraźniej niezdecydowani, co powinni uczynić.

Cora podeszła do związanej Sumi, zostawiając Kade'a z królową. Sumi odwróciła głowę i spojrzała na nią widmowymi oczami. Cora omal się nie wzdrygnęła. Nie była przygotowana na takie rzeczy.

– Zaczekaj chwilę – powiedziała i zbliżyła się do pierwszego strażnika. – Dlaczego nie próbujecie bronić swojej królowej?

– Nie wiem. Ja nie... To wszystko wydaje się niewłaściwe. To wszystko nie wydaje się prawdziwe. Nie uważam, że powinienem tutaj być.

Prawdopodobnie dlatego, że to nie było jego miejsce. Powinien prowadzić farmę kukurydzianych cukierków albo łowić niemożliwą zdobycz w falach Truskawkowego Morza. Królowa Ciastek była martwa tak jak Sumi, ale w przeciwieństwie do niej została obleczona w ciało, mogła mówić i chodzić po świecie. Miała zamek, więc potrzebowała dworzan, strażników i ludzi do jego sprzątnięcia.

– Za dużo tutaj martwych – wymamrotała do siebie Cora, a głośniej dodała: – Więc odejź. Skoro nie chcesz jej bronić, nie musisz być naszym wrogiem i możesz odejść. Wyjź stąd i pozwól nam naprawić ten świat.

– Ale królowa...

– Naprawdę to nie będzie twój największy problem, jeśli się stąd zaraz nie wyniesiesz. – Cora obnażyła zęby w czymś, co mogło być zarówno uśmiechem, jak i warknięciem. – Uwierz mi. Ona nie będzie w stanie wymierzać żadnych kar.

Strażnik popatrzył na nią niepewnie. Po chwili opuścił włócznię i ruszył biegiem w kierunku wyjścia. Był już prawie przy drzwiach, kiedy drugi strażnik poszedł w jego ślady, zostawiając całą ich czwórkę – dwie żywe osoby i dwie w połowie martwe.

Cora wróciła do Sumi, która nadal czekała na nią z bezgraniczną cierpliwością. Chwyliła lukrecjowy łańcuch i rozerwała go na dwie części.

Sumi najwyraźniej nie zauważyła, że jest wolna. Nadal stała w tym samym miejscu i patrzyła prosto przed siebie, jakby to, co działo się wokół niej, naprawdę nie miało znaczenia ani nie mogło go mieć. Cora zmarszczyła brwi, po czym wzięła ją za rękę, splotła palce z jej nagimi kośćmi i poprowadziła łagodnie do miejsca, w którym Kade pilnował władczyni.

– Ci zdrajcy będą się smażyć za to, co mi zrobili – wyszczała Królowa Ciast.

Kade przechylił głowę na bok.

– To dopiero zagadka. Usmaży ich pani czy skaże na harówkę w fabryce słodczy? Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ przez jakiś czas nie będzie pani wydawała żadnych rozkazów. – Nachylił się i chwycił ją za ramię. – Chodźmy.

Po raz pierwszy na twarzy królowej pojawił się strach.

– Dokąd... dokąd mnie zabierasz?

– Tam, gdzie jest pani miejsce – odparł Kade.

Pociągnął ją przez salę tronową w stronę drzwi, a przy każdym kroku na ziemię spadały kawałki jej sukni. Cora podążyła za nimi. Sumi szła w milczeniu obok, postukując kościstymi stopami o podłogę.

Christopher jeszcze oddychał, kiedy dotarli do pokoju na wieży. Rini związała swojego jeńca tak mocno, że wyglądał bardziej jak kokon niż człowiek. Oparty o ścianę w drugim końcu pomieszczenia, wydawał stłumione odgłosy przez uciętą żelkowemu misiowi nogi, która Rini wepchnęła mu do ust. Uniosła głowę, kiedy drzwi się otworzyły, i w tym momencie jej oczy rozszerzyły się z ulgi. No, dobrze, jedno oko. Lewe zniknęło, zastąpione przez nicość, przez którą, o dziwo, nie było widać ani wnętrza czaszki, ani muru za nią.

– Czy wy... – Rini umilkła, kiedy za Corą do pokoju weszła Sumi. – Mamo.

– Ona nadal nie żyje – wypaliła Królowa Ciast, szarpiąc za ciągutkową linę, którą Kade spętał jej nadgarstki. – I nic tego nie zmieni.

– No, nie wiem – powiedział Kade. – Zabicie jej chyba dobrze się pani przysłużyło. Zdaje się, że skutek i przyczyna nie są tutaj ściśle ze sobą powiązane.

Pchnął władczynię, a ona potknęła się i upadła na stos lukru z kruszonką.

– Przywiąż ją – rzucił Kade do Rini, unosząc przed sobą miecz, żeby zapobiec ewentualnym próbom ucieczki.

Tymczasem Cora ominęła go i ruszyła do Christophera, który nie wyglądał dobrze. Wydawało się, że cała krew odpłynęła z jego twarzy i rąk, tak

że naturalnie brązowa skóra zrobiła się biała jak pergamin. Cora przy nim uklękła i uniosła z podłogi martwe rozgwieżdżone dłonie.

– To chyba twoje – powiedziała i wcisnęła mu do ręki kościany flet.

Christopher otworzył oczy i gwałtownie zaczerpnął powietrza, jakby to był pierwszy prawdziwy oddech od wielu godzin. Wróciły mu kolory, choć nie od razu wszędzie, ale zmiana zaczęła się od dłoni, powędrowała w górę ramienia i wpełzła na szyję, a w końcu na twarz. Christopher usiadł.

– Ja cię pierdolę! – wykrztusił.

– Co, tutaj? Teraz? Przy wszystkich? – Cora przybrała na twarz udawany wyraz wstydu. – Nie jestem taką dziewczyną.

Christopher przez chwilę wyglądał na zaskoczonego. Potem się roześmiał i wstał, podając jej lewą rękę. Była to prawdopodobnie jedyna ręka, którą zamierzał mieć wolną przez jakiś czas. Palce prawej tak mocno zaciskał na flecie, że znowu mu zbieleły.

– Dziękuję – powiedział z całą szczerością. – Chyba niewiele czasu już miałem.

– Taka robota – skwitowała Cora.

– Chris, dobrze się czujesz? – zawołał Kade. Nadal przyciskał czubek miecza do szyi królowej. – Powiedz tylko słowo, a ona zginie.

Królowa zamarała z przerażenia, podczas gdy Rini owijała ją kolejnymi warstwami masy irysowej i żelkowej. Władczyni miała taki wyraz twarzy, jakby nagle dotarła do niej prawda, bo wcześniej traktowała to wszystko jako grę.

I może tak było. Kiedyś. Może wpadła przez drzwi do świata pełnego farmerów, którzy uprawiali czekoladową i grahamową glebę, i pomyślała, że to nie są prawdziwi ludzie, jakby żaden z nich tak naprawdę się nie liczył. Może bawiła się w despotkę zamiast w piekarkę, bo nie wierzyła, że poniesie jakieś konsekwencje takiej gry. Dopiero kiedy pojawił się inny wędrowiec, raczej wojownik niż rzemieślnik, bo Kraina Słodocy nie potrzebowała nowej piekarki, kiedy jedna już zasiadała na tronie i żądała daniny. Do czasu śmierci z rąk Sumi... Lecz nawet wtedy świat jej wybaczył i wszystko cofnął, kiedy Sumi umarła, zanim zdążyła wrócić i zacząć właściwą rewolucję.

Aż do teraz, nawet w chwili śmierci i po niej, Królowa Ciast tak naprawdę nie wierzyła, że może umrzeć.

– Powiedziałabym coś o byciu lepszym człowiekiem, ale, cholera, sam nie wiem. – Christopher przeciągnął się i z jękiem zgiął w pół. – Czuję się,

jakby mnie ciągnęli za ciężarówką przez sto kilometrów. To jest najgorsze. Nigdy więcej tu nie wracajmy.

– Umowa stoi – powiedziała Cora.

Christopher spojrział na Kade'a, na Królową Ciast, na pokój, w którym nagle zapadła cisza. Zrobił krok do przodu i zaczął mówić:

– Nigdy nie trafiłem na drzwi prowadzące do tego miejsca. Nie jestem piekarzem, a poza tym nie podobałoby mi się tutaj. Dla mnie jest za słodko. Za dużo światła, nie dość krypt. Lubię cukier w formie czaszki i jak oświetlenie zapewniają latarnie zawieszane na gałęziach bezlistnych drzew. To nie moje miejsce. Ale tamto, do którego trafiłem, jest trochę popieprzone z powodu moich wyobrażeń o życiu i śmierci. Zrozumiałem, że linie nie są tak wyraźne, jak żywi je rysują. One się rozmazują. A pani? Nie chcę, żeby była pani martwa, bo nigdy więcej nie chcę pani widzieć. – Przeniósł wzrok z drżącej Królowej Ciast na Kade'a. – Wynóśmy się stąd w diabły. – Potem odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Pozostali ruszyli za nim. Zostawili królową i strażnika skrępowanych i zakneblowanych, żeby ich znaleziono albo o nich zapomniano, w zależności od kaprysów losu. Jeśli władczyni pomyślała wcześniej o wydaniu rozkazu, żeby nakarmić więźniów, mogła doczekać się ratunku.

Albo nie. Niezależnie od rezultatu, ta kwestia już nie miała dla nich znaczenia. Oni szli dalej.

Farma kukurydzianych cukierków

– Bycie martwym przez jakiś czas naprawdę źle wpływa na personel – stwierdziła Cora, kiedy wyszli przez kuchenne drzwi na rozległy trawnik z zielonego lukru. Nikt tu nie pracował, choć pasło się kilka puszystych owiec z waty cukrowej. – Sądziłam, że zostaniemy złapani co najmniej dwa razy.

– Raz mi wystarczył – rzucił Kade posępnym tonem. Wcześniej pozbył się skradzionej zbroi, ale nadal trzymał w ręce zdobyczny miecz. Na twardej cukierkowym ostrzu widać było ślady krwi, pamiątkę po jednym krótkim starciu.

Cora odwróciła głowę. Jeszcze nigdy nie widziała, jak ktoś umiera. Co innego z tonięciem. Znała je gruntownie. Własnymi rękami zaciągnęła kilku marynarzy na śmierć, kiedy w żaden inny sposób nie mogła zakończyć walki jak tylko dzięki falom i szepczącej pianie. Była dobra w topieniu. Ale to...

Cios mieczem, ciało otwierające się jak skórka pomarańczy, krew tryskająca na wszystkie strony, gorąca, czerwona i w gruncie rzeczy zwierzęca, zupełnie niepasująca do tej cukierkowej krainy. Jej mieszkańcy powinni krwawić melasą albo syropem, a nie gorącą, czerwoną, zwierzęcą czerwienią, tak witalną, tak nie do pomyślenia i tak kleistą. Cora tylko otarła się o brzeg jednej półki pobrudzonej tym czymś, a nadal miała wrażenie, że już nigdy nie będzie czysta.

– Jak daleko stąd do twojej rodzinnej farmy? – spytał Christopher, patrząc na Rini. Trzymał teraz flet obiema rękami i wygrywał na nim niesłyszalne arpeggia, jakby już nigdy nie zamierzał wypuścić instrumentu z dłoni.

– Niedaleko – odpowiedziała Rini. – Zwykle dotarcie do ruin zamku zajmuje jeden dzień, więc mama może mi pokazać, jak wyglądają w blasku zachodzącego słońca, i opowiadać historie o duchach, aż wyjdą księżycowe

manty i nas przepędzą. Ale droga na skraj pól nigdy nie trwa dłużej niż godzinę albo dwie. Nie żeby powrót do domu był bardzo interesujący, chyba że zaatakują rabusie lub coś innego, a to prawie nigdy się nie zdarza.

– Nonsensowne światy są czasami trochę niepokojące – stwierdził Christopher.

Rini się rozpromieniła.

– O, dziękuję.

Szkielet spowity w tęczę nadal dzielnie włókł się obok nich, nie przyspieszając ani nie zwalniając, nawet gdy wpadł stopą w jakąś dziurę albo trafił na wystający korzeń drzewa. Kiedy Sumi się potykała, nie upadała, tylko szybko odzyskiwała równowagę i szła za nimi. Nie było jasne, czy rozumie, gdzie jest i co tutaj robi. Nawet Christopherowi brakowało słów, żeby ją o to zapytać.

– Już wiesz? – zapytała Cora, zerkając niespokojnie na Rini. – Co z nią zrobisz? Musisz coś z nią zrobić.

– Znajdę sposób, żeby ona ożyła i żeby ja mogła się urodzić. Królowa Ciast została zrzuciona z tronu i teraz wszystko może być takie, jak powinno. – Ton Rini był twardy. – Lubię żyć. Nie jestem gotowa nie istnieć wyłącznie z powodu jakiejś głupiej zasady przyczynowości. Nie zapraszałam głupiej zasady przyczynowości na swoje przyjęcie urodzinowe, więc ona nie musi mi dawać żadnych prezentów.

– Nie jestem pewien, czy zasada przyczynowości działa w ten sposób, ale jasne – powiedział Kade ze znużeniem. – Po prostu chodźmy tam, dokąd mamy iść, a wtedy zobaczymy.

Cora się nie odezwała, ale uznała, że tak właśnie musi być. Dlatego szli dalej.

Rini miała rację. Po niecałej godzinie teren zaczął opadać i zmieniał się w łagodne zbocze, które w jakiś sposób dopasowało się do kształtu gór, tak że z miejsca, w którym się znaleźli, zwykła farma kukurydziana stanowiła oszałamiający widok.

Pola były tutaj bujnym zielonym peanem na część uprawy ziemi, źdźbła sięgały nieba, liście szeleściły z taką roślinną witalnością, że dopiero kiedy Cora przyjrzała się uważniej, zobaczyła, że kolba wieńcząca każdą łodygę

to w rzeczywistości cukierek w kształcie ziarna kukurydzy, każdy długości jej przedramienia. Kłoski z waty cukrowej kołysały się lekko na wietrze. Wszystko pachniało miodem i cukrem i ten zapach w jakiś sposób był właściwy, dokładnie taki, jaki być powinien.

Wzdłuż skraju pola stały ule, wokół których uwijały się grube pasiaste miętówki i karmelki, a wyglądu ich owadziego potomstwa można było jedynie się domyślać. Skrzydła z przezroczystych warstw toffi mieniły się złotem w blasku słońca.

Podobnie jak zamek Królowej Ciast, dom na farmie i stodołę zbudowano z piernika, a ich wakacyjny charakter doprowadzono do ekstremum. W przeciwieństwie do tamtego zamczyska, obie budowle były idealnie symetryczne i dobrze zaprojektowane, z uwzględnieniem funkcji i formy, a nie tylko z myślą o użyciu jak największej ilości jadalnego brokatu. Niski i długi dom o oknach z takiego samego toffi jak skrzydła pszczoł ciągnął się wzdłuż brzegu pola. Rini uśmiechnęła się na jego widok, a na tych rysach twarzy, które jeszcze jej zostały, odmalowała się ulga, tak że dziewczyna wyglądała młodo, promiennie i spokojnie.

– Ojciec będzie wiedział, co robić – zapewniła. – Mój ojciec zawsze wie, co robić.

Kade i Cora wymienili spojrzenia. Żadne z nich się nie odezwało. Jeśli Rini chciała wierzyć, że jej ojciec jest wszystkowiedzącym mędrcom, który rozwiąże każdy problem, kim oni byli, żeby się spierać? Poza tym to nie był ich świat. Rini mogła mieć rację.

– Chodź, mamó! – zawołała Rini, wchodząc na kukurydziane pole. – Tata czeka!

Gdy zanurkowała w zieleni, szkielec podążył za nią bardziej statecznie, a troje gości z innego świata zamykało pochód.

– Zawsze myślałem, że jeśli znajdę inne drzwi, do dowolnego miejsca, przejdę przez nie, bo wszędzie musi być lepiej niż w świecie, w którym moi rodzice przez cały czas zadawali mi okropne pytania – powiedział Christopher. – Była taka telenowela o grupie chorych dzieciaków ze szpitala, do oglądania której matka zmuszała mnie przez całe dwa sezony, odkąd wróciłem, i przy każdym odcinku rzucała mi te swoje pełne nadziei spojrzenia, jakbym w końcu miał przyznać, że tak, Szkielecowa Dziewczyna była pacjentką z zaburzeniami odżywiania albo bezdomną dziewczyną czy kimś takim, a nie, no wiecie, cholernym szkieletem.

– Bądźmy uczciwi – odezwał się Kade. – Gdyby mój syn wrócił z podróży do magicznej krainy i oznajmił mi, że chce się ożenić z dziewczyną, która nie ma żadnych organów wewnętrznych, pewnie trochę czasu spędziłbym na próbach znalezienia sposobu, żeby tak nie mówił.

– No tak, przecież tobie podobają się dziewczyny, bo mają ładne nerki – odparował Christopher.

Kade wzruszył ramionami.

– Lubię dziewczyny. Dziewczyny są piękne. Podoba mi się, że są takie miękkie, ładne, mają skórę i rezerwy tłuszczowe w miejscach, które ewolucja uznała za właściwe. Jednak najbardziej lubię w nich prawdziwą anatomiczną stabilność dzięki temu, że nie są samymi szkieletami.

– Czy wszyscy chłopcy są tacy dziwni jak wy dwaj, czy to ja miałam szczęście was poznać? – zapytała Cora.

– Jesteśmy nastolatkami w magicznej krainie, idziemy za jedną martwą, a drugą znikającą dziewczyną po polu organicznych, wolnych od pestycydów cukierków kukurydzianych – odpowiedział Kade. – Myślę, że wrażenie dziwności to całkowicie racjonalna reakcja w tej sytuacji. Tak jak gwizdzemy na cmentarzu, żeby nam całkiem nie odważyło.

– A przy okazji – dodał Christopher. – Ty nie wybierasz partnerów na randki na podstawie ich organów wewnętrznych, prawda? Zastanów się.

– Sorry, ale muszę poprzeć Kade’a, skoro wciągacie mnie w tę dyskusję dziwaków. – Cora trochę się odprężyła. Coraz bardziej czuła się jak na spacerach z Nadyą po terenie szkoły niż jak na niebezpiecznej wyprawie. Może ojciec Rini rzeczywiście wszystko naprawi. Może będą mogli wrócić do domu...

Zatrzymała się raptownie.

– Bransoletka...

– Co? – Kade i Christopher też przystanęli i popatrzyli na nią z niepokojem.

– Nie zabraliśmy Królowej Ciast bransoletki Rini – przypomniała Cora, czując ucisk w piersi. – Tak się skupiliśmy na odzyskaniu fletu Christophera, że już nie szukaliśmy bransoletki. Jak wrócimy do szkoły?

– Coś wymyślimy – uspokoił ją Kade. – W razie czego zajmie się nami czarnoksiężnik, od którego Rini dostała pierwszy zestaw koralików. Oddychaj. Wszystko będzie dobrze.

Cora wzięła głęboki oddech, mierząc go wzrokiem.

– Naprawdę tak myślisz?

– Nie – przyznał Kade otwarcie. – Nigdy nie jest dobrze. Ale powtarzałem to sobie każdej nocy, kiedy byłem w Pryzmacie. Mówiłem to każdego ranka, kiedy się budziłem nadal w Pryzmacie. I przetrwałem. Czasami to wszystko, co możesz zrobić. Po prostu wytrzymać, nieważne, ile czasu to zajmie i jakie jest trudne.

– To brzmi... – Cora umilkła. – Właściwie to brzmi naprawdę miło. Ja nie jestem tak dobra w okłamywaniu samej siebie.

– Podczas gdy ja jestem królem wmawiania sobie bzdur, w które nie wierzę, ale muszę je akceptować ze względu na innych. – Kade rozłożył ramiona. – Mogę sprawić, że przez pięć minut wszystko będzie brzmieć rozsądnie.

– Ja tak nie potrafię – odezwał się Christopher. – Po prostu nie zamierzam umrzeć tam, gdzie Szkieletowa Dziewczyna mnie nie znajdzie. Nie sądzę, żeby ten świat łączył się z Mariposą. Jest za bardzo odjechany.

– Co masz na myśli? – Cora ruszyła dalej.

– Wiesz, że Rini nie jest pierwszą osobą, która przyszła do naszego świata... nazwijmy go Ziemią, bo formalnie tak brzmi jego nazwa, z innego miejsca? – Kade zaczekał, aż Cora skinie głową. – Za każdym razem, kiedy tak się dzieje, a my o tym wiemy, ktoś stara się zadać mu dużo pytań, żeby poznać jak najwięcej szczegółów dla Kompas. Większość z tych ludzi ma swoje własne historie o drzwiach. Znają kogoś, kto zna kogoś, kogo praprapraciotka zniknęła na dwadzieścia lat i wróciła w tym samym wieku, w którym była, kiedy przepadła bez śladu. W dodatku z mnóstwem bezsensownych opowieści, z królewskimi diamentami w kieszeniach, solą albo węzowymi skórąmi. Waluty trochę się różnią, zależnie od świata. Dzięki tym relacjom dowiedzieliśmy się, że istnieją światy „do” i światy „od”.

– Co masz na myśli?

– Kraina Słodocy została stworzona przez drzwi. Jej zasady ustaliły piekarki, które może i pochodziły ze światów Logiki, ale od życia chciały Nonsensu, więc upiekły sobie świat Nonsensu, warstwa po warstwie. Połowa z tych nonsensów prawdopodobnie wynika z nadmiaru kucharek. Trzydzieści osób piecze ten sam weselny tort i nawet jeśli wszystkie są mistrzami w swoim fachu, nie ma cudów, musi im wyjść coś, co smakuje trochę zabawnie.

Cora wolno pokiwała głową.

– Więc to jest świat „do”.

– Tak. Natomiast Ziemia jest światem „od”. Kiedy trafiają do nas podróżnicy, to tacy jak Rini, ludzie, którzy nie mieli wyboru, ludzie, którzy zostali wypędzeni albo szukają starego przyjaciela, który zniknął dawno temu i jeszcze nie wrócił, choć mówił, że wróci. – Kade zrobił pauzę. – Ziemia nie jest jedynym światem „od”. Wiemy o co najmniej pięciu, a to oznacza, że pewnie jest ich więcej, tyle że za daleko, żeby częściej zdarzały się wizyty. Światy „od” mają skłonność do mieszania się. Trochę Nikczemności, odrobina Cnoty. Trochę Logiki, trochę Nonsensu. Mogą skłaniać się bardziej ku jednemu lub drugiemu. Uważam, na przykład, że Ziemia jest bardziej logiczna niż nonsensowna, choć ciocia Eleanor nie zawsze się ze mną zgadza. Ale one istnieją, żeby zapewniać drzwi do różnych miejsc.

– Wszystkie światy „do” łączą się z jednym albo więcej światami „od” – dorzucił Christopher. – Tak więc Mariposa i Pryzmat łączą się z Ziemią i z niej biorą podróżników. I może łączą się również z kilkoma podobnymi, tak jak świat Nadyi styka się ze światem Nancy, albo jeszcze z jakąś krainą „od”, tak że zdobywają podróżników bez zwracania na siebie zbytnej uwagi. Ale kiedy łączą się z innym światem „do”, to zawsze z takim, w którym zasady są prawie identyczne.

– A tutaj nie są takie jak te w Mariposie – stwierdziła Cora.

Christopher pokiwał głową.

– Właśnie. Mariposa była Rymem i Logiką, a to miejsce jest Nonsensem i Rozumem. Nie umiem powiedzieć, czy to Nikczemność czy Cnota, ale to nie ma dla mnie znaczenia, bo Mariposa jest Neutralna, więc może się zgrać z każdym. Tylko nie z Nonsensem.

– Boli mnie głowa – poskarżyła się Cora.

– Witaj w klubie – skwitował Kade.

Dotarli do końca kukurydzianego pola i wyszli z zieleni na ubitą ziemię przed domem. Bez spróbowania nie dało się stwierdzić, z czego jest zrobione podwórko, a Cora stwierdziła, że jednak nie poliże ziemi, bo jej ciekawość nie jest aż taka niepokonana. Dobrze wiedzieć, że istnieją granice, do jakich byłaby gotowa się posunąć w tej nowej rzeczywistości. A może po prostu nie chciała jeść gleby.

Tymczasem przed domem Rini obejmowała mężczyznę wyższego od niej o kilkanaście centymetrów. Musiał również górować nad Sumi, nawet kiedy była już dorosłą kobietą, a nie nastoletnim szkieletem stojącym cicho z boku. Farmer miał żółte włosy. Nie blond, tylko żółte – jak dojrzałe ziarna kukurydzy, jak karmel.

– Ludzie tutaj są z mięsa, tak? – wyszeptała Cora.
Kade spojrział na plamę krwi na swoich spodniach i powiedział:
– Nie da się ukryć.
– Jak to się dzieje, że nie umierają z niedożywienia? Jak to możliwe, że nadal mają zęby?
– A dlaczego twoja skóra nie zgniła i nie odpadła, chociaż spędziłaś całe dwa lata pod słońcą wodą? – Kade posłał jej krótki, lekko drwiący uśmiech.
– Każdy świat ustala własne zasady. Czasami te zasady wydają się niemożliwe. Ale to nie znaczy, że nie obowiązują.
Cora milczała przez chwilę.
– Chcę wrócić do domu.
– Jak my wszyscy – powiedział Christopher ze smutkiem, i to zakończyło sprawę.

Nie było już nic więcej do powiedzenia. Wszyscy troje ruszyli w stronę Rini i jej rodziny, mając nadzieję na cud, licząc na rozwiązanie, podczas gdy wokół nich na zielonych polach kukurydziane cukierki sięgały do słońca.

Rini poczekała, aż jej przyjaciele (Byli teraz jej przyjaciółmi? Czy mimo przeciwności związali się ze sobą dostatecznie, żeby można było użyć tego określenia? Nigdy wcześniej nie miała prawdziwych przyjaciół, nie znała zasad.) znajdą się przy niej, puściła ojca i odsunęła się, żeby mogli się nawzajem zobaczyć.

Farmer był wysoki. Zauważyli to z już z daleka, podobnie jak nienaturalną żółtość jego włosów. Jednak dopiero teraz zobaczyli, że jego oczy, podobnie jak Rini, przypominają cukierki kukurydziane, dłonie są duże i stwardniałe od pracy w polu, a twarz jest ogorzała od słońca i prawie tak ciemna jak u córki, choć jego w odcieniach, rdzawoczerwonych i brzoskwiniowych, nie bursztynowych i miodowych. Ci dwoje nie tyle byli do siebie podobni, co wyglądali prawie tak samo.

Kade, który znał Sumi lepiej niż jego towarzysze, spojrział na Rini, potem na jej ojca i w różnicach między nimi dostrzegł swoją przyjaciółkę dodaną do receptury, tak że z wymieszanych składników powstała jej córka.

– Jestem Kade – przedstawił się z lekkim ukłonem, bo czuł, że tak powinien się zachować. – Miło mi pana poznać.

– Dziękuję za przyprowadzenie mojej córki do domu – rzekł farmer. – Rini mówi, że przeżyliście niezłą przygodę. Królowa Ciast wróciła do swoich starych sztuczek, co? A ja straciłem moją Sumi. – Jego ton był nie tyle smutny, co zrezygnowany. Życie toczyło się tak, jak się spodziewał: pozbawiło go szczęścia z czystej złośliwości, a nie dlatego, że na to zasłużył. – Mam na imię Ponder i miło mi was gościć na mojej farmie.

– To nie czas na ponuractwo, tatusiu – odezwała się Rini z odrobiną swojej dawnej władczości. Bliskość ojca najwyraźniej podniosła ją na duchu. Ona wprawdzie zniknęła, ale jeszcze był czas, żeby wszystko naprawić. – Znalazłam mamę. Znalazłam jej kości w świecie, który nie potrafi się śmiać, znalazłam jej ducha w świecie, który nie wie, jak trwać, a teraz ty mi powiesz, jak znaleźć jej serce, żebym mogła je z powrotem skleić.

Rini uśmiechnęła się do ojca szczerze i promiennie, jakby on był odpowiedzią na wszystkie jej modlitwy. Jakby rzeczywiście mógł wszystko naprawić.

Ponder westchnął głęboko i dotknął jej policzka, nie tego z pustym oczodołem, ale tego nadal całego i zdrowego, nietkniętego przez nicość, która pożerała ją od środka.

– Nie wiem, skarbie – powiedział. – Już ci mówiłem, że nie wiem. Jestem tylko farmerem. Moją jedyną rolą w tej sztuce było kochanie twojej matki i wychowywanie ciebie, a ja robiłem jedno i drugie tak, jak potrafiłem, ale to nie uczyniło mnie obytym w świecie ani mądrym, a jedynie mężczyzną z żoną bohaterką i córką, która miała pewnego dnia dokonać czegoś wielkiego, i to mi wystarczało. Nigdy niczego nie uratowałem. Nigdy nie rzuciłem wyzwania bogom. Byłem człowiekiem, do którego mogłaś wrócić po zakończonej wyprawie, a on cię witał ciepłym ciastem karmelowym i pytał, jak minął dzień. I nigdy nie czułem, że jestem wykluczony, bo zawsze trzymałem się z boku.

Rini wydała cichy dźwięk, ni to jęk, ni to szloch, i ukryła twarz w resztkach dłoni.

– Pan Umarłych powiedział, że nonsens Sumi wrócił do domu – odezwał się nagle Christopher. – Panie Ponder, Rini mówiła nam o Piekarkach. O tym, jak tu przybyły i uczyniły Krainę Słodocy większą i dziwniejszą. Wie pan, gdzie jest piec, w którym upiekły ten świat?

– Oczywiście. To dzień drogi stąd.

Christopher uśmiechnął się blado.

– Tak się domyślałem. Może pan wskazać nam drogę?

Część IV

Tutaj zmieniamy świat

Cukier, przyprawy i cena do zapłacenia

Ponder dał każdemu z nich torbę z prowiantem i drobiazg, który mógł się im przydać: mały sierp dla Cory, słoik miodu dla Kade'a, biały kamień albo bardzo twarde jajko dla Christophera. To, co dał córce, było mniej oczywiste, ponieważ Rini szła obok szkieletu matki z pustymi rękami i oczami utkwionymi w horyzoncie.

Cora się z nią zrównała i spytała:

– Wszystko w porządku?

– Ojciec dał nam prezenty, bo musiał, a nie dlatego, że nam teraz pomogą – odparła Rini. – Możecie je wyrzucić, jeśli chcecie.

– No nie wiem... – Cora nigdy wcześniej nie miała sierpa. Uważała, że jest ładny. – Może kiedyś się przyda.

– Może.

Cora zmarszczyła brwi.

– Okay, a teraz poważnie. Dobrze się czujesz?

– Tak. Nie. Nie wiem. Nigdy nie odwiedzałam żadnej Piekarki. – Głos Rini był cichy, może nawet pełen nabożnego lęku. – Zawsze myślałam, że zrobię to pewnego dnia, kiedy się odważę, ale tak się nie stało i trochę się boję. A jeśli ona mnie nie polubi? Albo jeśli polubi mnie za bardzo i będzie chciała, żebym została z nią na zawsze, była jej pomocnicą w kuchni? Zrobiłabym to. Dla mojej matki, dla mojego świata. Zrobiłabym to. Ale w środku umierałabym po trochu każdego dnia, aż zostałaby ze mnie cukierkowa skorupa wypełniona cieniami.

– Zaczekaj. – Cora zerknęła na chłopców, którzy idąc, rozmawiali ze sobą cicho. Christopher wygrywał niesłyszalne melodie na flecie. – Nie idziemy zobaczyć się z Piekarką. Chodzi nam o piec, w którym ona upiekła świat. To duża różnica.

– Niezupełnie – stwierdziła Rini. – Kiedy wchodzisz do czyjejś kuchni, nie możesz oczekiwać, że tego kogoś nie zastaniesz.

Cora na nią popatrzyła.

– Mówiłaś chyba, że Piekarka odeszła dawno temu?

– Mówiłam, że jakaś piekarka odeszła dawno temu. Jedna z nich. Wiele z nich odeszło. Ale ta jest tu, odkąd byłam małą dziewczynką. Przeszła przez drzwi, zaczęła robić różne rzeczy i robi je do tej pory. – Rini pokręciła głową. – Pewnie nadal tu jest, choć Królowa Ciast znowu żyje, ale ona właściwie nigdy nie była piekarką. Tylko miała nią być, bo ten świat trzeba naprawiać, jeśli nie chcemy, żeby się rozpadł.

– Och, słodki Neptunie, zaczyna mnie boleć głowa. – Cora pomasowała skronie. – No dobrze, idziemy na spotkanie z boginią. Zobaczymy boginię tej popieprzonej kawiarni, a potem wynosimy się w diabły z powrotem do szkoły i zostaniemy w niej, póki nie otworzą się nasze drzwi. Tak. Właśnie tak zrobimy.

– Coro? – zawołał Kade. – Wszystko w porządku?

– Tak. Tylko, no wiesz, oswajam się z myślą, że zaraz będziemy zawracać głowę komuś, kto w tej rzeczywistości praktycznie jest bóstwem. Bo właśnie tak zamierzałam spędzić popołudnie.

– Mogło być gorzej – skwitował Kade. – To mogłoby być pierwsze bóstwo, które spotkasz.

Cora zmarszczyła brwi.

– To jest pierwsze bóstwo, które spotkam.

– Naprawdę? Bo sądziłem, że użyłaś tego słowa w znaczeniu „absolutny arbiter zasad obowiązujących w rzeczywistości, w której się znajduję”. Mam rację? – Kade przekrzywił głowę na bok. – Bo jeśli tak, to już poznałaś co najmniej jednego boga, a możliwe, że dwóch. Prawdopodobnie dwóch. Pana Umarłych i Panią Cieni w świecie Nancy, pamiętasz? Oni nie zdobyli tych tytułów w otwartych wyborach.

Cora zbladła.

– Naprawdę?

– Podejrzewam, że trafiło się im takie samo rozdanie jak tutejszej pierwszej Piekarce. Po prostu para zagubionych dzieciaków, które wpadły do świata umarłych i z jakiegoś powodu uznały, że mogą w nim zostać. Albo to on nie pozwolił im odejść. Tak też mogło się zdarzyć. Światy mogły wypuszczać korzenie, oplatać nimi ich serca i zaciskać je mocniej przy każdym oddechu, aż „dom” stał się dla nich pustym słowem.

– Cholera. – Kręcąc głową, Cora obejrzała się na Rini i na cichą postać Sumi odzianej w jej własnego ducha. – Nie pisałam się na żadnych bogów.

– Nikt z nas nie pisał się na coś takiego – odezwał się Christopher. – Ja jedynie chciałem dożyć szesnastych urodzin.

– A mnie zależało na przygodzie – wyznał Kade.

Sumi, pozbawiona głosu, nic nie powiedziała, i może tak było lepiej. Podobnie jak Cora, była zbawczynią, narzędziem, kimś, kto został wezwany i komu zaproponowano nową cudowną egzystencję w zamian za zrobienie tylko jednej rzeczy: uratowanie świata. Ona to zrobiła, ale została zamordowana i cała jej ciężka praca poszła na marne.

Nonsens okazał się wyczerpujący. Cora nie mogła się doczekać, aż wróci do szkoły, gdzie wprawdzie wszystko było suche i okropne, ale przynajmniej miało jakiś sens.

Droga z pokruszonych grahamowych sucharków wiała się przez sielską okolicę, która mogłaby zachwycić, gdyby nie była w całości zrobiona z cukru. Kade zerwał z krzewu garść drażetek i chrupał je, maszerując.

Cora zmarszczyła brwi.

– Rini, skoro ten świat stworzyły Piekarki, a potem odeszły, skąd się wzięli ci wszyscy ludzie? Jak twój ojciec? To znaczy, on najwyraźniej jest podobny do ludzi z mojego świata, skoro Sumi za niego wyszła i urodziła cię, ale to właściwie nie ma sensu. Wszystko inne to cukier.

– Och, ten świat stawał się taki duży, że Piekarka spędzała cały czas – wtedy mieliśmy Pierwszą Cukierniczkę, bardzo zajęta wyrobem słodkości – na naprawianiu wszystkiego. Dlatego otworzyła tyle drzwi, ile mogła, i powiedziała ludziom, którzy się bali, byli głodni, samotni albo znudzeni, że jeśli przez nie wejdą, nigdy nie będą mogli wrócić, ale ona może dać im cukrowe serca, żeby stali się częścią tego świata, byli szczęśliwi i przez wieczność naprawiali wszystkie rzeczy, których ona już nie chciała naprawiać. – Rini wzruszyła ramionami. – Chyba przyszło dużo ludzi. Piekarka robiła im nowe serca, oni znaleźli miejsca dla siebie, zaczęli wznosić domy, uprawiać pola, budować statki, i teraz jestem ja, mój ojciec ma cukrowe serce, matka normalne, a oboje kochali mnie tak bardzo, jak księżyc kocha niebo.

– Szczurołap z Hameln – odezwał się Christopher niemal z zachwytem.

Cora, która nigdy nie brała pod uwagę, że mogą istnieć mniej osobiste drzwi, które połknęły całe populacje – za ich zgodą albo bez niej – z niepokojem przygryzała wargę i szła dalej. Chodzenie zaczynało ją męczyć. Ta

aktywność fizyczna nigdy nie należała do dziesięciu jej ulubionych. Może nawet nie znalazłaby się w pierwszej dwudziestce, choć Cora nie sądziła, by istniało aż dwadzieścia form ruchu wartych uwagi, chyba że zaczęłaby liczyć każdy styl pływacki i rodzaj tańca jako osobną kategorię. Niestety ten marsz był konieczny. Nie mogła się skarżyć, nawet gdyby chciała.

(I nawet gdyby chciała, nigdy by tego nie zrobiła. Jeśli ktoś gruby pierwszy mówi: „Hej, jestem zmęczona” albo „Hej, jestem głodna” czy „Hej, może usiadzimy?”, to zawsze dlatego, że był gruby, a nie dlatego, że ciało każdej ludzkiej istoty ma swoje potrzeby. Może Christopher miał rację, udając się do miejsca, w którym ludzie wymyślili, jak obywać się bez ciała, byli oceniani na podstawie zasług, a nie tego, co inni o nich sądzą).

Nagle Christopher zatrzymał się i pochylił do przodu, kładąc dłonie na kolanach. Flet sterczał w jego ręce pod zawadiackim kątem.

– Tylko chwilę. Omal nie umarłem kilka godzin temu. Muszę złapać oddech.

– W porządku – rzuciła Cora wielkodusznie.

Uniosła lewą stopę do tyłu, chwyciła ją i wyprostowała, żeby zapobiec skurczowi. Mięśnie uda najpierw zaprotestowały, a potem się rozluźniły. Po chwili zauważyła, że Kade patrzy na nią z wyraźnym podziwem.

– Jesteś bardziej rozciągnięta ode mnie – stwierdził.

– Muszę. Jestem pływaczką.

Kade pokiwał głową.

– Ma to sens.

Rini odwróciła się i spiorunowała ich wzrokiem, choć miała tylko jedno oko i pół policzka. Wyglądała dziwnie.

– Musimy iść dalej – ponagliła. – Kończy mi się czas.

– Przepraszam. – Christopher się wyprostował. – Już w porządku.

– To dobrze – warknęła Rini i ruszyła dalej.

Kade zbliżył się do niej z lewej strony, rzucając tylko krótkie spojrzenie na Sumi, która szła po prawej. Starał się nie odwracać wzroku od znikającej twarzy Rini. Zasługiwała przynajmniej na tyle szacunku.

– Wiem, że nie da się dokładnie określić, jak jeszcze daleko, ale wkrótce dotrzemy na miejsce – powiedział. – Piekarka nam pomoże i wszystko będzie lepiej. Zobaczysz.

– Tutaj czas biegł naprzód, ale nie dla was. Jestem teraz starsza od swojej matki. – Rini mówiła z goryczą. – Jeśli ją poskładamy, czy to naprawi mnie? Może nadal będę znikać, bo ona jest za młoda na żonę mojego ojca.

On nigdy by się z nią nie ożenił, nigdy, nawet kiedy jeszcze nie miał własnej córki. Nawet jeśli ją odzyskamy, a ona nadal będzie o tyle młodsza ode mnie, czy ja stracę wszystko?

– Proroctwo...

– Mówi jedynie, że Sumi pokona Królową Ciast i zapoczątkuje erę pokoju i kokosanek. Nie mówi, kiedy to zrobi, czy na pewno wyjdzie za swoją prawdziwą miłość i czy będzie miała uderzająco piękną córkę, która dorośnie i również znajdzie prawdziwą miłość. – Rini skrzywiła usta. – Nikt nie obiecał mi szczęśliwego zakończenia. Ani nawet szczęśliwego istnienia.

Kade spojrzał na drogę.

– Naprawimy to – powtórzył.

– Spróbujemy – stwierdziła Rini.

Chwilę wcześniej mijali sielankowe pola zielonego lukru i cukrowych kwiatów, a tu raptem zbliżali się do czegoś, co wyglądało jak skład złomu, gdyby w takie miejsce trafiały tysiące nieudanych wyrobów cukierniczych. Wszędzie wały się zapadnięte suflety, odkrojone brzegi ciast, kawałki popękanej masy karmelowej ciśnięte na góry deserów. Całość była otoczona siatką ze splecionych winorośli. Kade wytrzeszczył oczy.

– Tam idziemy? – zapytał.

Rini pokiwała głową z niemal nabożną miną.

– Tu jest Piekarka – wyszeptała.

Cała piątka ruszyła w stronę bramy. Gdy wrota się otworzyły, weszli przez nie w milczeniu.

Złomowisko było niemożliwie duże, ciągnęło się w nieskończoność, jakby obowiązywały na nim inne prawa fizyki i geometria przestrzeni. Czwórka wędrowców odruchowo zbliżyła się do siebie, tak że czasem stykali się dłońmi, jakby się bali, że nawet chwilowe rozdzielenie spowoduje, że jedno z nich zniknie w tych wysokich górach odpadków i nikt go więcej nie zobaczy.

W miarę jak szli, hałdy sprawiały wrażenie coraz świeższych. Nie było na nich śladu pleśni – wydawało się nawet, że te wyrzucone rzeczy wcale nie są stare – jednak na brzegach składowiska brakowało zapachu świeżych

wypieków, swojskiej woni ciepła, cukru i smakołyków na poprawienie nastroju, która obiecywała bezpieczeństwo, ukojenie i słodycz na języku.

Skręcili za róg i ją zobaczyli.

Piekarka była niska i okrągła, miała skórę o kilka odcieni ciemniejszą niż u Christophera, a na głowie niebieską chustę zasłaniającą włosy. Wyglądała na siedemnaście lat. Spódnicą zamiotła ziemię, kiedy się schyliła, żeby wyjąć placek z pieca. Zbudowała wolno stojącą kuchnię pośrodku śmietniska... albo może stworzyła śmietnisko wokół otwartej kuchni, wyrzucając połamane ciastka i nieudane babeczki.

Rini gapiła się na nią z rozdziawionymi ustami i łzą w oku. Sumi sama z siebie zrobiła krok do przodu, a pod jej kościstą stopą trzasnęła kawałek herbatnika.

Piekarka podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

– Jesteście – powiedziała, odkładając ciasto na ladę. (Czy ta lada była tam chwilę wcześniej?) – Miałam nadzieję, że się wam uda.

Rini wydała stłumiony dźwięk i odwróciła głowę.

Piekarka wyszła z kuchni i ruszyła w jej stronę po warstwie pokruszonych herbatników, na pozór nieświadoma tego, że pęknięcia wygładzają się pod jej stopami, kolory ciastek stają się intensywniejsze, cukier lśni. Uzdrowiała świat samą swoją obecnością... ale ta obecność była konieczna. Ona potrafiła tworzyć. Potrafiła naprawiać. Nie mogła być wszędzie jednocześnie.

– Moja biedna, słodka dziewczynka. – Piekarka sięgnęła po resztki dłoni Rini. – Znalazłaś ją. Znalazłaś naszą Sumi i przyprowadziłaś ją do domu.

– Możesz ją naprawić? – Rini pociągnęła nosem. Łzy ciekły z jej oka, spływały po policzku. – Proszę. Umiesz ją naprawić? Pan Umarłych powiedział, że jej nonsens tu będzie. I on wystarczy, żebyśmy mogli poskładać ją z powrotem. Potrafisz to zrobić?

– Och, moja droga. – Piekarka puściła dłonie Rini. – Nonsens wraca do miejsca, gdzie powstał, to prawda, ale jest jak mąka w powietrzu. Nie można tak po prostu go zebrać. On musi osiąść. Wrócić do wszystkiego. Dzięki niemu świat się obraca. Nawet jeśli nonsens twojej matki tu jest, nie potrafię go odzyskać.

– A możesz zrobić go więcej? – zapytała Cora. – Jesteś Piekarką. To ty stworzyłaś ten świat takim, jaki jest. Nie możesz po prostu... utrzymać nowej porcji nonsensu?

– To nie pierniczki – ucięła Piekarka.

– No dobrze, on jest jak mąka, a nie jak pierniczki, ale to ty nadal rządysz całym tym światem, więc czy nie możesz po prostu postanowić, że teraz upieczesz szczęśliwe zakończenie dla wszystkich zainteresowanych?

– Cora skrzyżowała ramiona i oparła się pokusie, żeby zrobić groźną minę.

– Jestem zmęczona i skołowana. Nie jestem stworzona do świata Nonsensu, więc bardzo bym się ucieszyła, gdybyś po prostu go naprawiła.

– Czasami mówisz „nonsens”, jakby to było pojęcie, a czasami tak, jakby to była nazwa własna – zauważyła Piekarka. – Dlaczego?

– Znalazłaś drzwi – odezwał się Kade.

Piekarka odwróciła się do niego, a on wzruszył ramionami.

– Może znajdowały się w głębi spiżarni, w sypialni albo na środku ulicy, ale znalazłaś drzwi, a kiedy przez nie przeszłaś, wszystko było inne. Miałaś kuchnię, wszelkie składniki pod ręką i świat, który chciał, żebyś upiekła jego przyszłość.

– Dosłownie to robię – wyszeptała Piekarka. – Proroctwa, dzięki którym przyszłość jest taka, jaka powinna być? Wstrzykuję je w kruche ciastka, a te rzucam na wiatr, żeby się rozniosły. To zajmuje dużo czasu. Lukier nie jest dobrym nośnikiem długich rozpraw o losie.

– Chyba nie – zgodził się Kade. – Ale znalazłaś drzwi, a one cię tutaj sprowadziły. I wiesz, że nie jesteś pierwszą osobą, która pracuje w tej kuchni, więc pewnie się boisz, że drzwi kiedyś wrócą i odeślą cię z powrotem do miejsca, z którego przyszłaś.

– Na Brooklyn – powiedziała Piekarka i raptem już nie była boginią, stwórczynią ani nikim takim, tylko nastolatką w hidżabie, z mąką na rękach i przygnębieniem na twarzy. – Skąd wiedzieliście? Zjawiliście się tu, żeby zabrać mnie z powrotem?

– Nikomu byśmy tego nie zrobili – uspokoiła ją Cora. – Nigdy. Ale pytałaś, dlaczego mówimy w taki sposób, w jaki mówimy.

– Jeśli twoje drzwi kiedyś znowu się pojawią, jeśli trafisz z powrotem do swojego świata, do którego nie chcesz należeć, znajdź Dom Eleanor West dla Zbłąkanych Dzieci i postaraj się, żeby rodzice cię tam wysłali – poradził Christopher. – Będiesz z ludźmi, którzy rozumieją.

Piekarka zmarszczyła brwi.

– Dobrze. Ale do tego nie dojdzie, bo ja zostanę tutaj na zawsze.

Cora i Christopher, którzy wiedzieli swoje, tylko wymienili spojrzenia. Nie istniały odpowiednie słowa.

– To miło z twojej strony, ale chcielibyśmy wrócić do szkoły i do szukania naszych własnych drzwi – rzekł uprzejmie Kade. – Możesz przygotować nową porcję nonsensu dla Sumi, żebyśmy mogli ją poskładać?

– Nie wiem jak – wyznała Piekarka z frustracją w głosie. – Nonsens pojawia się sam z siebie. Jest w powietrzu, w wodzie... w ziemi.

– Która jest zrobiona z grahamowych krakersów – zauważyła Cora.

– Właśnie! To nie ma sensu, stąd więcej nonsensu. Nie mogę tak po prostu przygotować porcji czegoś, na co nie ma przepisu.

– Nie możesz improwizować? – Cora pokręciła głową. – Proszę. Przebyliśmy taką długą drogę i już zapłaciliśmy wysoką cenę. Sumi potrzebuje pomocy. Sumi potrzebuje cudu. Tylko ty potrafisz czynić cuda. Więc błagam.

Piekarka popatrzyła na nich kolejno i zatrzymała wzrok na Rini, która nadal płakała, a jej więź ze światem wydawała się coraz słabsza.

– Dobrze. Spróbuję.

Kiedy Piekarka skinęła na Sumi, ona chętnie do niej podeszła. Co innego mogłaby zrobić? Bogini jej wybranego świata wzywała ją do siebie, a ona, nawet jako połączenie szkieletu i ducha, знаła swoje miejsce.

Kade pomógł Piekarce położyć Sumi na długim metalowym stole, pod pewnymi względami niepokojąco podobnym do sekcyjnego z piwnicy, w której kiedyś mieszkała dziewczyna imieniem Jack i marzyła o świecie krwi i piorunów. Potem Kade odsunął się razem z innymi na bok i patrzył, jak bogini bierze się do pracy.

Kuchnia nie miała ścian, szafek ani spiżarni. Kiedy Piekarka czegoś potrzebowała, wychodziła poza jej granice i sięgała do otaczającego ją śmietniska. Wracała z niezbędnymi składnikami. Jajka, mleko, mąka, masło, wanilia i imbir, wszystkie te rzeczy czekały, żeby wydostała je z kurzu. Gospodyni najwyraźniej nie widziała w tym nic dziwnego, nie rozumiała, że kiedy inni patrzą na jej podwórze, widzą jedynie porażki, a nie budulec nowych sukcesów. To nie było ich miejsce. Ono należało tylko do niej.

Kawałek po kawałku Piekarka uformowała kończyny Sumi z płatków ryżowych zmieszanych ze stopionymi piankami i miodem, a następnie

pokryła je cienką warstwą czekolady plastycznej, aż całość zaczęła wyglądać jak ludzkie ciało. Pracowała nad ramionami Sumi, kiedy zabrzączał zegar jednego z pieców. Piekarka wyjęła z niego blachę organów z kruchego ciasta, każdy przyprószone cukrem pudrem innego koloru.

– Dzięki temu kości się nie stopią – wyjaśniła, szpatułką zsuwając organy na kratkę do studzenia wypieków. – Nie muszę się martwić, że położę na nich coś gorącego i stracę całą konstrukcję. Tak czasami dzieje się tutaj z wulkanami. To naprawdę uciążliwe.

– Hm – mruknął Christopher. – Super jest to wszystko obserwować, nawet jeśli trochę upiornie, ale ludzie zwykle są zrobieni z mięsa, a nie z ryżowych chrupek. Potrzebujemy żywej Sumi. Ty robisz ciasto, które trochę ją przypomina.

– Proces pieczenia transformuje, a każdy, kto kiedyś zjadł kawałek ciasta, powie ci, że czasami można zmienić wypiek w część siebie – pogodnie odparła Piekarka. Była w swoim żywiole. Dokładnie wiedziała, co robi, i całkowicie skupiała się na swoim zadaniu. – Jeśli się uda, Sumi będzie stworzona z takiego samego materiału jak ty i ja.

Cora, która nasłuchiwała się dość żartów o ciastkach idących w biodra, spojrzała na swoje krótko obcięte paznokcie i zaczęła z nich zeszkrobywać resztki kleistej różowej pozostałości Truskawkowego Morza. W ogóle się nie odezwała.

– Ha – skwitował Christopher.

Piekarka się roześmiała. Był to swobodny, radosny dźwięk.

– Uwielbiam piec – wyznała. – Można dzięki temu stworzyć świat, jaki się chce. Taki, w którym wszystko jest pyszne. – Sięgnęła po duży rękaw cukierniczy i zaczęła wstrzykiwać wnętrzości z lukru do pustego brzucha Sumi.

Kawałek po kawałku lśniące kości zniknęły pod warstwami ciasta. Kawałek po kawałku misterna konstrukcja zasłoniła milczącego, prawie niechętnego ducha, a na koniec z plastycznej czekolady Piekarka uformowała płaszczyzny i kąty twarzy Sumi. Za tkanę tłuszczową posłużyły warstwy żółtego ciasta, nakryte grubszą warstwą piernika, a na koniec lukrową skorupą zabarwioną na kolor ciemniejszy niż skóra Rini.

– Włosy, włosy, włosy – zanuciła Piekarka, buszując w swoim śmietniku. Wygrzebała z niego garść czegoś, co wyglądało jak czarna wata cukrowa, i rozradowana uniosła ją do góry. – Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda. Ale lepiej jej nie jeść, bo przez tydzień będzie się miało czarny

język. – Wystawiła swój, obecnie w wiśniowym odcieniu, i zaczęła nakładać lśniąca masę na głowę Sumi. Następnie wzięła rolkę pergaminu i delikatnie owinęła nim całe jej ciało. – Prawie gotowa do pieca. Miejmy nadzieję, że się uda.

– A jeśli nie? – zapytała Rini.

Piekarka westchnęła.

– Wtedy spróbujemy czegoś innego.

– Ze szkieletem się uda – powiedział Christopher. – Nie wiem, czy potrafisz upiec czyjś nudnego ducha, ale szkieletowi będzie wszystko jedno, byle piec nie był zbyt gorący.

– Ja nie przypalam ciast – oświadczyła Piekarka.

– Spoko. Nie przejmuj się.

Piekarka się roześmiała.

– No dobrze. Lubię was. Niech ktoś mi pomoże wsadzić ją do pieca.

Ciasto, płatki i czekolada na tyle zwiększyły wagę szkieletu, że w zanieczeniu blachy do pieca musieli pomóc Cora i Kade. Żar, który na nich buchnął, kiedy Piekarka otworzyła drzwiczki, był tak intensywny, że oboje się cofnęli, a włoski zjeżyły się im na rękach.

– Do środka. – Piekarka gładko wsunęła blachę z Sumi w rozgrzaną czełuść. Zamknęła piec.

– I co teraz? – spytała Cora.

– Teraz czekamy – odparła Piekarka. – Czekamy i mamy nadzieję.

Opowieść Piekarki

Siedzieli na popękany piernikowym murze i, machając nogami, popijali chłodne, o dziwo zupełnie niezmodyfikowane mleko. Było słodkie jak wszystkie inne, ale bez dodatku mleka w proszku, czekolady albo czegoś innego, co lepiej pasowałoby do tego świata. Cora posłała Piekarce zaciekawione spojrzenie.

– Skąd je bierzecie? – zapytała.

– Rośnie na drzewach – odpowiedziała Piekarka pogodnie.

Cora wytrzeszczyła oczy.

– No, niezupełnie. Jest w tych dużych białych owocach, które wyglądają trochę jak jajka. Wymyśliła je jedna z moich poprzedniczek. Po prostu się nim ciesz. – Piekarka wypila kolejny łyk. – Ach, odświeżające i dziwaczne.

– Jesteś religijna? – zainteresował się Christopher.

Piekarka skierowała na niego wzrok.

– Słucham?

– Twoja... – Zatoczył ręką wokół głowy. – Wiem, że to przeważnie ma związek z religią. Jesteś religijna?

– Moja rodzina jest. Ja chyba też kiedyś będę, ale noszę hidżab głównie po to, żeby się nie martwić, że włosy wpadną do ciasta.

– Funkcjonalne i modne – skomentował Christopher, naśladując jej ton, kiedy mówiła o mlecznych owocach. – Czy to jest dla ciebie dziwne? Bycie boginią?

Piekarka zawahała się i odstawiła szklankę z mlekiem.

– Wyjaśnijmy to sobie. Nie jestem boginią, tylko piekarką. Piekę różne rzeczy. Magia w moim jedzeniu pochodzi z tego świata, a nie ze mnie, a ja nic nie mogę poradzić na to, że tutaj moje brownie zawsze są idealne i jednocześnie służą jako materiał na pokrycie dachów.

– Przepraszam. Ja tylko pomyślałem...

– Nie jestem tutaj po to, żeby nawracać ludzi, prawić kazania czy robić coś innego niż piec dużo ciasta. Cały kontynent ciasta. Jeśli drzwi się otworzą i odeślą mnie do domu, chyba tam również będę piec ciastka.

– Masz jakieś imię? – spytał Kade.

– Layla.

– Miło cię poznać. Ja jestem Kade. To moi przyjaciele Cora i Christopher. Rini już znasz.

Layla kolejno skinęła im głową.

– Mnie też miło was poznać. Wszyscy mieliście swoje drzwi?

– Książę goblinów – powiedział Kade.

– Syrena – przedstawiła się Cora.

– Ukochany Szkieletowej Księżniczki – dorzucił Christopher.

Layla zamrugła.

– Nadażałam za wami aż do tej chwili.

Christopher niedbale wzruszył ramionami.

– Często spotykam się z taką reakcją.

Rini się nie odezwała. Ze smętną miną odłupywała kawałki czekolady z muru i rzucała je na ziemię. Layla westchnęła i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Oddychaj – powiedziała.

– Myślę, że jedno z moich płuc przestało istnieć – oznajmiła Rini.

– Więc oddychaj płycej – poradziła Layla. – Po prostu oddychaj. Pieczenie wkrótce się skończy, a wtedy zobaczymy.

– Rini się martwiła – wypaliła Cora. – O czas. Skoro Sumi umarła, zanim ona się urodziła, a my teraz przywrócimy ją do życia...

– Och, to proste – przerwała jej Layla. – Sumi ożyje i wróci z wami do szkoły. Dla nas ona jest dorosłą kobietą, a nie nastoletnim szkieletem. Spędzi z wami kilka lat, zanim drzwi znowu się otworzą.

– Ty je otworzysz? – zapytał Kade.

– Nie. Ja dotrę tutaj rok po Sumi.

Zapadła cisza. Po chwili przerwał ją Christopher.

– Skoro teraz jesteśmy w przyszłości... naszej przyszłości, czy to oznacza, że gdybym zajrzał na Facebooka, kiedy znowu będę miał wi-fi, zobaczyłbym, że masz jakieś dwanaście lat i mieszkasz na Brooklynie?

– W wieku dwunastu lat nie miałam Facebooka, ale to bez znaczenia. Proszę, nie szukajcie mnie. Nie próbujcie mnie znaleźć. Nie pamiętam, żeby tak się stało, co oznacza, że nic podobnego się nie wydarzyło. Jeśli

zmienicie moją przeszłość, drzwi mogą nigdy się nie otworzyć, a ja nie upiekę tych wszystkich ciast. A przez całe życie na to czekałam.

Wszyscy, którzy trafili do szkoły Eleanor West – wszyscy, którzy znaleźli drzwi – rozumieli, jak to jest spędzić życie, czekając na coś, czego inni ludzie raczej by nie rozumieli. Nie dlatego, że oni byli lepsi od innych, ani dlatego, że byli gorsi. Po prostu mieli w sobie głęboko zakorzenioną potrzebę, nieodpartą, domagającą się zaspokojenia.

– Nie zrobimy tego – obiecał Kade.

Layla odetchnęła.

W kuchni zabrzączał dzwonek. Piekarka wstała i otrzepała z kolan proszek kakaowy, mówiąc:

– Zobaczmy, co nam wyszło.

Ruszyła do kuchni, reszta podążyła za nią. Rini szła coraz wolniej, aż znalazła się za Corą.

Cora obejrzała się na nią z lekkim zdziwieniem.

– Nie chcesz zobaczyć swojej mamy? – spytała.

– To nie będzie ona, jeszcze nie – stwierdziła Rini. – Jeśli się udało, ona nie jest moją terazniejszą matką, a więc nie będzie nią jutro. W Logice jest lepiej? Gdzie czas biegnie tak samo każdego dnia i tylko w jednym kierunku, twoja matka jest zawsze twoją matką, może otrzeć ci łzy i powiedzieć: „No już, wszystko będzie dobrze, jesteś moją miętową gwiazdką i morzem syropu cukrowego, nigdy cię nie opuszczę i z pewnością nie dam się zabić, zanim się urodzisz”?

Cora się zawahała.

– Nie zawsze – przyznała w końcu i odwróciła wzrok.

Na twarzy Rini odmalowała się ulga.

– To dobrze. Nie wiem, czy mogłabym żyć z myślą, że wszyscy inni mają lepiej, a my gorzej tylko dlatego, że nie chcieliśmy robić różnych rzeczy w taki sam sposób każdego dnia.

Kade zatrzymał się przed kuchnią i obejrzał przez ramię.

– Chodźcie! – zawołał. – Musimy wyjąć Sumi z pieca, zanim się spali.

– Idziemy – odpowiedziała Cora i przyśpieszyła z Rini u boku.

Kiedy Layla otworzyła piec, buchnęło z niego gorące powietrze, słodkie, pachnące brązowym cukrem, cynamonem i imbirem. Piekarka zrobiła krok do tyłu, śmiejąc się z widoczną ulgą.

– Dobry zapach – stwierdziła. – Zapach jak trzeba. Żadnego węgla ani spalenizny.

– Jak możemy pomóc? – spytał Kade.

– Włóż rękawice kuchenne i chwyć blachę – poprosiła Layla.

Sama sięgnęła do pieca gołymi rękami i pociągnęła metalowy koniec blachy. Nic nie wskazywało na to, żeby się oparzyła. Może nie uprawiała magii, ale ten świat był magiczny, a Piekarka pełniła w nim ważną rolę. Była chroniona.

Kade nigdy nie przepadał za gotowaniem. Za dużo pracy jak na bardzo nietrwały rezultat. Wolał szycie, branie jednej rzeczy i zmienianie jej w inną, w coś, co przetrwa. Rodzice uznali jego zainteresowanie szyciem po powrocie z Pryzmatu za znak, że jednak jest dziewczynką, aż w końcu zaczął przerabiać swoje sukienki na koszule, kamizelki i inne części garderoby, w których czuł się swobodniej.

Kłął się szpilkami i kaleczył nożyczkami częściej, niż potrafiłby zliczyć. Gdyby ktoś zaproponował mu miejsce, gdzie mógłby po prostu siedzieć i szyc, mając pod ręką wszelkie materiały, jakich dusza zapagnie, i narzędzia, które nie zrobiłyby mu krzywdy, nieważne jak niedbale by się nimi posługiwał, cóż, pokusa byłaby zbyt duża, żeby zdołał się oprzeć.

Rini została z tyłu, bo nie mogła zaufać swoim zdekompletowanym dłońmi, ale pozostali stanęli po dwoje z każdej strony, jakby mieli zanieść trumnę z Sumi na ostatni spoczynek. Postawili blachę na wyspie pośrodku kuchni, a Layla kazała im się odsunąć, po czym sięgnęła do pergaminu pokrywającego twarz Sumi.

Cora uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech.

Przyjechała do szkoły już po śmierci Sumi, więc nie mogła jej rozpoznać. Zobaczyła teraz piękną, cichą nastolatkę o gładkiej brązowej skórze i długich czarnych włosach. Jej oczy były zamknięte, rzęsy spoczywały łagodnie na policzkach, lekko wygięte do dołu usta wydawały się żywe, choć nieruchome.

Rini głośno wciągnęła powietrze i zaczęła płakać.

– Obudźcie ją. Proszę, obudźcie ją.

– Najpierw musi wystygnać – powiedziała Layla. – Gdybyśmy teraz ją obudzili, dostałaby gorączki, która ugotowałaby jej mózg i znowu ją zabiła.

– Ona wygląda... – Kade wyciągnął drżącą rękę, ale szybko ją cofnął. – Wygląda idealnie. Wygląda prawdziwie.

– Bo jest prawdziwa – oświadczyła Layla. – Włosy są tego dowodem.

– Jak to?

– Gdyby piec nie chciał jej z powrotem poskładać, nie miałyby teraz włosów – wyjaśniła Layla z uśmiechem. – Zostałyby z nich posklejana czarna masa wymieszana ze stopionym lukrem. Tak przy okazji, nie należy przypiekać lukru ani polewy, ani większości innych rzeczy, które nałożyłam na jej szkielet. Kraina Słodocyzy chciała ją z powrotem. Ja jestem tylko Pie-karką. Wkładam rzeczy do pieca, a świat robi resztę zgodnie ze swoją wolą.

Ta przemowa zabrzmiała tak, jakby Layla próbowała uniknąć oskarżeń o magię. Kade nic nie powiedział. Wdawanie się w spór z kimś, kto pomagał, nigdy nie było dobrym pomysłem, a w tym wypadku zmuszenie Pie-karki, żeby zwątpiła w swoje miejsce w Krainie Słodocyzy, skutkowałoby pojawieniem się drzwi i wygnaniem, a wtedy wszystko poszłoby na marne.

Sumi wyglądała tak prawdziwie.

– Czy zrobienie nowego ciała z cukru, ciasta i innych rzeczy wystarczy? – zapytała Cora. – Przywróci jej nonsens? – Czy może cichy, poważny duch Sumi otworzy nowe oczy i poprosi, żeby zabrać go do domu? Nie do szkoły, tylko do rodziców, którzy wierzyli, że córka nie żyje, którzy chcieli ją odesłać, kiedy okazała się kimś innym niż dobra dziewczynka, na jaką ją wychowywali.

– Nie wiem – przyznała Layla. – Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Nie wiem, czy ktokolwiek to robił.

To było kłamstwo, ale konieczne. Oczywiście, że ktoś tutaj już wcześniej robił takie rzeczy. Znajdowali się w Krainie Słodocyzy, krainie sztuki kulinarnej zamienionej w cud, krainie samotnych dzieci spragnionych blach i wałków do ciasta, kojącej przewidywalności minutników, miarek do cukru, kopczyków mąki. W tym miejscu z idealnie odmierzonych składników powstały nonsensowne wieże dziwów i niezwykłości i może dlatego logiczne istoty nie czuły się tutaj atakowane przez otaczający je świat. Kade aż za dobrze pamiętał opowieści ciotki o jej własnym królestwie Nonsensu, które zwróciło się przeciwko niej, kiedy była dostatecznie duża, żeby myśleć jak dorosła osoba, sztywno i metodycznie. Nonsens na zawsze ją naznaczył, ale gdzieś po drodze czas na tyle ją dogonił, że zwróciła się przeciwko rzeczywistości, z której pochodziła.

Kraina Słodocy różniła się od innych Nonsensów, ponieważ istniały w niej zasady, soda oczyszczona zawsze spulchniała ciasto, drożdże zawsze rosły. Była nonsensowna, ale dzięki tym zasadom ludzie z Logiki mogli w niej przeżyć, a nawet prosperować, gdy zaakceptowali, że rzeczy nie są tutaj dokładnie takie same jak w innych światach.

Layla ostrożnie dotknęła dwoma palcami prawej dłoni odtworzonego nadgarstka Sumi i z uśmiechem orzekła:

– Jest dostatecznie chłodna. Możemy ją teraz obudzić.

– Jak? – zapytał Christopher.

– Och. – Layla spojrzała na niego szeroko otwartymi, zaskoczonymi oczami. – Myślałam, że wiesz.

– Ja wiem – odezwała się Rini.

Wszyscy się odsunęli, żeby ją przepuścić, a ona podeszła do stołu, stanęła nad matką i spojrzała na nią jedynym pozostałym okiem. Przytknęła grzbiet dłoni do jej policzka. Sumi się nie poruszyła.

– W końcu odważyłam się na przygodę, do czego zawsze mnie namawiałaś, mamó – cicho zaczęła mówić Rini. – Poszłam zobaczyć Czarnoksiężnika Lukru. Musiałam oddać mu dwa sezony mojego udziału w zbiorach, ale dostałam od niego koraliki podróżne, żebym mogła sprowadzić cię tu z powrotem. Przeniosłam się do świata, w którym się urodziłaś. Oddychałam powietrzem...

I mówiła dalej w ten sposób, opisując wszystko, co się wydarzyło, odkąd spadła z nieba, jakby świat nie znał większych przygód. Opowiedziała o tym, jak sprzeczała się z Królową Żółwi i droczyła z Panem Umarłych, jak była świadkiem największej klęski Królowej Ciast, kiedy syrena i książę goblinów w końcu ją pokonali. Było w jej relacji dużo lordów, dam, wielkich, szlacheckich misji i magicznych rzeczy.

Wyprawy są jak psy, pomyślała Cora. Z daleka dużo bardziej atrakcyjne, niewarzące w środku nocy, niebrudzące w całym domu. Przeżyła ostatnio straszne, męczące i niebezpieczne chwile i nie dostrzegła w nich żadnej magii. Za dobrze ją znała. Ale Rini opisywała wszystko, jakby zasypiającemu dziecku szeptała do ucha bajki, i to było piękne. To było naprawdę piękne.

– ...dlatego musisz się teraz obudzić, mamó, i pójść ze swoimi przyjaciółmi, a potem tu wrócić i wyjść za tatę, żebym ja mogła się urodzić. –

Rini nachyliła się tak, że jej głowa spoczęła na piersi Sumi. Zamknęła oko. – Chcę, żebyś mnie poznała. Zawsze mówiłaś, że jestem twoim największym

szym osiągnięciem, a ja chcę, żebyś mnie poznała i zobaczyła, że to prawda. Więc obudź się teraz, dobrze? Obudź się i odejdz, żebyś mogła wrócić do domu.

– Spójrzcie – wyszeptał Kade.

Ręce Sumi, które w jej wcześniejszym życiu nigdy nie były nieruchome, teraz drgnęły. Sumi uniosła je ze stołu i zaczęła głaskać włosy córki, z zamkniętymi oczami i spokojną twarzą.

Rini zaczęła szlochać. Kiedy uniosła głowę i spojrzała na matkę, jej oczy były wielkie, promienne, koloru w pełni dojrzałych cukierków kukurydzianych. Cora zasłoniła dłonią usta, żeby stłumić westchnienie. Christopher uśmiechnął się szeroko i nic nie powiedział.

– Mamo?

Sumi otworzyła oczy i usiadła, a Rini cofnęła się chwiejnie od stołu. Sumi popatrzyła najpierw na nią, a potem na swoje nagie odtworzone ciało.

– Byłam martwa sekundę temu, a teraz jestem naga – stwierdziła. – Powinnam się martwić?

Kade wydał triumfalny okrzyk, Christopher się roześmiał, Rini zaszlochała, wszystko było inne i ostatecznie wszystko było takie samo.

Część V

Co wydarzyło się później

Pora ruszać

Rini mocno ścisnęła dłonie matki, aż w końcu Sumi je zabrała i zrobiła krok do tyłu.

– Nie, nie i jeszcze raz nie, dziewczyno, która oświadczysz, że jesteś moją córką, w pewien pogodny dzień, kiedy wrócę do domu zamiast pójść dokądkolwiek i kiedykolwiek: nie uszkodź towaru. – Sumi potrząsnęła rękami, jakby chciała otrzepać się z dotyku Rini, schowała je za plecami i przeniosła wzrok na Laylę. – Na pewno wiesz, dokąd prowadzą te drzwi, które upiekłaś?

– Powiedziałam piecowi, czego chcę – odparła Layla.

Drzwi były z piernika i landrynek, udekorowane lukrowymi detalami, które przypominały złoty filigran, i posypane cienką warstewką jadalnego brokatu. Wyglądały, jakby prowadziły do innego świata. Nic innego nie miałyby sensu.

– Jesteś Piekarką. – Sumi pokręciła głową. – Zawsze uważałam cię za mit.

– Przyszłam po tobie i będę, kiedy uratujesz nasz świat. – Layla uśmiechnęła się trochę nieśmiało. Spojrzała na Kade’a. – Pamiętaj, co mówiłam. Nie szukajcie mnie. Muszę znaleźć swoje drzwi, a to oznacza, że wszystko musi potoczyć się tak, jak pamiętam. Zostawcie mnie w spokoju.

– Obiecuję – przyrzekł Kade.

– Jeśli kiedyś znajdziesz się znów na Brooklynie, zadzwoń do nas – dodał Christopher. – Przyjmujemy uczniów przez cały rok i miło byłoby wiedzieć, że trafisz tam, gdzie są znajome twarze.

– Zapamiętam. – Layla machnęła ręką w stronę drzwi, a one otworzyły się powoli. Za nimi była tylko przezroczysta różowość. – A teraz wynoście się stąd, żeby linia czasu przestała zawiązywać się w supły.

– Zaczekaj! – krzyknęła Rini, podbiegła do Sumi i chwyciła ją w objęcia. – Kocham cię, mamo. – Gdy ją puściła, wytarła oczy odzyskanymi

rękami.

Sumi zrobiła lekko zdezorientowaną minę.

– Ja cię nie kocham – powiedziała. – Ale myślę, że pokocham. Zobaczymy się za parę lat, dropsiku.

Następnie się odwróciła i ruszyła do drzwi, a koledzy i koleżanki ze szkoły podążyli w jej ślady.

Ostatnią rzeczą, jaką Layla i Rini usłyszały, zanim drzwi się za nimi zamknęły, było pytanie:

– Dlaczego Nancy nie przyszła?

Gdy nieoczekiwani przybysze zniknęli, drzwi pokruszyły się kawałek po kawałku i dołączyły do śmieci zaścielających ziemię. Layla spojrzała na Rini i się uśmiechnęła.

– No więc? – zapytała. – Na co czekasz? Masz dzień drogi do domu, a założę się, że rodzice chcą cię zobaczyć.

Dźwięk, który wydała Rini, był w połowie śmiechem, a w połowie szloch. Chwilę później dziewczyna zostawiła złomowisko i Piekarkę, która pragnęła jedynie piec ciasta, i popędziła w stronę jasnych wzgórz Krainy Słodocy.

Czworo uczniów odjechało i czworo uczniów wróciło, nawet jeśli nie ci sami. Z otworu w kształcie drzwi zawieszonych w powietrzu wyskoczyli na suchy, zbrązowiały trawnik.

Eleanor stała na frontowym ganku i uśmiechała się tęsknie... ale na jej twarzy pojawiło się zdumienie i zachwyt, kiedy zobaczyła Sumi.

– Sumi! – wykrzyknęła i ruszyła w dół po schodach krokiem zaskakująco żwawym jak na kobietę o tak kruchym wyglądzie. – Moja kochana dziewczynko, wróciłaś do domu!

– Eleanor-Ely! – zawołała Sumi i rzuciła się w ramiona nauczycielki. Uścisnęła ją mocno.

Kade i Cora wymienili spojrzenia. Bez słów uznali, że przyjdzie pora, niebawem, by opowiedzieć Eleanor o wszystkim, co się wydarzyło: o zostawieniu Nancy, o Layli, która pewnego dnia mogła zjawić się w szkole, o sposobach, w jaki Nonsens można uzupełnić Logiką. Przyjdzie pora, żeby Kade odnalazł rodzinę Layli i miał okazję zobaczyć kogoś – z daleka – kto

wkrótce zostanie wybrany przez drzwi. Przyjdzie czas na wiele, wiele rzeczy. Ale na razie...

Na razie jedyną rzeczą, która się liczyła, była stara kobieta i młoda dziewczyna, obejmujące się na trawniku pod jasnym, bezchmurnym, jesiennym niebem.

Wszystko inne mogło zaczekać.

Utopiona Dziewczyna

Cóż, może nie wszystko.

Nadya siedziała na brzegu Rzeki Zapomnianych Dusz, z jedną nogą podciągniętą do piersi i brodą opartą na kolanie. Żółwie wylegiwały się wokół niej, przyciskając skorupy do jej biodra i kostki. Podążały za nią wszędzie – żółwiowy orszak oddanych akolitów dotrzymujących jej towarzystwa w tym najbardziej nieprzyjaznym z miejsc.

Miło było znowu przebywać wśród żółwi. Te ze szkolnego stawu (tamten czas wydawał się jak sen w porównaniu z każdym niekończącym się, leniwym dniem tutaj, odmierzanym przez plusk wody o brzegi rzeki i dźwięki muzyki dobiegające z Dworu) nigdy nie chciały spędzać z nią czasu. W świecie jej narodzin było niewiele magii: flet Christophera, bezruch Nancy, choć Nadya musiała przyznać, że nie dało się go porównać z tym, co jej koleżanka potrafiła tutaj, w swoim naturalnym środowisku. Tam prawa natury nie pozwalały na więcej.

Lecz tutejsze żółwie... to były prawdziwe magiczne istoty. Nie rozmawiały z nią w przeciwieństwie do tych z Belyyreki, a największy z nich miał wielkość zaledwie talerza, tak że nie mogłaby na nim jeździć jak na swoim ukochanym Burianie, który był jej rumakiem i najdroższym towarzyszem w Zatopionym Świecie. Na szczęście te tutaj chętnie pozwalały, żeby łaskotała je w skorupy i głaskała długie, szorstkie szyje. Tolerowały ją wśród siebie, wiecznie mokrą i wiecznie szlochającą, a ona je kochała i ich nienawidziła, bo wciąż jej przypominały, że to, co ona tutaj ma, jest niewystarczające. Nic z tego nie było wystarczające.

– Nienawidzę wszystkiego – powiedziała Nadya, chwyciła kamień z ziemi i cisnęła go w wodę.

Odbił się trzy, cztery, pięć razy, nim zatonął, dołączając do innych, które już opadły na dno. Raptem zamarła.

Chwyciła kamień prawą ręką.

Nadya urodziła się bez części prawej ręki poniżej łokcia; tę wadę rozwojową spowodował jakiś czynnik, na który jej biologiczna matka była narażona w Matce Rosji. Nadya miała trzy matki: tę, która ją urodziła, ojczyznę, która ją okaleczyła, i kobietę, która ją adoptowała, amerykańską turystkę podróżującą po świecie, pełną dobrych chęci, gotową zająć się dzieckiem specjalnej troski, które najbardziej lubiło bawić się kurkami i zalewać łazienkę sierocińca.

Trzecia matka była pierwszą, która zapewniła jej protezę, choć ta szczypała, wbijała się w skórę i w żaden sposób nie poprawiła jakości życia. W rzeczach, których Nadya nie była w stanie robić jedną ręką, sztuczna i tak nie mogła jej pomóc, bo kontrola motoryczna nie wystarczała do pomalowania paznokci albo nawleczenia igły. Może gdyby była młodsza albo gdyby bardziej jej zależało. Lecz traktowanie protezy jako wielkiego daru, którego nie można odrzucić, jedynie uświadomiło jej, że w oczach adopcyjnej rodziny już zawsze będzie biedną, żalną sierotą wymagającą opieki.

Nadya nie chciała takiej pomocy. Pragnęła jedynie być kochana. Tak więc kiedy zobaczyła, że rośliny wodne przy żółtym stawie wyglądają jak drzwi, otwarte i zapraszające, nie uważała, gdzie stawia stopy na błotnistym brzegu. Za bardzo zbliżyła się do portalu i nagle znalazła się gdzieś, gdzie nie chciano jej pomagać. Gdzie to od niej oczekiwano pomocy i obiecano ją kochać, jeśli będzie to robić.

Spędziła życie w Belyyrece, a tam zawsze nazywano ją Utopioną Dziewczyną, nawet kiedy nie przebywała w wodzie, lecz ona nigdy nie zastanawiała się nad dosłownością tego określenia, dopóki nie wpadła do rzeki i nie poczuła, jak czyjeś ręce chwytają ją za ramiona i wyciągają spod powierzchni, z prawdziwego świata z powrotem do fałszywego, w którym matki ją zostawiły, jedna po drugiej; w którym nic nie trwało wiecznie.

W Belyyrece sama wybrała sobie protezę z rzecznej wody i mogła ją ozdabiać, jak chciała, wodorostami, małymi rybkami, a kiedyś kijanką, która w schronieniu jej dłoni wyrosła na ropuchę i patrzyła na nią z dziecięcą miłością, zanim z niej wyskoczyła, żeby poszukać wolności. W Belyyrece nikt nie nazywał jej kaleką z powodu braku kawałka ciała. Uważano ten brak za okazję, żeby sama uformowała swoją kończynę, narzędzie, broń, przedłużenie siebie.

Ta ręka się rozpuściła, kiedy pomocny sąsiad, który zobaczył ją dryfującą w stawie twarzą w dół, wyciągnął ją w „bezpieczne” miejsce. Nadya

myślała, że straciła ją na zawsze.

Powoli uniosła prawą dłoń i na nią spojrzała, na przezroczyste ciało, na pofałdowaną skórę. W środku nie było nic. Nadya opuściła lewą rękę i położyła ją na powierzchni wody. Wpełzł na nią żółw wielkości ćwierćdolarówki. Ona przeniosła go na swoją wodną dłoń i zanurzyła ją w stawie. Stworzenie zatoczyło krąg i wystawiło głowę, żeby zaczerpnąć powietrza. Jego nozdrza przerwały „skórę” między jej kostkami.

Nadya wstała. Światło odbite od wody ułożyło się w kształt drzwi albo grobu o długości dwa i pół i szerokości metra, a ona wiedziała, że gdyby tam zanurkowała, nie zjawiłby się nikt, żeby ją uratować. Czy naprawdę była topielicą przez cały pobyt w Belyyrece? Czy wszystko było kłamstwem?

Ale szkoła była prawdziwa. Szkoła była prawdziwa, Christopher potrafił wskrzeszać umarłych, a Cora miała włosy jak rafa koralowa, barwne i niemożliwe. I jeśli magia istniała, jeśli jej wodna ręka była prawdziwa, gdyby ona zaczęła tonąć naprawdę, ktoś starałby się ją wyciągnąć. Jedyne, co mogła zrobić, to wierzyć. Jedyne, co musiała zrobić, to być pewna.

– Wybieramy się w podróż, przyjacielu – powiedziała do żółwia siedzącego we wnętrzu jej dłoni. – Och, nie mogę się doczekać, kiedy poznasz Buriana.

Nadya cofnęła się, żeby wziąć rozbieg, po czym wystrzeliła w powietrze. Stopy skierowane w dół gładko jak noże przecięły powierzchnię wody, a ona wylądowała dokładnie pośrodku wyobrażonych drzwi, z zamkniętymi oczami i rękami uniesionymi nad głowę. Wśliznęła się do rzeki bez plusku i rozbryzgu. I zniknęła, nie zostawiając po sobie niczego oprócz żółwi, które kochała.

Na świecie jest dobro, jeśli wiemy, jak go szukać. Jeśli nie zaczniemy odmawiać mu wejścia. I drzwi.

W nieobecny m śnie

Talis, która zna drogę na Targ Goblinów

Chodźcie, kupujcie:
Winne grona prostu z krzewu,
Granaty piękne i dojrzałe,
Daktyle i ostre lubaszki,
Rzadkie gruszki i renklody,
Mirabelki i borówki,
Smakujcie, próbujcie:
Agrest i porzeczki,
Figi, które wypełnią usta,
Cytryny z południa,
Słodkie dla języka, zdrowe dla oka;
Chodźcie, kupujcie.

Christina Rossetti, *Targ Goblinów*

Część I

Co zbierzemy

1

Całkiem zwyczajny ogród

1964

W pewnym domu przy pewnej ulicy w miasteczku pod każdym względem na tyle zwyczajnym, że oderwało się od własnych korzeni i stało się godne uwagi, żyła sobie Katherine Victoria Lundy. Miała o sześć lat starszego brata, trochę dzikiego na chłopięcy sposób, który pozwala im obejrzyć się przez ramię i zobaczyć czający się tam cień wojny o rozdziawionej, głodnej paszczy. Miała o sześć lat młodszą siostrę, trochę nieśmiałą, jak to dzieci, które jeszcze się nie zdecydowały, czy mają być potulne, czy odważne, dobre czy okrutne. Miała dwoje rodziców, którzy ją kochali, i małego rudego kota, który mruczał, kiedy go głaskała. Wszystko było śliczne i wszystko było okropne.

Podobnie jak miasteczko, w którym mieszkała, w którym się urodziła i w którym, jak z wolna zaczynała przeczuwać na swój abstrakcyjny sposób, kiedyś umrze, Katherine – nigdy Kate, nigdy Kitty, zawsze tylko Katherine, rozsądna Katherine, Katherine o zmiennych nastrojach, niezawodna jak zegar słoneczny okrawający z czasu letnie popołudnia – była dostatecznie zwyczajna, żeby stać się godną uwagi i nawet tego nie spostrzec. Gdyby ją przycisnąć w tej kwestii, mogłaby zaprotestować, że przecież nie ma w niej nic wyjątkowego, a potem zasugerować, że momentem zwrotnym jej życia były szóste urodziny.

Musimy więc cofnąć się trochę poza początek, żeby się tego dowiedzieć, żeby to zaobserwować. Ostatecznie czyż nie po to tutaj jesteśmy? A zatem:

Mała Katherine – brzuch matki okrągły jak halloweenowa dynia, napęczniały od dojrzewającej w nim jej siostry – siedzi sztywno przy piknikowym stole, który rodzice ustawili na podwórzu. Jest tort, nieco przekrzywiony, oblany cytrynowym lukrem, który pachnie jednocześnie słodko i kwaśno, niemożliwie kuszący i błyszczący od kryształków cukru. Są pre-

zenty, mały stosik, opakowane w kolorowy papier odzyskany z innych prezentów urodzinowych, z innych świątecznych podarków. Jest jej brat, dwunastoletni, łypiący na tort z głodem godnym pirata, gotowy splądrować jego głębie, kiedy tylko otrzyma pozwolenie. Jest tutaj tyle rzeczy: serpentyny, uśmiechnięci rodzice, daleki zapach ognisk płonących na polach. Jest tyle rzeczy, że łatwo byłoby przegapić to, co oczywiste, przegapić to, czego tu nie ma.

Nie ma innych dzieci. Jest Katherine i jej brat, który nie wiadomo skąd ma lukier na czubku nosa, i to wszyscy. Jakby po to, żeby przelać czarę goryczy, zza płotu sąsiedniego podwórka niesie się śmiech. Zebrało się tam pół tuzina dzieci ze szkoły Katherine, żeby się bawić. Gdyby nie chrapka na tort, jej brat już wybiegłby przez furtkę, żeby dołączyć do zabawy, dużo lepszej, sądząc po dobiegających odgłosach.

Jej ojciec, który jest dyrektorem miejscowej szkoły podstawowej, łypie na ogrodzenie, ale nic nie mówi. Uważa, że nie ma żadnej złośliwości w zbiegu tych dwóch wydarzeń, ponieważ Katherine, ogarnięta nieśmiałością, która czasem dopada dzieci w tym wieku, nie rozdała na swą imprezę zaproszeń. Widział nawet kilka przedartych na pół i wrzuconych do kuchennego kosza na śmieci, gdzie kaskada skorupki jaj i fusów od kawy nie zdołała ich przykryć. Uważa, że wcale nie chodzi o niego ani o sposób, w jaki zaprowadza dyscyplinę i kieruje uczniami ciężką, pewną ręką. Przecież starszy brat Katherine też urządził przyjęcia urodzinowe i licznie przychodzili na nie jego rówieśnicy.

(Fakt, że został dyrektorem dwa lata temu, a jego syn od tamtej pory nie poprosił o żadne przyjęcie, tylko o towarzystwo kilku ulubionych kumpi i popołudnie w kinie albo w wesołym miasteczku, jakoś umknął jego uwadze).

Matka, która jest tak bardzo w ciąży, że jej świat jednocześnie się zawęził i poszerzył jak tunel w gabinecie śmiechu, przez który musi przejść, zanim zostanie nagrodzona krzykiem dziecka i słodką prostotą opieki nad niemowlęciem, niewinnym bobasem, który na razie nie będzie uczestniczyć w trudnych chwilach i troskach starszego rodzeństwa, ma lepsze pojęcie o tym, co praca jej męża oznacza dla przyjaźni córki. Pamięta roześmiane dzieci o lepkich paluszkach, włóczące się całym stadkiem, Katherine nigdy na czele ani na końcu, tylko w wygodnym, nierzucającym się w oczy środku. Pamięta też, kiedy przestały się pojawiać.

(Pamięta, ale ma dom na głowie i dziecko do dźwigania, a wydzwanianie do innych matek i wyszukiwanie bocznych ścieżek kierujących do towarzystwa nigdy nie było na tyle ważne, żeby skłonić ją do działania. Dzień ma określoną liczbę godzin).

Jest rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty drugi. Katherine ma sześć lat, zostały jeszcze dwa do pojawienia się drzwi. Wybór wisi nad nią jak dym w jesiennym powietrzu. Ona może płakać za przyjaciółmi, których nie ma, żałować zabaw, w których nie bierze udziału, albo może je sobie darować. Może być dziewczynką, która nie potrzebuje nikogo, żeby być szczęśliwą; dziewczynką, która uśmiecha się do dorosłych i zadowala własnym towarzystwem. Może być szczęśliwa.

– Zdmuchnij świeczki, Katherine – ponagla ją ojciec.

Ona to robi i jest szczęśliwa. Jest szczęśliwa.

No, to nie było aż takie trudne i miało znaczenie. Drobne rzeczy często mają znaczenie. Jeden kamyk na drodze może pozostać niezauważony tak długo, póki nie wbije się w końską podkowę, a wtedy, ach, jakie może spowodować szkody. To właśnie był taki kamyk; wtedy rozpoczął powolny, kamienisty proces zmiany.

Katherine wyszła ze swojego urodzinowego przyjęcia z uśmiechem na twarzy i zapachem cytrynowego lukru na palcach, duchem cukru, który kiedyś tak lubiła. Teraz zrozumiała, że inne dzieci nie przyjdą; że zawsze po drugiej stronie płotu będą głosy niewpuszczające jej do środka, niepozwalające jej wejść. Zrozumiała, że z jakiegoś powodu została wyrzucona z tamtego grona i nie zostanie ponownie przyjęta, póki coś fundamentalnego nie postanowi zmienić się w świecie, poszerzyć, pozwolić jej narodzić się na nowo jako ktoś, kogo inni polubią.

Ale ona nie chciała być kimś, kogo oni mogliby polubić. Nie chciała być Kate ani Kitty, ani nawet Kat – ładne, użyteczne imiona dla ładnych, użytecznych ludzi. A ona już w wieku sześciu lat wiedziała, że nie zamierza być taka jak ci ludzie. Była Katherine Lundy. Rodzina kochała ją jako Katherine Lundy. Skoro więc dzieci z sąsiedniego podwórka albo z placu zabaw nie potrafiły uznać jej za wartą swej miłości, ona nie zamierzała się dla nich zmieniać.

Jeśli taka postawa wydaje się niezwykle dojrzała jak na sześciolatnie dziecko, to tak właśnie jest i zarazem nie jest. Dzieci są zdolne do rozumienia skomplikowanych pojęć dużo wcześniej, niż sądzi większość ludzi owijających je kojącą warstwą nonsensu i nielogicznej logiki. Być dzieckiem to

być gościem z innego świata robiącym bałagan w dziwnych zasadach obowiązujących w tej rzeczywistości, gdzie góra to zawsze góra, nawet jeśli miałoby więcej sensu, gdyby to był dół, tył albo wręcz bok. Ale dzieci potrafią dostrzec funkcjonalność smutku albo doskonale zrozumieć złożoność rodzicielskiej miłości. Znajdują drogę. Dedukują. Katherine dedukowała, kiedy inne dzieci nazywały ją nadętą albo podłą, bo nie chciała skrócić imienia, kiedy jej mówiły, że nie może się z nimi bawić, bo jej tata jest szefem wszystkich nauczycieli, a ona któregoś dnia zostanie kapusiem, tylko poczekajcie, a zobaczycie, i one nie zamierzają zmieniać zdania na jej temat.

Katherine była również, pod wieloma względami, dzieckiem wyjątkowym. Wszystkie dzieci takie są: nie ma dwóch ulepionych z takiej samej gliny. Po prostu u niektórych wyjątkowe cechy przybiorą formę talentu do znajdowania najbliższej kałuży bez żadnych wskazówek, chociaż od miesiąca albo dwóch nie padał deszcz, albo umiejętności krzyku w takich rejestrach, że wszystkie nietoperze z okolicy tracą orientację i wpadają przez kuchenne okna. Wyjątkowość Katherine przybrała postać spokojnej pewności siebie, przekonania, że póki przestrzega obowiązujących zasad, póty bez trudu znajdzie drogę w każdym labiryncie i z każdej burzy wyjdzie bez szwanku.

Nie była typem szukającym przygód, nie, ale dobrze знаła formy, jakie może przybrać ta cecha. Krótco po urodzinach, na których zdmuchnęła świeczki i dokonała swych wyborów, odkryła czystą radość czytania dla przyjemności i od tej pory była rzadko – jeśli w ogóle – widywana bez książki w ręce. Nawet w śnie często znajdowano ją ściskającą jakiś tom smukłą dłonią, palcami ciasno obejmującą jego grzbiet, jakby bała się obudzić w świecie, w którym wszystkie księgi zostaną usunięte i zapomniane, a ona będzie musiała się zadowolić tą ostatnią i jedyłą.

Zwyczajem czytających dzieci zabierała książki na drzewa i nad szemrzące strumienie, chodziła po śliskich brzegach z gracją, która cechuje tylko bibliofilów chroniących swoje skarby. Dzięki słowom na ich kartkach podążała za Alicją w głąb króliczych nor, z Dorotką w tornada, leciała z Piotrusiem do Nibylandii, odbyła cudowną podróż na Grzybową Planetę. Jej rodzina była w miarę zamożna, więc nie brakowało jej książek, czy to z księgarni, czy z biblioteki, której zbiór wydawał się nieograniczony.

Minęły dwa lata, po jednej stronie naraz. Gdyby Katherine była czyjąś inną córką, mogłaby stać się obiektem okrutnych żartów ze strony rówieśni-

ków, nazywano by ją lizusem albo nowo ukutym i nadal okrutnym określe-
niem „nerd”. Ale jej ojciec był dyrektorem, a inne dzieci doskonale rozu-
miały, że miejsce niedbałego okrucieństwa powinno się znajdować poza
polem jego widzenia: najgorsze przezwisko, jakie usłyszała, brzmiało:
„pupilka”, które ona odbierała nie jako zniewagę, tylko jako stwierdzenie
faktu. Była Katherine, nauczycielską pupilką, i zamierzała zostać bibliote-
karką, kiedy dorośnie, bo nie mogła sobie wyobrazić, że istnieje zajęcie cał-
kowicie poświęcone książkom, którego ktoś nie chce.

Nikt nigdy nie pytał jej, czy jest szczęśliwa. Było oczywiste, że jest, że
wytyczyła własny kurs i dokonała własnych wyborów, jeszcze zanim zrozu-
miała, jakich konkretnie. A jeśli matka czasami żałowała, że Katherine nie
ma więcej przyjaciół – albo że bardziej interesują ją książki niż niemowlęta,
bo przydałaby się jakaś pomoc w domu – nigdy tego nie powiedziała.
Kochała córkę taką, jaka była, z jej książkami, dziwactwami i sztywnym
trzymaniem się zasad. Katherine nie była samotna. I tylko to się liczyło.

(Ojciec, trzeba podkreślić, nie żałował niczego w związku z córką, bo
nie widział nic dziwnego w sposobie, w jaki siebie kształtowała wewnątrz
miękkich murów swojego wychowania. Jej brat grał w baseball i wymieniał
się kartami kolekcjonerskimi, młodsza siostra paplała, chodziła i robiła
wszystkie rzeczy, których oczekuje się po szkrabie zmieniającym się
w małe dziecko. Katherine była cicha, posłuszna, pilna i skromna. Nie
zadawała się z niewłaściwymi ludźmi, nie brudziła sukienek ani nie zdzie-
rała butów. To, że córka nie zadawała się z nikim, najwyraźniej mu umy-
kało razem z innymi rzeczami, o których nie chciał myśleć. A była ich
zaskakująca liczba. Jak wszyscy dorośli, on też miał swoje tajemnice).

W wieku ośmiu lat Katherine Lundy już miała jasną wizję swojego
życia. Gdyby musiała, mogłaby narysować je na mapie: długie autostrady
edukacji, ciche doliny stabilizacji. Zakładała, na swój praktyczny sposób, że
pewnego dnia pojawi się mąż, wezwany z eteru jako konieczny kamień
milowy jej egzystencji, ona będzie pracować w bibliotece, on w innym rów-
nie rozsądnym miejscu, i będą mieli dzieci, bo właśnie tak był skonstru-
owany świat. Dzieci stają się dorosłymi i płodzą dzieci, teraz i na wieki
wieków, amen. Nie śpieszyło się jej, żeby dotrzeć na te przerażające szczyty
dorosłości. Przypuszczała, że wydarzą się one mniej więcej w ósmej klasie,
która wydawała się niemożliwie odległa, na terenie gimnazjum, gdzie jej
ojciec nie miał już żadnej władzy.

Nie była pewna, co właściwie się robi z mężem, ale wiedziała, że jej ojciec nie będzie chciał przy tym być obecny, bo czasami robił przy stole brzydkie uwagi na temat dziewczyn, które bawiły się z chłopcami, a po nich zawsze pojawiał się uśmiech i następował komentarz: „Ale ty nigdy nie będziesz tego robić, prawda, Katherine?”.

Ona za każdym razem zapewniała go, że nie, choć logika wskazywała, że pewnego dnia będzie to robić, ponieważ chłopcy stawali się mężami, a normalne kobiety miały mężów. A przecież ojciec chciał, żeby córka była normalną kobietą, kiedy dorośnie. Rodzice okłamywali dzieci, kiedy uważali, że to konieczne, albo kiedy sądzili, że tak będzie dla nich lepiej. Było więc logiczne, że dzieci powinny okłamywać rodziców w taki sam sposób.

Taka była Katherine Victoria Lundy: ładna, cierpliwa i praktyczna. Nie samotna, bo nigdy nawet nie rozważała czegoś innego niż bycie samą. Nie towarzyska, nie ponura, ale gdzieś pośrodku; chętnie się odzywała, jeśli ją zagadnięto, równie chętnie milczała i trzymała swoje myśli w ukryciu. Była zwyczajna. Była wyjątkowa.

Z takich powszechnych sprzeczności powstaje broń. Katherine Lundy wkroczyła w świat. To wystarczyło, żeby wprawić wszystko w ruch.

Kiedy drzwi nie są drzwiami?

Szkolny dzwonek zadźwięczał głośno i dumnie. Drzwi otworzyły się z trzaskiem w euforycznym unisono, dzieci wypadły z klas, ściskając plecaki i świadectwa szkolne, i popędziły do wyjścia, jakby się bały, że wakacje zostaną odwołane, jeśli będą się guzdrać. Nauczyciele, którzy normalnie żądaliby, żeby uczniowie zwolnili i nie biegali po korytarzach, teraz spoglądali na nich pobłażliwie. Być może pamiętali własne szkolne czasy, złote popołudnia, kiedy lato ciągnęło się przed nimi jak cała wieczność możliwości. Ich postawa mogła częściowo wynikać również ze zmęczenia. Za sobą mieli długi rok. Tak samo jak dzieci nie mogli się doczekać wakacji.

Lecz w niektórych klasach nauczyciele przyglądali się uczniom, którzy nie popędzili do drzwi. Na tych, którzy nie mogli tego zrobić z powodu szyn na nogach albo lasek w rękach, którzy potrzebowali o wiele więcej czasu, żeby odbyć taką samą podróż; którzy pakowali rzeczy wyjątkowo powoli, dając swoim osobistym demonom czas, żeby wyszły ze szkolnego budynku na mgliste światło lata. W drugiej klasie panna Hansard patrzyła na uczennicę, która nadal siedziała w ławce i spokojnie czytała.

– Katherine – powiedziała nauczycielka.

Dziewczynka ją zignorowała. Nie złośliwie. Katherine często nie słyszała swojego imienia za pierwszym razem. Wolą trzymać nos w książce i kontynuować przygodę, którą uznała za ciekawszą od otaczającego ją świata.

Panna Hansard odchrząknęła i powtórzyła głośniej:

– Katherine.

Nie chciała na nią krzyżeć. Bóg wiedział, że nikt nigdy nie chciał krzyżeć na tę dziewczynkę. Jeśli już, to była wdzięczna, że Katherine jest miłym, posłusznym mołem książkowym, a nie diabłem wcielonym jak jej starszy brat. Nauczyciele, którzy się dowiadywali, że Daniel Lundy został

przydzielony do ich klasy, często zaczęli rozważać wcześniejszą emeryturę.

Katherine uniosła głowę i zamrugła jak sowa.

– Tak, panno Hansard?

– Już po dzwonku. Możesz iść. – Gdy Katherine nie zerwała się z miejsca i nie pobiegła do drzwi, nauczycielka cierpliwie wyjaśniła: – Są letnie wakacje. Nauka w szkole się skończyła.

– Tak, panno Hansard – grzecznie powiedziała Katherine i znowu schyliła głowę nad książką.

Nauczycielka policzyła do dziesięciu i rzekła z lekką irytacją:

– Chciałabym zamknąć klasę i wrócić do domu, Katherine. To oznacza, że musisz wyjść. – Przez wszystkie lata pracy poznała wszelkiego rodzaju ospałych uczniów – leniwych, zagubionych, strachliwych – ale nigdy wcześniej nie zetknęła się z uczennicą, która po prostu odmawiała wyjścia po ostatnim dzwonku.

– Mój ojciec może zamknąć klasę, kiedy po mnie przyjdzie – powiedziała Katherine.

Panna Hansard się zawahała. Kusiło ją, żeby zaufać dziewczynce, a ponieważ nikt nigdy nie przyłapał Katherine na kłamstwie, byłoby zrozumiałe, gdyby jej uwierzyła. Mała nie kłamała; jej ojciec był dyrektorem i miał po nią przyjść. Proste. Niestety brakowało jednego elementu.

– Czy twój ojciec wie, że ma cię odebrać? – zapytała panna Hansard. – Bo byłoby uprzejmie z jego strony, gdyby wcześniej mnie o tym poinformował.

– Nie, panno Hansard – odpowiedziała z żalem Katherine i zgarbiła się nad książką.

Nauczycielka westchnęła.

– Więc po prostu założyłaś, że zobaczy światło i cię tutaj znajdzie, potem zamknie drzwi na klucz, a ja dostanę naganę za to, że zostawiłam swoją uczennicę bez opieki.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała.

– Proszę, Katherine. Pora do domu.

Dziewczynka w końcu uznała swoją porażkę i wstała niechętnie. Schowała książkę do plecaka i ruszyła w kierunku drzwi. Panna Hansard westchnęła, odprowadzając ją wzrokiem. Katherine naprawdę była doskonałą uczennicą. Trochę skrytą i za bardzo lubiącą szukać dziury w całym, ale mimo wszystko doskonałą.

– Katherine! – zawołała.
– Tak, panno Hansard?
– Uczenie ciebie było prawdziwą radością. Ten, kto dostanie tę szansę w przyszłym roku, będzie szczęściarzem.

Dziewczynka przez chwilę rozważała te słowa, przyglądając się im ze wszystkich stron. Potem się uśmiechnęła.

– Dziękuję, panno Hansard – powiedziała i wyszła, a klasa nagle zrobiła się pusta.

Panna Hansard, która uczyła już od prawie dwudziestu lat, oparła się o biurko i zaczęła się zastanawiać, kiedy emerytura zmieniła się z odległej niemożliwości w coś, za czym się szczerze tęskni. Oni byli młodsi z roku na rok. Właśnie tak. Stawali się młodsi i z każdym rokiem coraz trudniej było ich zrozumieć.

Inni uczniowie powirowali ku rozpoczynającemu się latu jak nasiona dmuchawca na wietrze. Katherine ze smutkiem obejrzała się na klasę i ruszyła dalej. Byłoby miło spędzić trochę więcej czasu w ławce i poczytać. Nikt nie wiedziałby, gdzie ją znaleźć. Kiedy tylko dotrze do domu, matka na pewno spróbuje przekazać jej Dianę „tylko na kilka minut, bądź dobrą dziewczynką i pomóż matce”, a to oznaczało pełnienie roli niańki przez resztę popołudnia. Niespecjalnie miała ochotę wychodzić na dwór i brać udział w zabawach niebezpiecznych dla małych dzieci, ale nie chciała również utknąć w domu i pilnować, żeby Diana nie jadła pinezek.

Daniel nigdy nie musiał zajmować się siostrą. Mógłby spędzać całe dnie na czytaniu w swoim pokoju, gdyby chciał, a rodzice biliby mu brawo i powtarzali, jakie to fantastyczne, że tak zależy mu na nauce. Jej właściwie nie zniechęcali, nie mówili, że nie powinna czytać, bo jest dziewczyną, albo że musi podszkolić się w pracach domowych, ale zawsze odnosiła niejasne wrażenie, że oczekują od niej czegoś innego, i nie wiedziała, co z tym zrobić. I wcale nie chciała się dowiedzieć. Podejrzewała, że wiązałoby się to ze zmianą tego, kim była, a ona lubiła to, kim jest.

Zastanawianie się na tym, co będzie, kiedy wróci do domu, wprowadziło ją w zły humor. Wyjęła książkę z plecaka i zaczęła czytać o kolejnej przygodzie Trixie Belden i jej przyjaciół. Wołała zagadki z książek. W prawdzi-

wym świecie roilo się od nudnych tajemnic, pytań bez odpowiedzi i zagubionych rzeczy, które nigdy się nie odnajdywały. W książkach to było niedopuszczalne. W książkach tajemnice zawsze były interesujące i ekscytujące, pełne wyzwania i niebezpieczeństw, na końcu ci dobrzy trafiali na właściwe ślady, a ci źli dostawali za swoje. A najlepsze, że nic nigdy nie ginęło na zawsze. Jeśli coś liczyło się dla autora dostatecznie mocno, żeby o tym napisał, zawsze pojawiał się z powrotem, zanim dotarło się do ostatniej strony. Zawsze wracało.

Katherine setki razy wlokła się za bratem do domu, kiedy jeszcze była w przedszkolu; swój własny szlak wytyczyła w pierwszej klasie, a teraz przemierzała go z wiernym oddaniem kogoś, kto zna drogę. Nie patrzyła, dokąd idzie, pozwalając, żeby nogi same ją niosły.

To interesujące ufać własnym nogom. Serce może tęsknić za przygodami, podczas gdy głowa rozsądnie myśli o domu, ale nogi to ich połączenie, ciągnące raz w jedną, raz w drugą stronę. Stopy Katherine były równie rozsądne jak jej reszta, wyszkolone do posłuszeństwa po chodzeniu dzień po dniu tymi samymi ścieżkami, wypełnianiu tych samych poleceń. Wiedziały, dokąd iść, i nie potrzebowały do tego jej oczu. Więc było aktem buntu wprost nie do pomyślenia, kiedy na rogu Pine i Sycamore jej stopy – działając z własnej woli – skreśliły w lewo zamiast w prawo.

Z początku Katherine, całkowicie pogrążona w lekturze i wierząca w niezawodność rutyny, nie zauważyła odstępstwa. Szła dalej, a znajome ulice zostawały coraz bardziej w tyle, zastąpione najpierw przez zaniedbaną okolicę graniczącą ze strumieniem, a potem przez stary szlak, który wił się przez pole jeżyn. Dopiero kiedy na książkę padł cień, uniemożliwiający czytanie, zatrzymała się i podniosła wzrok zaskoczona nieoczekiwanym brakiem światła.

Przed nią pośrodku ścieżki rosnęło drzewo.

Choć ta ścieżka nie była zwykłą częścią jej drogi powrotnej do domu – właściwie znajdowała się dość daleko od każdej trasy, którą powinna była pójść – przemierzała ją wcześniej, zbierając w lecie jeżyny albo korzystając z niej jako skrótu do miejscowej biblioteki. I nigdy, w czasie żadnego ze spacerów, nie zagrażało jej drzewo.

Katherine na nie popatrzyła. O ile potrafiła stwierdzić, ono nie odwzajemniło jej spojrzenia, bo nie miało oczu. To było dobre drzewo, z rodzaju tych, których gałęzie błagają, żeby na nie wejść, i z korą, którą powinny znaczyć dziesiątki inicjałów, pamiątek po letnich romansach zachowanych

dla potomności na ciele żywej istoty. Pień nie był prostym słupem, tylko raczej meandrował na całej długości, krzywą linią ciągnąc się od korzeni po koronę. Katherine nie mogłaby go objąć. Trzy dziewczynki jej wzrostu nie zdołałyby tego dokonać.

Konary, dostatecznie grube, żeby odcinać sporo światła słonecznego, pokrywał gęszcz liści we wszelkich odcieniach zieleni, od jasnego graniczącego z mydlaną bielą po kolor prawie czarny. Wydawało się, że żaden nie ma takiego samego kształtu jak sąsiednie. To był patchwork, niemożliwa rzecz. Katherine zrobiła krok do tyłu.

– Jakim drzewem jesteś? – zapytała, bo jako dziecko, które spędzało większość czasu na milej i łatwej samotności, nigdy całkiem nie utraciła nawyku mówienia do siebie, kiedy nie miała z kim porozmawiać.

Gdyby drzewo odpowiedziało słowami, byłaby to bardzo krótka rozmowa. Katherine, jako rozsądna dziewczynka, wrzasnęłaby, uciekła do domu i nigdy więcej nie pozwoliłaby, żeby nogi poprowadziły ją niezbadanym szlakiem na obrzeża tajemnicy. Dorosłaby powściągliwa i milcząca, znalazłaby męża, którego, jak kiedyś wierzyła, wyczaruje dla niej świat, i została bibliotekarką, którą zawsze chciała być. Jej dzieci mogłyby się okazać bardziej żądne przygód, bo czasami się wydaje, jakby ta cecha przeskakiwała o jedno pokolenie, nieprzewidywalna i dlatego niespełnana.

Tak, gdyby drzewo odpowiedziało słowami, w tym miejscu byśmy skończyli, a wszystkie rzeczy, które zamierzaliśmy prześledzić, nigdy by się nie wydarzyły. Może w pewnym sensie byłby to lepszy rezultat. Kilka serc nie zostałoby złamanych, kilka marzeń nie ległoby w gruzach. Ale drzewo, któremu już wcześniej zadawano takie pytanie, nie wydało z siebie głosu. Zamiast tego pień się skręcił, tak jak ręcznik powoli odsączany z wody przez niewidzialne ręce, i ukazały się drzwi, podczas gdy Katherine patrzyła nań wytrzeszczonymi, niedowierzającymi oczami.

Książka nagle wypadła jej z ręki i wylądowała w kurzu. Ten szczegół okaże się później ważny.

Drzwi w drzewie nie były duże ani ozdobne; były wielkości ledwo wystarczającej do tego, żeby przeszło przez nie dziecko jej wzrostu, gdyby postanowiło to zrobić. Zawiasy, framuga, nawet gałka były z drewna odartego z kory i lśniącego bielą jak kość w letnim słońcu, które przesączało się przez gałęzie. Pośrodku, dokładnie na linii jej wzroku, ktoś wyrzył kwadrat z gałęzi i pnączy: jeżyn na dole, winogron po bokach i granatu na górze. Wszystkie ugiwały się od ciężkich, drewnianych owoców, topornie i zara-

zem tak realistycznie wykonanych, że dziewczynkę ogarnął niewytłumaczalny głód, a do jej ust napłynęła ślinka.

W kwadracie, otoczone rzeźbionymi owocami, widniały dwa słowa: BĄDŹ PEWNA.

– Bądź pewna czego? – zapytała Katherine, która uciekłaby, gdyby drzewo przemówiło, ale która nadal była dzieckiem, w dodatku dzieckiem wyjątkowym i obdarzonym wyobraźnią.

Ruch drzewa nie wystraszył jej tak, jak przeraziłby dorosłego. Świat był pełen rzeczy, których nie rozumiała. Poza tym wiedziała, że rośliny mogą się przemieszczać: dowodziły tego cukinie w ogrodzie matki. Więc kto śmiałyby twierdzić, że drzewo nie może się ruszyć, jeśli ma ku temu odpowiednią motywację?

To, że ona mogła być właściwą motywacją, wydawało się pochlebiające, choć niezrozumiałe. Katherine nigdy nie uważała siebie za wartą tego rodzaju uwagi.

Drzewo więc się nie poruszyło. Drzwi się nie otworzyły. Pozostały dokładnie takie, jakie były, kuszące i dziwne z tymi dwoma słowami: „bądź pewna”. Bądź pewna czego? Była pewna swojej skóry, swojego ja, imienia, ale nie sądziła, żeby drzewo właśnie to miało na myśli, wieszając przed jej oczami pytanie bez odpowiedzi, które mieściło w sobie prawie wszystko.

Katherine zrobiła krok do przodu, odruchowo wyciągając jedną rękę, aż czubki palców niemal dotknęły pnia. Wyrzeźbione owoce lśniły jak pokryte cienką warstwą rosy. Katherine chciała ich dotknąć bardziej niż cegokolwiek innego na świecie... i to zrobiła. Musnęła dłonią dekoracyjny motyw i poczuła ciepło pozostawione przez letnie słońce. Połysk nie zniknął, ale samo drewno okazało się suche jak kość.

I znowu, gdyby Katherine była starsza, mogłaby to uznać za ostrzeżenie. Drewno zwykle nie błyszczy. Niewiele rzeczy połyskuje, chyba że próbują do siebie wabić ofiary. Iskrzenie i blask są zarezerwowane dla drapieżców, którzy mogą ryzykować ściągnięcie na siebie uwagi. Wyjątki – które istnieją, bo od wszystkiego musi być wyjątek – prawie zawsze są trujące i zabijają to, co przywabiają. Tak więc nawet one nie podważają zasady, która stwierdza, że lśniące rzeczy prawie zawsze chcą być dostrzeżone, co oznacza, że mają w tym swój ukryty cel.

Gałka się obróciła, z pewnością sama z siebie. Nie do końca, nie dość, żeby drzwi się otworzyły, ale... mimo wszystko się obróciła i ten drobny

ruch odciągnął wzrok Katherine od ornamentu. Skoro mogła się przekręcić, drzwi nie były zaryglowane, uświadomiła sobie.

Można więc było je otworzyć.

Dopiero kiedy ta myśl uformowała się w jej głowie, stała się najważniejszą rzeczą, jaką Katherine kiedykolwiek rozważała. Drzwi, tajemnicze wrota ze swoim tajemniczym nakazem, można było otworzyć. Ona mogła je otworzyć i zobaczyć, co jest po drugiej stronie. A gdyby spotkała osobę, która kazała jej być pewną, powiedziałaaby jej, że jest Katherine Lundy, że zawsze była pewna bez względu na wszystko. Czy nie przeżyła całych czterech lat w szkole bez żadnych przyjaciół? Czy nie potrafiła czytać szybciej niż ci, których znała? Zawsze była pewna.

Nie miała tylko pewności, dlaczego się waha. Znowu spojrzała na słowa wyryte w drewnie. Nie wyrył ich scyzorykiem żaden z groźnych nastolatków ze szkoły średniej po drugiej stronie miasteczka. Były piękne. Matka nie posiadałaby się ze szczęścia, gdyby mogła coś tak pięknego zawiesić w korytarzu, a ojciec nie prychnąłby na widok napisu i nie odrzucił go jako dziecięcych bazgrołów. Były prawdziwe w ten surowy, nieuchwytny sposób, do wyrażenia którego brakowało jej określeń, ale i tak to rozumiała.

Bądź pewna. Miała tylko jedną szansę, żeby zdecydować się, czy jest, czy nie jest pewna. Tyle wiedziała. Nie wiedziała skąd, ale wiedziała.

– Jestem pewna – powiedziała i chwyciła za gałkę, a ona przekręciła się w jej dłoni, gotowa spełnić swoje zadanie.

Drzwi się otworzyły. Białe światło wylało się na cienie zalegające pod drzewem. Katherine weszła do środka. Wrota się za nią zatrzasnęły.

Przez chwilę wszystko na ścieżce pozostało takie samo. Potem jak kurz zmieciony przez wiatr drzewo zaczęło znikać, stawać się złote jak blask słoneczny przesiany przez niematerialne teraz gałęzie. Lite drewno rozpuściło się w maleńkie tańczące plamki światła, aż one również się ulotniły i został tylko zwykły, stary szlak.

Szlak oraz *Tajemnica Trixie Belden i czarnej kurtki*, która upadła w kurz tekstem do dołu, zapomniana w obliczu większej tajemnicy.

Minęło kilka godzin, zanim państwo Lundy się zorientowali, że Katherine nie siedzi zaczytana w swoim pokoju, unikając obowiązków domowych. Minęła kolejna, zanim Daniel wrócił z obchodu po jej zwykłych kryjówkach – strumieniu, drzewach za szkołą, huśtawce w miejscowym parku – i zameldował, że nigdzie jej nie znalazł. Wezwano policję, miasteczko

postawiono w stan alarmu, a jakiś czas potem znaleziono książkę, otworzono ją i stwierdzono, że należała do niej. Zaczęły się poszukiwania.

Ale jeszcze nie teraz. Tutaj i teraz był tylko szlak, książka i brak drzewa. Wszystko inne miało nastąpić później.

Zasady to zasady, bez wyjątków, bez odwołania

Katherine weszła przez niemożliwe drzwi do wnętrza pnia i znalazła się w długim, krętym korytarzu, który wyglądał, jakby został wyciosany z jednego kawałka drewna. Nie było żadnych kątów w miejscach, gdzie ściany stykały się z podłogą albo sufitem. Łagodne zaokrąglenia płynnie przechodziły jedno w drugie i stapiały się ze sobą. Wszystko było złote i jasne, wypolerowane na wysoki połysk, poznaczone falistymi liniami, które Katherine widywała w ściętych drzewach.

Od miejsca, gdzie stała, ciągnął się w niewidoczną dal długi dywan utkany w piękny wzór z winorośli i pędów jeżyn. Dzięki niemu nie ślizgała się na gładkiej powierzchni. Był lekko podniszczony, jakby wcześniej chodziło po nim wiele stóp.

Jej oczy się rozszerzyły. To musiał być czyjś dom. Korytarze i dywany nie należały do rzeczy, które znajduje się w drzewach, tylko w domach, gdzie są kochane i sprzątane przez właścicieli. Co oznaczało, że Katherine weszła na cudzy teren. A wejście na cudzy teren było wbrew zasadom.

Dziewczyna rozumiała zasady. Rozumiała je doskonale, do głębi, do szpiku kości. Tylko dzięki zasadom świat w ogóle mógł funkcjonować. Ich przestrzeganie nie czyniło nikogo dobrym człowiekiem, tak jak ich łamanie nie czyniło złym, ale czasem sprawiało, że ten ktoś stawał się niewidzialną osobą, a niewidzialne osoby mogły robić, co chcą. Ona nigdy, przenigdy nie łamała zasad, jeśli istniał jakiś sposób, żeby tego uniknąć, a kiedy je łamała – powiedzmy, wchodząc do cudzego domu, bo tak się złożyło, że ktoś obcy mieszkał w drzewie – przestawała to robić jak najszybciej.

Odwróciła się i sięgnęła do gałki, żeby wyjść, zanim ktoś się zorientuje, że ona tu jest... ale drzwi zniknęły, zastąpione przez korytarz ciągnący się w nieskończoność. Katherine zamarła.

Drzewa nie pojawiły się nagle tam, gdzie wcześniej ich nie było. Ludzie nie budowli domów z jednego kawałka drewna. Drzwi nie znikwały zaraz po tym, jak ich użyto. Wydawało się, że liczba rzeczy, które się nie zdarzały, ale akurat teraz się działy, wyraźnie narastała, jakby zaraz miały sięgnąć nieba.

Chyba po raz pierwszy od szóstych urodzin, kiedy Katherine uznała, że nie potrzebuje nikogo, kto nie potrzebuje jej, straciła tę pewność.

Co nie sprawiło, że drzwi znowu się pojawiły.

– Och – wyszeptała, a korytarz pochłonał ten dźwięk, uczynił z niego coś małego, słabego i niewartego zapamiętania. Katherine się to nie spodobało, więc powtórzyła głośniej: – Och. – Starła się brzmieć na zaskoczoną, jakby nie miała pojęcia, w jaki sposób trafiła do tego miejsca, w którym nie powinna się znaleźć i do którego nie mogła wejść, ponieważ nie było tam żadnych drzwi.

Nikt nie przyszedł, żeby ją zapytać, co robi w jego korytarzu, albo pokazać jej drogę do wyjścia. Katherine zmarszczyła brwi. Zrozumiała, że samo udawanie zaskoczenia nie wystarczy.

Drzwi nadal nie było, za to było więcej korytarzy. Pójście w tę stronę powinno być niemożliwe, to znaczy wbrew zasadom w jakiś nieuchwytny, trudny do wyartykułowania sposób. Katherine odwróciła się tak, że stanęła twarzą w kierunku, z którego przyszła. Mimo braku widocznego oświetlenia w korytarzu było jasno jak w jej sypialni, kiedy włączała lampkę nocną. Niemal mogłaby tu czytać...

Zacisnęła dłoń i stwierdziła, że książka zniknęła. Katherine niejasno pamiętała, że ją upuściła, kiedy stanęła przed niemożliwym drzewem. Nie pamiętała za to, żeby ją podnosiła. Jej czoło ozdobił grymas. Książki były cennymi rzeczami, które należało dobrze traktować, bo na to zasługiwały, a poza tym, gdyby nie traktowała ich dobrze, rodzice mogliby przestać je kupować. Zostawianie ich na brudnej ziemi i uciekanie do niemożliwych miejsc z pewnością nie zaliczało się do dobrego traktowania.

Nic nie mogła teraz z tym zrobić oprócz wydostania się stąd jak najszybciej. Uczyniła krok do przodu i obejrzała się przez ramię. Drzwi nie uznały jej ruchu za powód, żeby się pojawić. Katherine westchnęła, spojrzała zdecydowanie w głąb korytarza i zaczęła iść.

Podobnie jak pień drzewa korytarz nie był idealnie prosty; nachylał się i zakręcał, powoli, stopniowo, tak że mogła zataczać koła, nawet o tym nie wiedząc. W miarę jak się przemieszczała, światło robiło się coraz jaśniej-

sze, zmieniało z nocnego w takie kojarzące się z ciemnym korytarzem aż po normalne sufitowe. Przy takim mogłaby czytać.

Dopiero kiedy ta myśl uformowała się w jej głowie, na ścianie ukazała się pierwsza ramka. Znajdował się w niej napis starannie wykonany haftem krzyżykowym, a w jednym rogu widniała haftowana aksamitka. Katherine się zatrzymała.

– „Zasada pierwsza” – przeczytała. – „O nic nie pytaj”. Zabawne! Choć może to oznacza, że nie wolno mi pytać o drogę do wyjścia? Nigdy wcześniej nie słyszałam o takiej zasadzie.

Ruszyła dalej i wkrótce trafiła na drugą ramkę. Znowu stanęła w miejscu.

– „Zasada druga. Imiona mają moc”. Co to w ogóle znaczy?

Ściany nie odpowiedziały. Katherine poszła dalej, teraz szybciej, żeby znaleźć kolejny znak.

Zasada numer trzy brzmiała: „Zawsze podawaj uczciwą cenę”. Zasada czwarta głosiła: „Bierz to, co dostajesz, i bądź wdzięczny”. A piąta, najbardziej zagadkowa: „Pamiętaj o ostatecznym terminie”.

– Nic z tego nie ma sensu – poskarżyła się Katherine i usłyszała ciche kliknięcie, jakby otworzyła się zasuwa. Odwróciła się.

W ścianie korytarza, która z całą pewnością chwilę wcześniej była gładka i nijaka, znajdowały się drzwi. Otwarte szeroko, kuszące, żeby weszła i zobaczyła, co czeka po drugiej stronie. Katherine lekko zagryzła wargę i wbiła w nie wzrok.

Skoro drzwi były otwarte, z pewnością oznaczały zaproszenie do wejścia, prawda? A ona już wkroczyła na cudzy teren. Skorzystanie z otwartych drzwi nie mogło oznaczać jeszcze większego wtargnięcia.

Katherine ostrożnie się do nich zbliżyła. Nie zniknęły, co nigdy wcześniej nie było jej zmartwieniem, ale teraz stało się największym. Trąciła je czubkiem buta. Drzwi uchylily się szerzej i pojawiło się coś nowego: promień światła zbyt maślanego i jasnego jak na sztuczne. Blask słoneczny. Znalazła wyjście. Nie wpadnie w kłopoty. Rozpromieniona pchnęła drzwi do końca i zrobiła krok, ale nie znalazła się na polu ciągnącym się wzdłuż ścieżki ani nawet na dobrze utrzymanym podwórku jakiegoś obcego domu, tylko we śnie. Zatrzymała się i próbowała patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie, aż odniosła wrażenie, że oczy skrzyżują się w jej głowie z wysiłku, próbując ogarnąć całość.

Gdyby zabawa karnawałowa, wiejski jarmark i targi rzemiosła postanowiły odbyć się w tym samym czasie, na tym samym polu, rezultat mógłby być podobny do tego, co rozpościerało się przed nią. Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała namioty, malowane wozy i małe stragany z płóciennymi ścianami i ozdobnymi markizami. Zagrody pełne zwierząt – kóz, kur i świń – stały obok rozklekotanych gablot pełnych książek oprawionych w skórę, o grzbietach lśniących od złocen i czegoś, co mogło być według niej prawdziwymi rubinami. Wszędzie chodziły postacie z workami przewieszonymi przez ramię i nosidłami, na których zawieszane były wiadra pełne grzybów, ziemniaków albo wody, która falowała od nieprawdopodobnych ryb.

Postacie, nie ludzie, bowiem Katherine nie miała pewności, czy słowo „ludzie” jest wystarczająco pojemne, żeby objąć istoty, które zobaczyła. Niektóre były nie większe od jej dłoni, szybowały na zielonych, delikatnych jak u ciem skrzydłach, a ich włosy wyglądały jak płomień świec migoczące w blasku słońca. Inne były takie duże, że mogłaby mylnie wziąć je za głazy, o skórze szarej jak granit i dłoniach niemal tak wielkich jak ona cała. Katherine znajdowała się gdzieś pośrodku: ani duża, ani mała, ani atrakcyjna, ani odrażająca.

Kilka postaci, które nie zaszczyliły jej nawet spojrzeniem, wyglądało jak ludzie i w pewnym sensie to wydawało się najgorsze, bo jeśli miała przed sobą ludzi, to wszystko działało się naprawdę, a skoro tak, wtedy zasady, które znała przez całe swoje życie, okazały się błędne. Nie dotyczyły żadnej z tych istot. Jeśli nic tutaj nie było prawdziwe, mogła czuć się bezpiecznie, ale jeśli cokolwiek z tego rzeczywiście istniało...

– Pierwszy raz, co?

Katherine odwróciła się i znalazła oko w oko z dziewczynką jej wzrostu, o bladej, brudnej skórze i małych brązowych piórach wetkniętych w długie brązowe włosy. Te przyciągnęły uwagę Katherine tylko na chwilę, bo ta w nieunikniony sposób przeniosła się na oczy rówieśniczki. Źrenice były za duże, otoczone ciemnopomarańczową tęczówką, która wypełniała gałki od kącika do kącika, od powieki do powieki, tak że brakowało miejsca na białka. Katherine zrobiła to, co w tych okolicznościach było jedyną rozsądną rzeczą do zrobienia. Krzyknęła. Kilkoro przechodzących nieznanym spojrzało na nie obie z nikłym zainteresowaniem, nie zwalniając kroku. Dziewczynka z piórami we włosach przewróciła nieprawdopodobnymi oczami, co sprawiło, że wydały się jeszcze większe i bardziej pomarańczowe.

– Nie powinnaś robić tyle hałasu – rzuciła z rozdrażnieniem. – Przyciągasz uwagę, a ja nie mam teraz ochoty odstawić panto. Ty masz? – Jej akcent był pretensjonalny i dziwny, zupełnie niepasujący do wyglądu obdartusa.

Obdartus. To było dobre słowo. Katherine uchwyciła się go, próbując zdławić w sobie chęć krzyku ciekawością godną intelektualistki. Oczywiście znała to określenie od miesięcy, nauczyła się go z książki, na czytanie której podobno była za młoda, ale po raz pierwszy zobaczyła kogoś, do kogo ono pasowało.

Sowiooka dziewczynka miała na sobie patchworkową kamizelkę ozdobioną wstążkami i frędzlami, kremową koszulę z jakiejś szorstkiej tkaniny, z rękawami, które kiedyś były dłuższe, ale je ucięto. Spodnie z ciemnobrązowego płótna z jasnymi łatami na kolanach i mankietach wyglądały zabawnie, zbyt obcisłe i niemodne, za krótkie, żeby dobrze leżeć. Dziewczynka nie miała butów, a takich długich i zgrubiałych paznokci stóp Katherine jeszcze nigdy nie widziała.

– Co to jest panto? – spytała.

– Pantomina, przedstawienie, sztuka – wyjaśniła dziewczynka, zadowolona, że Katherine już nie wrzeszczy, tylko mówi. – Jeśli ściągniemy na siebie zbyt dużo uwagi, będziemy musiały zapłacić uczciwą cenę, co oznacza przedstawienie albo obietnicę. Ja w tym tygodniu nie mam w sobie żadnych obietnic, a ty jesteś nowa i aż cuchniesz tą nowością. Nie powinnaś składać żadnych obietnic, póki nie dowiesz się, co one znaczą, więc ktoś będzie musiał ci wyjaśnić zasady.

Katherine się zawahała.

– Ktoś taki jak ty?

W oczach dziewczynki pojawiło się przerażenie.

– Nie! Nie, nie, nie, nie ktoś taki jak ja! Ja nie nadaję się do uczenia kogoś, jak podawać uczciwą cenę. Spójrz na mnie. – Rozłożyła ręce, smukłe, o długich palcach, i wskazała na siebie. – Gdybym ci powiedziała, co robić, skończyłabyś na tej samej łodzi, w której ja siedzę, a nie jest to duża łódź. Jeśli wejdziemy do niej we dwie, możemy utonąć. Nie, nie. Zostawię wyjaśnienia Archiwistce. Ale powinnaś pójść ze mną i przestać zadawać pytania, zanim zadasz takie, za odpowiedź na które będziesz musiała zapłacić.

– Gdzie...

Zanim Katherine dokończyła zdanie, sowiooka do niej przyskoczyła i zacisnęła dłoń na jej ustach. Pachniała cynamonem z ostrą nutą nieznanego zioła.

– Chciałaś spytać, gdzie jesteś, choć właśnie ci powiedziałam, żebyś przestała zadawać pytania. – Głos dziewczynki był cichy, miły i jednocześnie groźny. – Zamierzałaś w nie brnąć i brnąć, aż tonęłabyś po uszy w długach. Bądź cicho. Nie widziałaś zasad, kiedy szłaś tunelem? Nie przeczytałaś ich? Możesz być tutaj szczęśliwa, w innym wypadku byś tu nie trafiła. Ale „szczęśliwa” nie oznacza, że zasady ciebie nie dotyczą.

Katherine wytrzeszczyła oczy.

– Zabiorę rękę, a ty nie zadasz więcej pytań – ciągnęła sowiooka. – Pójdiesz ze mną do Archiwistki, ona ci wyjaśni, co to jest „uczciwa cena”, i wtedy możemy zostać przyjaciółkami, ty i ja, jeśli zechcesz. Dobrze? W porządku. Teraz cię puszczę.

I tak zrobiła. Katherine cofnęła się o krok, poza zasięg jej rąk, choć wiedziała, że na nic się to nie zda, bo dziewczynka poruszała się tak szybko i cicho, że nie dało się przed nią uciec.

– Nie powiedziałam, że możesz mnie dotknąć. – Jej głos był ostry, aż piskliwy ze strachu. – Chcę już iść.

Nieprawdopodobni ludzie nadal je mijali, nieprawdopodobne namioty, stragany i wozy nadal tam stały, powietrze pachniało grillowanym mięsem i plackami owocowymi, a wszystko było nie tak i nie mogło się dziać...

– Dobrze – wesoło zgodziła się sowiooka. – Chodźmy.

Chwyciła jej dłoń i zanurkowała w tłum, ciągnąc ją za sobą. Zbyt zaskoczona, żeby się sprzeciwić, Katherine lawirowała między dziwnymi postaciami, które nie poświęcały im więcej niż jednego spojrzenia. Takie sytuacje najwyraźniej były tutaj normalne.

Katherine miała na myśli, że chce wracać do domu, do świata, w którym rzeczy miały sens, a dziewczynki o pomarańczowych oczach nie dotykały jej bez pozwolenia. Jednak nie powiedziała tego na głos, więc szły dalej.

Po jakimś czasie odprężyła się i zaczęła rozglądać, pozwalając, żeby sowiooka towarzysza ją prowadziła. Miała dużo do oglądania, dużo do usłyszenia, wachania i zapamiętania. Nie wszystkie wonie były przyjemne – głównie z powodu zwierząt i zbyt wielu ciał – ale aromatów przypraw korzennych i słodkich owoców było więcej niż smrodu śmieci i wychodków. Gdzieś piał kogut. Ktoś grał na skrzypcach melodię, która szybko zmieniała tonacje, wspinając się jak chłopiec z bajki po łądydze fasoli.

Tak. To było wyjaśnienie, a Katherine chwyciła je obiema rękami. Poradzi sobie, jeśli uzna, że w jakiś sposób zabląkała się do baśni. Znała zasady panujące w bajkach, a co najważniejsze, wiedziała też, że wszystkie kończą się słowami: „żyli długo i szczęśliwie”, więc powinno być dobrze. Więcej niż dobrze. Będzie idealnie. Doskonale, czyli w porządku. Lubiła pojęcie doskonałości.

Sowiooka dziewczynka biegła, aż tłum wokół nich zaczął się przerzedzać, aż minęły wozy, namioty i stragany. Biegła, aż ludzkie głosy zastąpiło ćwierkanie, krakanie i ptasie trele, aż otoczyły je drzewa – duże drzewa, drzewa idealne do wspinaczki, patchwork drzew wyglądających bardzo podobnie do tamtego z drzwiami – a ich gałęzie ugiwały się od klatek zamiast od owoców. Klatki były pełne ptaków, jakich Katherine nigdy nie widziała, ptaków we wszystkich kolorach tęczy i kilku takich, o których tęcza najwyraźniej zapomniiała. Wydawały się większe i bystrzejsze od tych, które znała: gołębie wielkości kurczaków, orły ze skrzydłami o rozpiętości mierzonej w okrzykach zamiast w metrach.

Podczas biegu przez nieprawdopodobny targ w pewnym momencie trafiły na wąską ścieżkę, która wiła się między drzewami pełnymi ptasich klatek. Na jej końcu stał dom. Przynajmniej Katherine sądziła, że to dom. Mogłaby go również nazwać chatą, gdyby była łaskawa, albo szopą, gdyby nie była. Wydawał się dużo za mały, żeby pomieścić więcej niż jeden pokój wielkości jej sypialni. Dach pokrywał omszały gont, a ściany ozdobiono kolorowym geometrycznym wzorem. Wokół domku biegł ganek, uginający się pod ciężarem ogrodowych skrzyń wypełnionych ziołami.

Sowiooka towarzysza zatrzymała się nagle kilka kroków od drzwi i szarpnęła Katherine, żeby też stanęła. Dziewczynka potknęła się i spiorunowała ją wzrokiem. Jej towarzysza najwyraźniej tego nie zauważyła. Puściła jej dłoń i przytknęła ręce do ust.

– Halo, domku! – krzyknęła. – Tu Księżyc! Jestem na zewnątrz! Znalazłam nową dziewczynkę! Ona nie zna zasad!

– Przeczytałam je – obruszyła się Katherine. – Jedna z nim brzmiała: „Imiona mają moc”. Naprawdę powinnaś wykrzykiwać swoje, jakby nigdy nic?

– To nie jest imię, nowa dziewczynko – oświadczyła sowiooka. Wyglądała na kogoś, kto może mieć na imię Księżyc i nikt nie będzie się z tego śmiał. Twarz miała wąską, policzki zarumienione, ale było w niej coś, co kojarzyło się z północą, tajemnicami i rzeczami, o których nikt nie odważył

się mówić w dzień. – Właśnie tak mówią o mnie tutejsi. Jakkolwiek brzmi twoje imię, nie podawaj go tutaj nikomu. Obiecuj mi.

– Ja nie...

I znowu Księżyc zbliżyła twarz do jej twarzy zbyt szybko i zbyt cicho, żeby można zauważyć ten ruch. Było tak, jakby zamieniła jedno miejsce na inne, nie pokonując przy tym dzielącego je dystansu.

– Obiecuj mi – wysyczała. – Swoje imię masz w sercu, a nie oddaje się własnego serca. Obiecuj.

– Obiecuję – powiedziała Katherine, nagle wystraszona z niewiadomego powodu.

– Dobrze. – Księżyc zrobiła krok do tyłu.

Drzwi domu się otworzyły. Wyszła z nich kobieta.

Była wysoka. Wyższa niż Katherine czy Księżyc, wyższa nawet od ojca Katherine, do którego ona porównywała wszystko inne na świecie. Jej włosy miały kolor świeżo zmielonego cynamonu, skóra przyjemny brązowy odcień przypominający pióra wróbla. Nosiała długą białą suknię i czerwony szal zarzucony na ramiona, była piękna i straszna zarazem, a Katherine nie mogła się zdecydować, czy chce ją kochać, czy uciec od niej jak najszybciej.

Podeszła do dziewczynek, przyglądając się im z głową lekko przechyloną na bok.

– Kogo mi przyprowadziłaś, Księżyc? – spytała głosem zachrypniętym, szorstkim jak granit, szorstkim jak kora drzewa.

– Nie znam jej imienia, a ona wie, że nie powinna go podawać – odparła Księżyc i odwróciła się do Katherine. – To jest Archiwistka. Nie ma tak na imię, ale zna zasady lepiej niż ktokolwiek i może ich ciebie nauczyć, jeśli przyjdiesz do niej bez długów. Widziałam, jak przychodzisz, ty zobaczysz, jak ja odchodzę, i wtedy będziesz wolna i czysta. Zapytaj ją o to, co chcesz wiedzieć.

– Pierwsza zasada: „O nic nie pytaj” – wyrecytowała Katherine.

Jej ciało wydawało się ciężkie, jakby spowiła ją mgła. Coraz trudniej było traktować to wszystko jak sen, a skoro nie śniła, to naprawdę się działo, czyli ona stała tu i rozmawiała z osobami, które nazywały się „Księżyc” i „Archiwistka”, i znajdowała się okropnie daleko od domu.

– Zawieszam pierwszą zasadę na czas trwania tej rozmowy, ale nie dłużej – oznajmiła Archiwistka. – Żaden dług nie zostanie przypisany do żadnego pytania, które zadasz. Jediną uczciwą ceną, której potrzebuję, jest to,

żebyś dobrze wszystko zrozumiała, bo nie chciałabym się martwić o twoje przyszłe długi. Księżyc, możesz odejść.

– Nie musi mi pani tego dwa razy powtarzać – rzuciła dziewczynka i mrugnęła do Katherine. – Do zobaczenia, nowa.

Pobiegła między drzewa z tą swoją nadprzyrodzoną szybkością i zniknęła wśród gałęzi i ptaków.

– Chodź ze mną – powiedziała Archiwistka, wyciągając rękę.

Z braku innego wyboru Katherine ją ujęła, a gospodyni poprowadziła ją do domu, podczas gdy ptaki w klatkach skrzeczały i wyśpiewywały swoje żałobne pieśni o niewoli.

Uczciwa cena

W środku domek Archiwistki okazał się równie mały jak na zewnątrz, co w jakiś sposób przyniosło ulgę Katherine, która po zakończeniu szkoły już zetknęła się z jednym bardzo poważnym złamaniem praw fizyki i nie była pewna, czy zniosłaby kolejne tak szybko po pierwszym. Każda powierzchnia zdadna do zarekwirowania na regały z książkami została zarekwirowana, każda półka była wypełniona po brzegi. Książki leżały w stosach na podłodze, zbyt licznych, żeby dało się nad nimi zapanować. Jedyнным meblem oprócz regałów był mały drewniany stół na wąskich nogach i dwa krzesła upchnięte w rogu pokoju.

– Wejdz. – Archiwistka podeszła do stołu i zajęła jedno z krzesel. Wskazała jej drugie. – Usiądz.

Katherine usiadła. Krzesło jęknęło pod jej ciężarem. Pomyślała, że Archiwistka jest chyba najlżejszą osobą na świecie, skoro może siedzieć wygodnie na czymś tak niestabilnym.

– To jest mój dom, a ty jesteś tu bezpieczna. Na razie – oświadczyła gospodyni spokojnym, czystym głosem. – Znasz swoje imię?

Katherine już miała odpowiedzieć, ale ugryzła się w język, gdy przypomniała sobie obietnicę złożoną Księżyc. Zamknęła usta i skinęła głową.

– Doskonale – powiedziała Archiwistka. – Jeśli je zapomnisz albo stracisz, to samo ciebie spotka, a takie rzeczy niosą ze sobą konsekwencje. Ale będziesz potrzebować imienia, którego możesz tutaj używać. Takiego, na które będziesz reagowała, a które trudniej wykorzystać przeciwko tobie. To może być cecha, ulubiona rzecz albo nazwisko rodowe, które nie należy wyłącznie do ciebie. Mogę je wybrać, jeśli chcesz.

– Lundy – zdecydowała Katherine.

– Lundy. – Archiwistka znowu przechyliła głowę na bok. – Nie jesteś pierwszą osobą o takim imieniu, która tutaj zawędrowała. Widzę je w kąciakach twoich oczu. Witaj, Lundy, na Targu Goblinów.

Katherine – Lundy – która nigdy nie myślała o tym, że jej ojciec musiał kiedyś być młody i mieć własne przygody, zmarszczyła brwi.

– Co to jest Targ Goblinów?

– To miejsce, do którego trafiają marzyciele, kiedy ich marzenia nie zgadają się z tymi, które ich rodziny uważają za wartościowe. Prowadzą tutaj drzwi. Może jedne znalazłaś.

Lundy przygryzła wargę i nic nie odpowiedziała.

– Zaczęło się od syna domokrażcy, który zgubił drogę. Postanowił rozbić tutaj obóz i poczekać na matkę. Ona jednak nie wróciła. Zamiast niej znalazł mnie i przez jakiś czas byliśmy szczęśliwi. Ale po nim przyszli inni, po nich kolejni, aż powstała społeczność. Potrzebowaliśmy zasad... i pewnych granic, ponieważ nasze drzwi mogą się otwierać dziesiątki razy dla tej samej osoby, a nie tylko jeden raz. – Archiwistka pochyliła się do przodu. Jej twarz była łagodna. – Widziałas zasady, kiedy szłaś przejściem?

– Tak – potwierdziła Lundy i dodała pośpiesznie: – Ale ich nie zrozumiałam. Jak mam ich przestrzegać, skoro ich nie rozumiem?

– Skomplikowane pytanie, zwłaszcza że zasady mają swój sposób, żeby wymuszać ich przestrzeganie. Księżyc spłaca długi wobec mnie, wypatrując dzieci takich jak ty. Nie była rozważna, kiedy pierwszy raz musiała podać uczciwą cenę. Była zbyt młoda, gdy się tutaj zjawiała, i za dużo czasu zabrało jej zrozumienie konsekwencji.

– Co się dzieje, jeśli nie poda się uczciwej ceny?

– Nie chciałabyś tego doświadczyć. No więc, omówiłyśmy drugą zasadę, ale nie pierwszą. Póki tu jesteś, nie powinnaś o nic pytać. Kluczemy wokół pytania. Jeśli chcesz napić się wody, nie mówisz: „Mogę dostać wody?”, tylko: „Chciałabym trochę wody” albo: „Chce mi się pić”. Bądź przygotowana na to, że wtedy usłyszysz cenę. Minie trochę czasu, zanim się nauczysz, które ceny są uczciwe, więc za każdym razem zastanów się, czy woda jest warta utraty skarpetki, pasma włosów albo tajemnicy. Jedna z tych rzeczy jest uczciwą ceną.

– Skarpetka?

– Włosy – powiedziała Archiwistka. – Jedno pasmo nie ma dla ciebie dużej wartości, ale niektórzy ludzie lubią je sobie doczepiać. Skarpetki masz tylko dwie, chyba że nosisz zapasowe w plecaku. W dodatku jak je stracisz, będą ci stopy marzły.

Był to logiczne i odświeżające spojrzenie na różne sprawy. Lundy pokiwała głową.

– A co się dzieje, jeśli o coś zapytam?

– Tak jak w tej chwili? Nie rób takiej przerażonej miny. Dałam ci pozwolenie na pytanie. Jeśli jednak zapytasz o coś kogoś poza tym domem, twój rozmówca może uznać, że proponujesz mu kupno, a skoro zapytałaś wprost, to nie są negocjacje. Rozumiesz? Mówisz: „Mogę dostać szklanę wody”, a ja mogę powiedzieć: „To będzie kosztować jedną skarpetkę”, i jeśli nie zapłacisz, złamałaś zasadę numer trzy. Nie podałaś uczciwej ceny. To oznacza dług.

– Jaki jest ten dług, skoro nie płaci się pieniędzmi?

Archiwistka zacisnęła wargi.

– Dowiesz się niedługo, dziewczynko. Kiedy ktoś proponuje ci coś za darmo – ja robię to teraz – ty przestrzegasz reguły numer cztery. Bierzesz i jesteś wdzięczna, bo coś, co dla ciebie jest darmowe, dla kogoś innego może być bardzo drogie. Ludzie zapamiętają, jeśli nie będziesz wdzięczna. Przeszaną cokolwiek proponować.

Lundy wolno pokiwała głową.

– W porządku.

– Jest jeszcze jedna zasada, której musisz przestrzegać. Nawet jeśli teraz uznasz ją za niezbyt ważną, to i tak musisz ją zapamiętać, bo ona może wyrządzić ci prawdziwą i długotrwałą krzywdę, jeśli nie będziesz ostrożna. – Archiwistka nachyliła się do przodu. – Pamiętasz, jak brzmiała? Widziałaś ją w korytarzu?

– Eee... pamiętam coś o godzinie policyjnej – odpowiedziała Lundy niepewnym tonem.

– Tak. Obowiązują tutaj godzina policyjna, Lundy, i dotyczy nas wszystkich. Nie taka, jaką możesz znać. Ona nie oznacza, że „wszystkie grzeczne dzieci wracają do domu po zachodzie słońca”. Ona oznacza, że musimy być pewni, że nikt z nas nie jest tu uwięziony wbrew swojej woli. Chcemy, żeby wszyscy, którzy zabiegają o obywatelstwo naszego niezwykłego kraju, dokonali przemyślanego wyboru. Drzwi cię znalazły. Będą się otwierać dla ciebie jeszcze wiele razy, a ty możesz przez nie przechodzić albo nie aż do dnia, kiedy skończysz osiemnaście lat. Wtedy się zamkną, choć to stwierdzenie może brzmieć nieco arbitralnie. Kiedy skończysz osiemnaście lat, będziesz mogła wybrać, po której ich stronie chcesz stanąć, jeśli będziesz pamiętać o uczciwej cenie. Jeśli nie – jeśli za bardzo się u kogoś zadłużysz – nie będziesz mogła znaleźć się po tej stronie drzwi, z której przyszłaś. To może się wydawać niesprawiedliwe, ale jest konieczne. Uczciwa cena ozna-

cza, że nie kradniemy tego, co nie jest nasze. Oznacza również, że zatrzymujemy to, co do nas należy.

– Nie rozumiem – oświadczyła Lundy.

– Obawiam się, że zrozumienie to coś, co przychodzi z czasem, nieważne, jak jasno staramy się to wytłumaczyć – stwierdziła Archiwistka. – Jest tutaj wiele dobrych rzeczy, Lundy. Wiele cudownych rzeczy. Mogłaś być tutaj szczęśliwa, gdybyś chciała. Ale nie masz całej wieczności na podjęcie decyzji i musisz przestrzegać zasad, bo inaczej z pewnością zapłacisz cenę.

Lundy zmarszczyła brwi.

– Czy to znaczy, że nie wrócę do domu? – spytała.

– Raczej nie jesteś zbyt przywiązana do swojego domu, bo inaczej nigdy byś nas nie znalazła – zauważyła Archiwistka. – Ale nie. Nie o to chodziło. Będiesz tutaj przez jakiś czas, a potem znajdziesz drzwi i będziesz mogła wrócić do świata, który opuściłaś. Nikt nie zostaje na zawsze podczas pierwszej wizyty. Jedna wizyta nie wystarczy, żeby mieć pewność. Zasady oznaczają tylko to, że kiedy skończysz osiemnaście lat, nie będzie już więcej żadnych drzwi. Na razie ciesz się wolnością Targu Goblinów. Pamiętaj o zasadach. Staraj się ich nie łamać, jeśli nie masz ochoty płacić ceny. Baw się dobrze. Jest wiele dobrych rzeczy na świecie, a pierwszy raz zawsze jest tylko jeden. Rozumiesz?

Lundy, która nie rozumiała, ale już dawno temu nauczyła się, że dorośli są szczęśliwsi, kiedy sądzą, że ona nie potrzebuje więcej wskazówek, skinęła głową.

– Mogę tutaj wracać, nawet jeśli pani nie będzie mnie uczyć? – zapytała.

– Ma pani tyle książek, a ja uwielbiam czytać.

Dorośli kochali dzieci chętne do nauki. Archiwistka zmrużyła oczy, a potem się uśmiechnęła, ciepło i z aprobatą.

– Chętnie pozwolę ci czytać moje książki, a jedyną ceną, której od ciebie zażądam, będzie to, żebyś dobrze je traktowała i mówiła mi, co o nich sądzisz.

Ze streszczeniami książek Lundy miała bardzo dużo doświadczenia.

– Wydaje się, że to... uczciwa cena – powiedziała.

Archiwistka uśmiechnęła się szerzej.

– Już zaczynasz rozumieć – stwierdziła. – Teraz biegnij i się pobaw. Księżyc może ci pokazać miejsca, do których dzieci lubią chodzić, a ja zawiadomię innych, że się tu zjawiłaś. Zasady obowiązują od chwili przy-

bycia, ale przy pierwszej wizycie możemy interpretować je jak najkorzystniej, żeby ułatwić następną. Zobacz, co Targ Goblinów ma ci do zaoferowania.

Lundy, która nie była głupia, zerwała się z rozklekotanego krzesła, odruchowo dygnęła i wybiegła na powietrze przesycone dymem. Powitał ją hałaśliwy chór krzyków i świergotów, kiedy ptaki siedzące na gałęziach ją zauważyły. Katherine zatrzymała się i łypnęła na dużego kruka.

– Nikt się tutaj nie zakradnie, co? – spytała.

– Niektórzy z nas tak – dobiegł głos zza jej ramienia.

Lundy aż podskoczyła. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Księżyc. Dziewczynka miała na twarzy rozradowany uśmiech, a dziwne pomarańczowe oczy półprzymknięte, tak że wyglądała na senną, a jednocześnie na zbyt z siebie zadowoloną.

– Na mnie ptaki nie wrzeszczą – pochwaliła się. – One pamiętają. Już skończyłaś z Archiwistką? Nauczyła cię wszystkiego, co powinnaś wiedzieć?

– Myślałam, że nie wolno zadawać pytań – odparowała Lundy.

– Ty zadałaś pytanie parę sekund temu – przypomniała Księżyc. – Niektóre są w porządku. Bez nich się nie obejdziesz. Ludzie są zbyt ciekawscy. Gdyby nie pozwoliło się im czasami zadawać pytań, przestaliby dobrze pracować. Ale jest duża różnica między pytaniem o rzeczy a zwykłym wypytywaniem. „Myślisz, że w tym tygodniu będą winogrona?”, nie jest tym samym co: „Mogę wziąć trochę tych winogron?”. Rozumiesz?

– Nie – przyznała Lundy posępnie.

– Więc chyba będziesz musiała zrobić tak jak reszta z nas i uczyć się w trakcie. – Księżyc nagle chwyciła ją za rękę. Pomarańczowe oczy miała szeroko otwarte i błyszczące. – Mogę pomóc. Mogę wziąć na siebie trzy twoje długi, jeśli obiecasz, że je ode mnie zabierzesz, kiedy będzie mi to potrzebne.

– Co?

– Długi. Kiedy nie podaje się uczciwej ceny, ma się długi. Ale ty jesteś nowa i nie wiesz, co to znaczy ostrożność. Mogę chodzić z tobą i jeśli narobisz długów, wezmę od ciebie trzy. To dozwolone. Potem, jeśli będę tego potrzebowała, zgodzisz się odebrać je ode mnie, dobrze? Gdy już będziesz wiedziała, co robisz.

– To wydaje się uczciwe – stwierdziła Lundy, choć wcale nie miała takiej pewności. Nie widziała jednak sposobu, jak mogłaby odmówić, żeby

nie urazić nowej koleżanki.

– Umowa stoi? – Księżyc wyciągnęła do niej dłoń o długich palcach. – No dalej, uściśnij.

Lundy to zrobiła. Księżyc się rozpromieniła.

– Chodź. Pokażę ci Targ. – I puściła się biegiem, a Lundy ruszyła za nią, bo nie miała innego pomysłu.

Biegły przez złote popołudnie jak nasiona dmuchawca tańczące na wietrze, dwie małe dziewczynki z całym światem przed sobą, bezcennym skarbem, który zaraz miał zostać skradziony. Księżyc była lekka i szybka, czasami zawracała i okrążała Lundy, śmiejąc się z jej powolności. Lundy spięła się, kiedy pierwszy raz usłyszała ten śmiech, ale szybko sobie uświadomiła, że nie ma w nim krzty złości ani okrucieństwa; Księżyc po prostu się z nią bawiła.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś uznał, że warto się z nią bawić.

Przebiegły całą drogę do niemożliwego skupiska namiotów, kramów i wozów. Tam również nie zwolniły. Księżyc lawirowała między klientami i straganami. Lundy starała się dotrzymać jej kroku. Na Targu były inne dzieci, niektóre obsługiwały stoiska albo odliczały jabłka, podczas gdy inne patrzyły na nie z zazdrością, przywiązane do swoich stanowisk jedwabnymi wstążkami, drutem albo pędami bluszczu. Grupka chłopców rzucała piłką na jednym z niewielkich wolnych placyków między rzędami budek. Kiedy dziewczynki ich mijaly, zaczęli na nie gwizdać, ale nie próbowali ich zatrzymać.

Księżyc nie była jedyną osobą o niezwykłych oczach. Niektóre z mijanych dzieci miały oczy czarne jak krople ropy naftowej, inne żółte, czerwone albo błękitne o zdumiewającym odcieniu letniego nieba. Lundy chciała o nie zapytać, ale nie wiedziała, czy takie pytanie byłoby bezpieczne, więc trzymała język za zębami i chłoneła wszystko, co ją otaczało.

Kobiecie na wózku inwalidzkim towarzyszył kudłaty pies, którego złota sierść migotała, jakby płonęła. Mężczyzna o czterech rękach splatał wstążki w piękne sznury z taką szybkością i wprawą, jakby zajmował się tym przez całe życie. Był też pół człowiek, pół jednorożec ze skręconym rogiem na

czole. Centaur wyjmował tacę pełną placków z nadzieniem mięsnym z pieca dostatecznie dużego, żeby zmieściła się w nim cała piekarnia.

Lundy zaburczało w brzuchu. Księżyc zwolniła i wykrzyknęła:

– Musisz być głodna, biedactwo! Pokazuję ci różne rzeczy i nawet się nie zatrzymam, żeby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz. To nie jest uczciwa cena z mojej strony. Co masz w kieszeniach?

Lundy wytrzeszczyła oczy, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

– Co?

– Twoja sukienka. Widzę, że ma kieszenie. Co w nich jest? Masz tam cokolwiek? – Księżyc patrzyła na nią z nadzieją. – Może kamyki, dziwne monety albo coś w tym rodzaju?

– Hm. – Lundy sięgnęła do kieszeni i wyjęła ich zawartość. – Mam dwa ołówki, kawałek kredy i ćwierćdolarówkę.

– Ołówki! – Księżyc je chwyciła, nim Lundy zdążyła zaprotestować, i pociągnęła ją do straganu jednoroźca, który właśnie wykładał placki na kratkę, żeby ostygły. – Ołówki to złoto. Dorośli uwielbiają pisać. Chodź.

Zatrzymała się przed stoiskiem i uśmiechnęła promiennie. Lundy na nią popatrzyła i spróbowała przybrać identyczną pozę, żeby nie wyglądać na zagubioną, choć właśnie tak się czuła. Otaczający ją wir zasad i dziwnych rzeczy przyprawiał o zawrót głowy, tak że chciała wrócić do domu i jednocześnie nigdy tam nie wracać, póki nie nauczy się wszystkiego o tym niewiarygodnym, nieprawdopodobnym miejscu. Te sprzeczne pragnienia aż sprawiały jej ból.

Lundy nie była przyzwyczajona do sprzeczności. Przywykła do podejmowania decyzji i trzymania się ich, zawsze wiedziała dokładnie, co robić. Jednak rozumiała zasady i rozumiała luki. Pomyślała, że może nauczyć się czerpać przyjemność z szukania miejsc, gdzie te zasady – uczciwa cena, niezadawanie pytań i inne – zderzają się ze sobą, tak że powstają szczeliny, przez które ona mogłaby się przecisnąć.

Centaur z jednym rogiem zmarszczył czoło.

– Czego chcesz, Księżyc?

– Mam zapłatę. – Sowiooka dziewczynka wyciągnęła rękę, pokazując ołówki, które zabrała Lundy. – Jaka będzie za nie uczciwa cena?

Na widok dwóch lekko przeżutych ołówków oczy centaura rozjarzyły się w sposób, który Lundy wydał się zupełnie nieproporcjonalny do ich wartości.

– Większa, niż mógłbym dać, gdybyś chciała dostać wszystko od razu. Ale powiedzmy, że dziesięć placków z mięsem i dziesięć z owocami za każdy, dostarczone, kiedy zażadasz, jeśli obiecasz, że to będzie nie więcej niż dwa dziennie.

– Brzmi uczciwie – stwierdziła Księżyc i zerknęła na Lundy.

Dziewczyna wyczuła nieme pytanie w jej spojrzeniu. Skinęła głową z entuzjazmem podsycanym przez głód.

– Wydaje się, że to uczciwa cena – potwierdziła.

Centaur zmierzył ją wzrokiem.

– Jesteś nowa? – zapytał.

– Tak, proszę pana.

– Bądź ostrożna z tą tutaj – ostrzegł, wskazując kciukiem na Księżyc i jednocześnie zręcznie wyrywając ołówki z jej dłoni. – Jest za sprytna, żeby to było dla niej dobre, a nie dość ostrożna, żeby to było dobre dla ciebie.

– Placki, poproszę – zażądała Księżyc z promiennym uśmiechem.

Lundy przeniosła wzrok na centaura i z powrotem na nią. Był to wybór, którego należało dokonać; wiedziała, że decyzja, komu zaufać, zawsze jest decyzją ważną. Ale ona już dobiła targu z Księżyc i rozumiała to miejsce na tyle, by zdawać sobie sprawę, że powinna wykonać ruch, nawet gdyby postanowiła odejść i zrezygnować z obiecannej pomocy.

– Placki, poproszę – powiedziała z uśmiechem.

Jednorogi centaur przewrócił oczami.

Niedługo potem dwie dziewczynki siedziały pod drzewem, w bezpiecznym otoczeniu innych drzew, które zasłaniały je przed ludźmi z targowiska, z lepkiem owocowym na brodach i okruszkami na kolanach. Takich owoców Lundy jeszcze nigdy nie próbowała: słodkich, kwaśnych i ostrych jednocześnie, tak że każdy kęs był nauką. Mięso okazało się równie dobre, kurczak zapieczony w cieście z delikatnym śmietanowym sosem. Na samo jego wspomnienie do jej ust napłynęła ślina.

– Chyba zostaniemy bardzo dobrymi przyjaciółkami – stwierdziła Księżyc.

– Nigdy nie miałam przyjaciółki – wyznała Lundy nieśmiało. – Nie wiem, czy potrafię nią być.

Księżyc się rozpromieniła.

– Nie martw się, nauczę cię. Drwina i Archiwistka też, i wszyscy inni, którzy mnie kochają. Ciebie też pokochają. Zobaczysz.

Lundy odwzajemniła uśmiech i pomyślała, że Targ Goblinów jest chyba najcudowniejszym miejscem, w jakim kiedykolwiek była, i nie chciała już nigdy wracać do domu.

Początek się kończy

Katherine Lundy nie było już od ośmiu dni. Dostatecznie długo, żeby policja zaczęła mówić przyciszonym głosem o odwołaniu poszukiwań: mieli ograniczone możliwości, a ponieważ wszyscy zgadzali się, że dziewczynka jest za mała na ucieczkę z domu, nadeszła chwila, żeby przekazać sprawę federalnym. Oni byli odpowiednio przeszkoleni i mieli odpowiednich ludzi, żeby ścigać porywaczy we wszystkich stanach. Mogli odkryć to, czego nie potrafiły znaleźć miejscowe władze.

W domu szlochała matka, starszy brat wpatrywał się bezsennie w okno sypialni, a młodsza siostra płakała aż do zapadnięcia w niespokojny sen i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wszyscy są tacy zdenerwowani, wiedziała jedynie, że jej siostra – jedna z niewielu stałych rzeczy w jej życiu – odeszła.

Tylko ojciec zachowywał zimną krew i suche oczy. Stał w kuchennych drzwiach i czekał. Nawet kiedy policja oznajmiła, że niestety brakuje im tropów, i zapytała, czy nie chciałby porozmawiać z kimś ważniejszym i więcej mogącym, on pozostał spokojny. Wpatrywał się w horyzont i myślał o długim korytarzu wyciosanym z jednego kawałka żywego drzewa. Myślał o zasadach. Na Targu Goblinów zawsze byli tacy uważni, jeśli chodzi o zasady. Nigdy nie zatrzymywali dzieci przy pierwszej wizycie. To nie byłoby uczciwe. Nie mieliby pewności.

Myślał o złotej dziewczynie ze stokrotkami i kwiatami granatu we włosach, tańczącej pod letnim księżycem. Myślał o tym, jakie gorące były jej wargi, kiedy całowała kąciki jego ust i mówiła, żeby zachował te pocałunki na resztę życia i używał ich tylko w razie absolutnej potrzeby. Mieli ledwo po szesnaście lat tamtej księżycowej nocy, a ona już wiedziała, że on odchodzi, choć on sam nadal wierzył, że może zostać.

Myślał o wyborach: o tym, którego kiedyś dokonał, i o tym, którego, jak wiedział, dokonywała teraz jego córka, o wyborze, który zadecyduje o tym

wszystkim, co będzie potem. Robił, co mógł, starał się wychować ją tak, żeby żyła wśród ksiązek, w cichych, bezpiecznych pokojach zamiast biegać dziko po polach pełnych janowców i wrzosów. Zakładał, że kiedy Daniel skończy szkołę podstawową, nie natykając się na żadne niemożliwe drzwi, łańcuch zostanie przerwany. Niestety, najwyraźniej się mylił.

Jak bardzo się mylił. Dlatego czekał, aż pewnego wieczoru, kiedy wschodził księżyc, zobaczył, że w stronę ich domu ulicą idzie mała postać w bardzo opłakanym stanie.

Szkolny plecak zniknął, podobnie jak skarpetki i wstążki z włosów. Za pasek Katherine miała zatknięty ostry nóż z wypolerowanego szkła, o zakrzywionej kościanej rękojeści pasującej do jej dłoni. W jej włosy były wplecione pióra (i jeśli serce ojca zamarło na chwilę na ich widok, ona nie wiedziała dlaczego; jeszcze tego nie rozumiała). Na jej policzku zasychała plama soku owocowego, ciemna i kleista jak dżem.

Ojciec zbiegł po frontowych schodach, zanim matka spostrzegła, że w końcu ruszył się od drzwi, i w czasie krótszym, niż trwałoby wypowiedzenie słów: „znowu w domu, znowu w domu, nareszcie wróciła”, padł na kolana na chodniku i mocno przytulił córkę, jakby istnienie świata zależało od tego, że on nigdy nie wypuści jej z objęć.

Lundy pociągnęła nosem. Ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi, wdychając zapach wełny, papieru i dymu, który mówił jedno: „ojciec”. I Lundy, dzielna Lundy, która wyruszyła ze swoimi przyjaciółkami Księżyc i Drwiną, żeby walczyć ze złą Królową Os o bezpieczeństwo zagajnika granatów, która zrozumiała, że czasami uczciwa cena nie wystarczy, żeby mała dziewczynka ze srebrnymi piórami we włosach nie leżała na liściach zakrwawiona i połamana i już nigdy nie mogła się droczyć ani bezlitośnie targować, wybuchła płaczem.

– Przepraszam – wyszlochała. – Przepraszam. Bardzo przepraszam. Nie wrócę tam. Nie wrócę.

Oczywiście kłamała. Ale miała to zrozumieć dopiero za dwa lata.

Część II

Najpierw trzeba zasiać

Z powrotem za niemożliwymi drzwiami

Gdyby ktoś zapytał Katherine Lundy – ostatnio wolała, żeby zwracać się do niej po nazwisku, którego nikt nie próbował przekręcać ani skracać na coś głupszego i mniej kłopotliwego do wymówienia – odpowiedziałaby, że mieć dziesięć lat jest zdecydowanie trudniej niż osiem i że bardzo chętnie by się cofnęła do czasów, kiedy jej płeć była raczej cechą niż oczekiwaniem.

W wieku ośmiu lat mogła nosić sukienki albo wstążki we włosach, albo jedno i drugie, i nikt nie uważał tego za dowód, że wyrasta na śliczną panienkę. Mogła podnosić rękę w klasie i nie zostać pominięta na rzecz chłopców, których odpowiedzi, choć często identyczne jak jej, uważano za mądrzejsze, bardziej przemyślane, bardziej niezbędne. Mogła jeść słodycze i nikt jej nie pytał, czy nie boi się przytyć.

Mogła znaleźć drzwi i zniknąć w przygodzie, zamiast żyć w świecie, który mówił jej dzień po dniu, po beznadziejnym, demoralizującym dniu, że przygody są tylko dla chłopców; że dziewczynki powinny zaprzętać sobie głowę lepszymi rzeczami, takimi jak dbanie o bezpieczną przystań, do której ci sami chłopcy mogliby wracać.

Teraz, kiedy miała dziesięć lat, zmieniało się wszystko, co sądziła o chłopcach, dziewczynkach, sobie samej i otaczających ją ludziach. Przyjaciele rodziny i dalecy krewni kupowali jej na gwiazdkę ładne bransoletki i zestawy szczotek do włosów zamiast książek i gier edukacyjnych, o które wyraźnie prosiła. Przypuszczała, że dziewczynkom mówi się prawdę o Świętym Mikołaju, bo inaczej uznałyby, że ten człowiek całkiem zwariował, skoro tak nagle zaczął dawać im zupełnie inne prezenty, chociaż te wcześniejsze były najlepsze.

Punkt przełomowy nadszedł całkiem niespodziewanie w samym środku porannej lekcji matematyki. Jedno z pytań po prostu nie miało właściwej odpowiedzi, nieważne, ile razy Katherine by tego nie sprawdzała. W końcu sfrustrowana uniosła rękę.

– Dobrze, Katie – powiedział pan Holmen z uśmiechem równie szerokim i niemiłym jak jego wąsy. I patrząc na resztę klasy, jakby zamierzał zdradzić jakąś tajemnicę, dodał: – Nie mam nic przeciwko pomaganiu dziewczynkom w matematyce. Przecież im nie przychodzi ona naturalnie.

Wszyscy chłopcy w klasie zaśmiali się drwiąco. Nawet Johnny Wells, a to ona od września pomagała mu w pracach domowych z matematyki.

Lundy wstała tak szybko, że jej podręcznik spadł na podłogę z dźwiękiem przypominającym klapsa, a pan Holmen popatrzył na nią zaskoczony.

– Muszę-ićć-do-łazienki – wyrzuciła z siebie Katherine jednym tchem, nie rozdzielając sylab. Nie czekała na pozwolenie, tylko odwróciła się i wybiegła z klasy, zostawiając plecak.

Popędziła korytarzem, jakby osobiście ją obraził, i wcale się nie zdziwiła, gdy stwierdziła, że drzwi małego kantorka woźnego – obok których przechodziła codziennie po kilka razy – zniknęły. Na ich miejscu pojawiły się wysokie dębowe. Dokładnie na poziomie jej oczu znajdowała się kwadratowa ramka z rzeźbionych owoców i kwiatów. **BĄDŹ PEWNA**, głosiły wyryte na niej słowa. I w tym momencie Lundy niczego nie była bardziej pewna.

– Zaczekajcie tu chwilę – poprosiła uprzejmie, patrząc na drzwi. – Muszę wrócić po plecak.

Określiła się na pięcie i pomaszerowała z powrotem do klasy.

Pan Holmen gwałtownie uniosł głowę, kiedy weszła.

– Masz karę – oznajmił. – Nie wolno wychodzić z klasy bez pozwolenia.

– Zarzygałam całą łazienkę – oznajmiła Lundy spokojnie.

Niektóre dziewczynki wyglądały na wstrząśnięte. Większość chłopców parsknęła śmiechem. Katherine nie obeszła ich reakcja. Cudowną stroną braku przyjaciół było to, że nie musiała się przejmować tym, co pomyślą o niej inne dzieci. Niech myślą, że jest chamska albo wulgarna, skoro tak chętnie mówi o rzeczach, które zrobiło jej ciało... albo w tym wypadku nie zrobiło. Opuszczała to miejsce.

Wracała do domu.

– Idę do gabinetu. Powiem ojcu, że źle się czuję.

Lundy podeszła do swojej ławki i wzięła plecak. Zauważyła, że policzki pana Holmena płoną czerwienią. Nauczyciel nienawidził przypominania, że to jej ojciec kieruje szkołą. Lundy nie miała w związku z tym żadnych szczególnych przywilejów – jeśli już, to częściej ją karano niż nagradzano – ale w sytuacjach takich jak ta okazywało się, że nie można pokonać dziecka, którego kartą przetargową jest ojciec dyrektor.

– Potrzebujesz eskorty? – zapytał nauczyciel, a jego słowa były ciężkie niczym kamienie.

Większość klasy zachichotała, nie z powodu jej wymiotów, ale utraty twarzy przez pana Holmena.

– Nie, dziękuję – powiedziała Lundy.

Przewiesiła plecak przez ramię i wyszła.

Przypuszczała, że pan Holmen zostanie zwolniony po jej zniknięciu za to, że wypuścił ją z klasy bez należytej opieki. Stwierdziła jednak, że nic jej to nie obchodzi. Nauczyciel nie powinien traktować jej tak, jakby się nie liczyła. Nie powinien traktować jej zgodnie ze swoim wyobrażeniem dziewczynki.

Gdy wróciła na korytarz, drzwi nadal tam były. Lundy uśmiechnęła się i przyśpieszyła kroku. Kiedy gałka znalazła się w jej ręce, a nozdrza wypełnił zapach świeżego dębu, poczuła, że jej gniew słabnie, że zrzuca go z siebie jak wąż skórę. Drzwi zatrzęsnęły się za nią, a Lundy nawet się nie obejrzała. One już zniknęły, więc ona też.

I znowu otworzył się przed nią korytarz wydrążony w żywym ciele drzewa i prowadzący na Targ Goblinów. Tunel znowu kończył się niezaryglowanymi drzwiami i tylko jeden krok dzielił ją od lepszego, bardziej radosnego świata, który, jak bardzo starała się kiedyś samą siebie przekonać, był snem. Gdy dotarły do niej zmieszane zapachy setek niemożliwych istot, zatrzymała się, oddychając głęboko i pozwalając, żeby dźwięki i widoki Targu otoczyły ją, wzmocniły i odnowiły.

Dla niej minęły dwa lata. Na Targu mogło ich minąć dwa razy więcej, sądząc po zmianach, które dostrzegła. Stragany przesunięto. Kilka wozów zniknęło, pojawiło się kilka nowych. Ale szalona różnorodność towarów była tak samo nieczytelna jak zawsze, przechodzący ludzie dziwni jak za

pierwszym razem. Lundy zamknęła oczy i nadal wypełniała płuca Targiem Goblinów, żeby pozbyć się z nich wszelkich pozostałości szkoły.

W brzuchu jej zaburczało. Lundy ze śmiechem otworzyła oczy i zagłębiła się w jarmark, pozwalając, żeby stopy same ją prowadziły.

Do pewnych rzeczy stopy mają lepszą pamięć niż mózg, a jej dobrze pamiętały drogę do straganu, przy którym Vincent akurat wyjmował z pieca blachę ze słodkimi plackami owocowymi. Te z pieczoną jagnięciną, nadziewane pigwami, studziły się na ladzie obok tych z kurczakiem. W brzuchu Lundy zaburczało jeszcze głośniej.

– Dzień dobry – powiedziała z niezwykłą uprzejmością.

Nawet na Targu Goblinów dorośli lubili, kiedy wyglądała na grzeczną i potulną. Najwyraźniej uważali dobrze wychowane dzieci za ponadprzeciętne i stąd zasługujące na lepsze traktowanie. Było to w najlepszym razie głupie, a w najgorszym niebezpieczne – niektórzy z najpaskudniejszych szkolnych prześladowców potrafili w mgnieniu oka zdobyć się na doskonałe maniery – ale działało to na jej korzyść, kiedy tylko tego chciała.

Vincent się odwrócił i jego oczy rozszerzyły się odrobinę na widok jej wyprasowanej spódniczki i białej szkolnej bluzki.

– Wróciłaś – stwierdził. – Księżyc dwa razy próbowała zgarnąć twój przydział, ale powiedziałem jej, że umowa to umowa. I zdaje się, że teraz i tak muszę je wydać.

– Ile placków zostało na moim rachunku? – Wydawało się, że jest to bezpieczne pytanie, niewymagające dodatkowej zapłaty.

– Na twoim dwa z mięsem i dwa z owocami, na jej żaden.

– Potrzebuje pan ołówków? – Uśmiech Lundy był słodki, kiedy zdjęła plecak z ramienia i zanurzyła w nim rękę. Wyciągnęła trzy. Były niezaostrzone, z idealnymi gumkami do ścierania. Nosila je przez ponad rok, odkąd pierwszy raz zaświtała jej niejasna, dręcząca myśl o powrocie.

Zbierała wszystkie rzeczy na handel po trzy i starała się o tym nie myśleć, nawet jeśli w głębi serca, w tej części, która nadal płakała i zawsze miała płakać, wiedziała, że Drwina już nie potrzebuje ołówków ani placków. Drwina odeszła na zawsze.

Vincent wybałuszył oczy i zrobił minę, jakby walczył z pokusą, żeby oblizać usta.

– Zawsze potrzebuję ołówków – powiedział. – Dzięki nim łatwiej prowadzić rachunki.

– Te ołówki są lepsze niż z poprzedniej partii. Na długo wystarczą, a gumki w ogóle są nieużywane.

Piekarz się ożywił, wyczuwając interes.

– Tak, ale ja nie mam temperówki.

– Naprawdę? – Lundy uśmiechnęła się triumfująco, wyjmując z kieszeni temperówkę. – Mógłby pan zapisywać wszystko przez bardzo długi czas, gdyby pan ją miał.

Tym razem Vincent oblizał wargi.

– Co za nią chcesz?

To było niebezpieczne pytanie. Pułapka.

– Jaka byłaby uczciwa cena? Skoro dziesięć placków z mięsem i dziesięć z owocami było uczciwą ceną za dwa używane ołówki...

– Jeden z owocami i jeden z mięsem codziennie przez rok.

– Za wszystkie trzy... – Lundy się zawahała. – Dla nas obu?

Vincent skrzywił nos.

– Tak – zgodził się w końcu. – Dla was obu.

Lundy z szerokim uśmiechem położyła ołówki i temperówkę na ladzie. Potem wyciągnęła przed siebie rękę.

– Placki, poproszę.

Pachniały bosko. Pachniały niczym powrót do domu.

Lundy szła pod drzewami w stronę chaty Archiwistki z rękami pełnym placków, a mięso, owoce i ciasto błagały ją, żeby usiadła i zjadła wszystko, napchała się tak, że pasek spódniczki ścisnęły jej brzuch i wszystko znowu nabrało sensu. Odmówiła sobie nawet kęsa. Dwa placki były dla Księżyc, a ona wiedziała, że gdyby spróbowała choćby okruszek, nie byłaby już w stanie się powstrzymać. Przyjaciele nie robią takich rzeczy przyjaciołom.

Zabawne. Z tym, że nigdy nie będzie miała przyjaciół; pogodziła się z tym, kiedy była taka mała, że ledwo pamiętała swój wybór, ale nie żałowała go ani przez chwilę. Większość dzieciaków, z którymi chodziła do szkoły, nie potrafiła zapomnieć o jej ojcu, a tym nielicznym, którzy próbowali, chyba nie spodobało się to, co znaleźli. Za bardzo obstawała przy swoim, za bardzo upierała się przy przestrzeganiu zasad. Za bardzo lubiła towarzystwo dorosłych i za dużo czytała. Z kimś takim nie chcieli spędzać

czasu i gdyby nie jej ojciec i niechęć do uderzenia dziewczyny, prawie na pewno spędzałyby weekendy na pielęgnowaniu podbitych oczu i opowiadaniu kłamstw, skąd się wzięły siniaki.

Księżyc raczej nie nadawała się na dobrą przyjaciółkę. Szalona i dziwna, przestrzegała zasad tylko dlatego, że nie chciała zostać ukarana. Bardziej obchodziła ją uczciwa cena niż cokolwiek innego. Ale Lundy to nie przeszkadzało. Księżyc była jej przyjaciółką, pierwszą przyjaciółką i dlatego najlepszą. Na pewno się ucieszy, kiedy zobaczy, że Lundy wróciła. I to wróciła z ciastem!

Może dzięki plackom Księżyc łatwiej wybaczy, że Lundy uciekła, kiedy obie cierpiały, pogrążone w smutku i żalobie. Śmierć nie była sprawiedliwa. Śmierć nie mogła być uczciwą ceną za cokolwiek, ani za świat bez Drwiny, ani za górę placków sięgającą nieba. Śmierć nie przestrzegała zasad Targu Goblinów; Lundy była zrozpaczona, oszołomiona i niepewna, a stopy miały taką dobrą pamięć. Jej pamiętały, jak to jest biec do domu po pociechę, i właśnie to zrobiła.

Dziewczyna zadrzała, kiedy wyszła na polanę przed chatą Archiwistki. Gałęzie drzew uginały się od ptasiego ciężaru. Kilka ptaków zniknęło w ciągu tych dwóch lat jej nieobecności i najwyraźniej zastąpiły je nowe. Śnieżna sowa z oczami koloru nieba nad lodowcem wydała żalobny dźwięk na jej widok.

– Tobie też hu-hu – powiedziała Lundy uprzejmie. – Pewnie nikt cię nie ostrzegł, żebyś unikała zadawania pytań. Kim jest Lundy, dziękuję, proszę, szukam Księżyc, a kiedy ją znajdę, zjemy placki. – Czuła się bardzo dorosła i zadowolona z siebie, że pomyślała o prezencie na powitanie.

W tym momencie drzwi się otworzyły i na chwiejny ganek wyszła sama Archiwistka. Przez chwilę wyglądała na zdziwioną, potem jej twarz złagodniała.

– Lundy. Nie byłam pewna, czy jeszcze cię zobaczymy.

– Nadal ma pani książki, które muszę przeczytać. Przyniosłam placki dla siebie i dla Księżyc. – Lundy umilkła z wyczekującą miną. Nie musiałaby płacić za informację o miejscu pobytu Księżyc, jeśli o nią nie spyta, więc czekanie – zwłaszcza w milczeniu – często działało lepiej niż zadawanie pytań.

Kiedy za pierwszym razem wróciła z Targu Goblinów, przyrzekła sobie i ojcu (jej ojcu! kto by pomyślał, że człowiek, który był w takim miejscu, przeżył taką samą przygodę jak ona, wyrośnie na zwyczajnego nudziarza

jak jej ojciec!), że już nigdy nie odejdzie. Targ ją zranił, nawet jeśli nie miał takiego zamiaru. Zabił Drwinę. Nie zaoferował żadnej z nich uczciwej ceny.

Ale ona wiedziała, prawda? Już wtedy ćwiczyła pytania, które nie były pytaniami, szukała sposobów, jak uniknąć zaciągania długów. Zamierzała wrócić od chwili, kiedy stąd uciekła.

Archiwistka pokiwała głową.

– Byłaś młodsza. Miałaś ochronę, bo nikt nie chce czuć, że potraktował niesprawiedliwie kogoś, kto nie rozumie. Teraz nie jesteś chroniona.

– Tak, proszę pani. – Lundy nie czuła się chroniona, odkąd Drwina umarła.

– Musisz być ostrożna i musisz przestrzegać zasad. Nie możesz liczyć na Księżyc, że weźmie na siebie twoje długi.

Lundy ogarnęły wyrzuty sumienia. Zaciągnęła dwa długi, kiedy pierwszy raz była na Targu Goblinów, a Księżyc przejęła oba, jakby to uzgodniły, ale nie powiedziała jej dokładnie, co to oznacza. Lundy założyła, że przyjaciółka już je do tej pory spłaciła.

Może Księżyc miała jakiś dług, który ona mogłaby od niej przejąć, żeby wyrównać rachunki.

– Tak, proszę pani.

Archiwistka westchnęła.

– Och, być młodą, niewinną i głupią. – Wskazała na wąską ścieżkę prowadzącą do lasu. – O tej porze dnia będzie przy strumieniu. Pamiętaj, że nie pytałaś, tylko pokazałaś. To, co znajdziesz, będziesz sama musiała znieść. – I wróciła do chaty.

Lundy przez chwilę patrzyła na dom, marszcząc brwi, a potem ruszyła w stronę ścieżki. Szlak był wydeptany, jakby ktoś chodził nim regularnie. Lundy także nim podążyła, przez całą drogę czując zapach placków, aż usłyszała, jak strumień chichocze do siebie. Przyśpieszyła kroku i za małym zakrętem dojrzała znajomą postać kucającą na brzegu.

– Wróciłam! – zawołała z dumą i radością.

Księżyc się odwróciła.

Lundy zamarła i tylko dzięki temu nie upuściła placków.

Oczy Księżyc, duże i pomarańczowe, jeszcze bardziej się powiększyły, tak że teraz zajmowały niemal połowę jej twarzy i patrzyły w sposób, do którego ludzkie oczy nie były przystosowane. Usta, zaciśnięte, błyszczące i twarde, wyglądały jak pancerz chrząszcza... albo dziób. A palce, och. Jej

palce zrobiły się jeszcze dłuższe, tak że już nie mogłaby zacisnąć dłoni w pięści.

– Cześć, Lundy – powiedziała Księżyc.

– Przyszłam... wróciłam – powtórzyła Lundy. – Ty...

– Długi. – W głosie Księżyc pobrzmiwał śmiech, kpiący i smutny, który nie dotarł do jej zaciśniętych ust. – Byłam samotna bez ciebie i Drwiny, smutna, nieostrożna i chyba przesadziłam. Teraz jestem prawie spłukana, a ostatnia uczciwa cena, jaka mi została, to odfrunąć.

– Ty... – Lundy przełknęła ślinę. – Stajesz się ptakiem.

– Tak. – Księżyc zamrugła niemożliwymi oczami. – Myślałam, że wiesz. Czy dziewczynki mają pomarańczowe oczy w świecie, z którego pochodzisz?

– Nie. Ale nie wiem, z jakiego świata pochodzisz. U ciebie to może być normalne. – Lundy zmusiła nogi, żeby przeniosły ją bliżej. To nie jest zaraźliwe, pomyślała, ale te wszystkie klatki... Jeszcze nigdy w życiu bardziej nie pragnęła uciec. – Kupiłam placki.

– Dałaś uczciwą cenę?

– Trzy ołówki i temperówkę, a obie dostałyśmy placki na cały rok. – Wyciągnęła lewą rękę, podając zdobycz przyjaciółce. – Musisz być głodna. Jedz.

Księżyc sięgnęła po placki, ale szybko cofnęła rękę.

– Nie zapłaciłam za nie.

– Dwa z tych długów, które masz, są moje. Czy to nie oznacza, że mogę dać ci placki, żeby zacząć je spłacać? Rok placków. Czy to nie jest nic warte? – Obie były przy tym, jak Drwina upadła i wszystko się zmieniło. Czy tamto nie miało żadnej wartości?

– Ja... – Księżyc się zawahała. – Może być.

Ostrożnie wyciągnęła rękę i wzięła placek. Kiedy unosiła go do stwardniałych ust, zamknęła niemożliwe oczy.

Pierwszy kęs bardziej przypominał skubnięcie, jakby Księżyc już nie mogła normalnie rozciągnąć warg. Drugi był bardziej entuzjastyczny. Pod koniec dziewczyna wręcz pożerała placek i uśmiechała się szeroko, a jej usta zmiękły i bardziej przypominały ludzkie. Gdy otworzyła oczy, posłała Lundy promienny uśmiech.

– Wystarczyło! – zakrakała. – Wystarczyło dać uczciwą cenę! Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Lundy podała jej drugi placek, nie myśląc o tym, za którą część zmienionego ciała przyjaciółki jest odpowiedzialna. Przy pierwszej oszałamiającej wizycie zgodziła się, żeby Księżyc wzięła na siebie jej dług, ale nie wiedziała, na co się zgadza. Na tę myśl od razu poczuła wstyd. To ona się zadłużyła. Gdyby Księżyc chciała przenieść ten dług z powrotem na nią, mogła to zrobić.

Jej oczy były już wcześniej pomarańczowe, ale nie takie duże. Może każdy dług znaczy dużo więcej, kiedy już tyle się ich ma, pomyślała.

Księżyc jakby czytała w jej myślach, bo zapytała:

– Chcesz teraz przejąć ode mnie ten dług?

Nie, pomyślała Lundy.

– Tak – powiedziała,

Przyjaciółka ujęła jej dłonie. Jej skóra była chłodna, jakby już nie potrafiła zapanować nad własną ciepłotą. Jakby Księżyc potrzebowała piór, żeby się chronić przed zimnem.

Mrowienie przebiegło po rękach Lundy niczym dreszcz. Gdy Księżyc się odsunęła, jej palce były krótsze, znowu prawie zwyczajne. Lundy spojrzała na swoją dłoń i zobaczyła, że jej paznokcie są ostrzejsze, spiczaste niczym pazury.

Spojrzała na Księżyc. Przyjaciółka uśmiechnęła się do niej z nadzieją.

– Nie jest tak źle – rzuciła pocieszającym tonem. – Łatwo go spłacisz.

– Więc zaczynamy – powiedziała Lundy.

Leć, leć z dala od domu

Księżyc była dostatecznie ptasia, żeby spać na drzewie, otulona jedynie powietrzem. Lundy, nadal całkiem ludzka dziewczynka, miała inne pojęcie o wygodnym łóżku. Kiedy słońce zaszło, stanęła przed chatą Archiwistki i uniosła rękę, żeby zapukać, ale nie potrafiła dokończyć gestu.

Wciąż raniła sobie skórę nowymi, ostrymi paznokciami, zapominała o nich, kiedy odgarniała włosy z twarzy albo drapała miejsce po ukąszeniu owada. Gdyby nocowała na zewnątrz, narażona na ataki licznych komarów, wstałaby rano obdarta ze skóry. Ale gdyby Archiwistka chciała uczciwej ceny za miejsce do spania na jej podłodze...

Targ Goblinów wydawał się piękną przygodą podczas pierwszej wizyty, miejscem, gdzie zasady miały sens, a kary były sprawiedliwe. Potem stał się okropnym światem, w którym przyjaciele mogli umrzeć i już nigdy nie wrócić. Może prawda leżała gdzieś pośrodku, ale teraz Lundy rozumiała, ile można tu stracić, więc się bała.

Rękę nadal miała uniesioną, kiedy drzwi się otworzyły i stanęła w nich Archiwistka. Spojrzała najpierw na twarz Lundy, potem na jej paznokcie. Uśmiech rozciągnął kąciki jej ust.

– Widzę, że znalazłaś przyjaciółkę – zauważyła. – Przypuszczam, że szukasz miejsca do spania.

Bojąc się pytań, za które nie mogłaby zapłacić, Lundy w milczeniu pokiwała głową.

– Mam książki, które trzeba ułożyć. Zajmie to trochę czasu. Jeśli chcesz popracować godzinę każdego wieczoru, mogę dać ci ciepłe miejsce przy kominku. Czy to wydaje się uczciwą ceną?

Godzina wieczorem oznaczała, że zostanie jej jeszcze dużo czasu, by pójść na Targ z Księżyc, poszukać sposobów na spłacenie długu i uratować swoje człowieczeństwo. Może nawet wystarczyłoby go na odkupienie normalnych paznokci. Z entuzjazmem pokiwała głową.

- Cudownie – powiedziała.
- Doskonale. – Archiwistka zaprosiła ją gestem do środka.

Książki nie były rozmieszczone w żadnym określonym porządku, ale Lundy stwierdziła, że ich sortowanie jest całkiem kojącym i angażującym rodzajem dziwnej gry przypominającej tę w zbieranie różnych przedmiotów po całej chacie. Książek używano tu do podpierania stołów i poziomowania regałów. Leżały w stosach na powierzchniach, na których leżeć nie powinny, albo były upchnięte pod cienki materac Archiwistki. W wypadku tych, które stały się podpórkami, Lundy używała szkolnej linijki, żeby zapisać ich wysokość, a następnie udawała się na poszukiwanie kamieni albo kawałków drewna, które pełniłyby tę rolę równie dobrze, jeśli wręcz nie lepiej. Na widok książek narażonych na działanie wody i innych żywiołów przewróciła oczami i zabrała je do miejsca bezpiecznego dla literatury.

Książki pod materacem zmusiły ją do myślenia. Gdy próbowała zdecydować o ich losie, usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się i zobaczyła, że Archiwistka spogląda na nią życzliwie.

Lundy zaczerpnęła odwagę z tego wyrazu twarzy i spytała:

- Co powinnam z nimi zrobić?
- Zostaw je. One mają złe sny, a ja staram się im pomóc.

Po tym wszystkim, co Lundy widziała na Targu Goblinów – centaury, które pieką placki, dzieci, które zmieniają się w ptaki, paznokcie przekształcające się w szpony – nie zdziwił jej pomysł z wkładaniem książek pod materac, żeby je uspokoić.

– Aha – mruknęła i ruszyła do drzwi.

– Nie. – Archiwistka położyła dłoń na jej ramieniu. – Uczciwa cena oznacza, że skończyłaś na dzisiaj i powinnaś iść spać. Dzieci potrzebują odpoczynku.

Lundy się zawahała.

– Dałam uczciwą cenę?

– Tak. – Archiwistka spojrzała na jej szpony. – Jutro będziesz szukała innych sposobów, żeby oddać dług?

– Zostawiłam Księżyc samą, kiedy była smutna, i ona się zagubiła. Obiecałam, że pomogę jej znaleźć drogę powrotną.

– Obietnice to forma uczciwej ceny, póki są dotrzymywane. – Archiwistka puściła ramię Lundy. – Jeśli ty i Księżyc pójdziecie na obrzeże Targu, znajdziecie mężczyznę, który robi pranie w strumieniu. On zawsze szuka pomocy, a niewielu ludzi ją mu oferuje. Pranie jest ciężkim, męczą-

cym zajęciem, ale właśnie dlatego dobrze płaci i może być chętny do uregulowania długu.

Lundy, przyzwyczajona do tego, że dług to sprawa pojedynczego człowieka, a nie całej społeczności, przygryzła wargę i skinęła głową.

– Mogę zadać pytanie?

– Możesz, a odmówię odpowiedzi, jeśli będzie wymagała zapłaty.

– Dlaczego... dlaczego Księżyc tonie w długach, skoro tak łatwo je spłacić?

– Chodź ze mną do kominka.

Archiwistka mówiła, idąc, tak że Lundy, chcąc nie chcąc, musiała pójść za nią, bo inaczej przegapiłaby jej słowa.

– Jeszcze tutaj nie mieszkasz, jeśli w ogóle kiedyś będziesz. Jesteś turystką, letnim gościem, który przychodzi i odchodzi. To daje ci pewną elastyczność, jeśli chodzi o zasady. Ludzie chętnie ci pomogą w spłacie długów, bo nie będą chcieli, żebyś zabrała je ze sobą do swojego świata.

– Księżyc jest w tym samym wieku co ja – odparła Lundy. – Dlaczego ona nie jest letnim gościem?

– Zostawiła ją tutaj matka, która kiedyś była jedną z nas, ale postanowiła nas opuścić dla letniego świata takiego jak twój – wyjaśniła Archiwistka. –

Nie wiem, jak ostatnim razem przekonała drzwi, żeby się otworzyły. One nie powinny były tego robić. Muszę wierzyć, że w jakiś sposób za to zapłaciła. Ale zostawiła dziecko, a Księżyc złożyła przysięgę obywatelską, kiedy ledwo sięgała mi głową wyżej kolan. Może nie należało jej na to pozwolić. Może powinna była pozostać turystką, przynajmniej póki nie będzie dostatecznie duża, by sprawdzić, czy drzwi do świata jej matki się otworzą. Byliśmy wszystkim, co miała. Kiedy zapytała, czy ją odeślemy, mogliśmy powiedzieć coś innego niż: „nie” i „nigdy”. Zasady nie dopuszczają żadnych wyjątków ze względu na wiek. Gdy raz zostajesz obywatelem Targu Goblinów, zawsze będziesz obywatelem, i płacisz tak samo jak każdy. Wszyscy płacą.

Lundy przygryzła wargę i patrzyła, jak Archiwistka rozkłada koce na podłodze przed kominkiem, szykując prowizoryczne, ale zdatne do użytku legowisko. W końcu spytała:

– Czym jest przysięga obywatelska?

– To obietnica, którą składasz Targowi Goblinów, kiedy jesteś pewna, że chcesz tu zostać. Obietnica, którą składasz sobie. – Archiwistka posłała jej spojrzenie z ukosa. – Jesteś pewna?

Lundy – która wróciła mimo złożonej obietnicy, bo była zła, zraniona, smutna i nie mogła sobie wyobrazić, że spędzi choć jedną minutę dłużej wśród ludzi, którzy mówili jedno, a mieli na myśli co innego, którzy kłamałi, zdradzali i patrzyli na nią z góry, bo nie była towarzyska, łagodna i miła, czyli taka, jaka według nich powinna być dziewczynka – pokręciła głową, szybko i gwałtownie.

– Nie. Nie jestem pewna. Nie myślałam... kiedy odchodziłam, sądziłam, że odchodzę na zawsze. Nie myślałam, że wrócę.

– Bo byłaś smutna.

– Bo byłam smutna. – Lundy spojrzała na Archiwistkę z dziecięcą naiwnością i zapytała: – Dlaczego Drwina musiała umrzeć?

– Wszystkie istoty umierają, dziecko. To część uczciwej ceny. W końcu nawet Targ umrze i stanie się kolejnym wielkim cmentarzyskiem, które wypełni mury między światami. Twoja przyjaciółka była bardzo odważna i bardzo bystra. Została zdradzona, kiedy umarła za wcześnie. Ale dzięki niej ty i Księżyc mogliście zabić Królową Os, choć była starsza, mądrzejsza i potężniejsza od was, prawda?

Lundy w milczeniu pokiwała głową, odpychając wspomnienie tego, jak bardzo wrzeszczała ta krucha, straszna bestia.

– Ten świat starał się dać uczciwą cenę za coś, co nie powinno się wydarzyć o tyle za wcześnie. W twoim świecie niesprawiedliwe rzeczy mogą się dziać bez konsekwencji. Tutaj, w chwili gdy Królowa Os zabiła niewinną, była skazana na przegraną.

– To też nie wydaje się sprawiedliwe – stwierdziła Lundy. – Drwina nie zrobiła nic złego.

– Czasami „sprawiedliwe” oznacza coś więcej. – Archiwistka podała jej poduszkę. – Czasami „sprawiedliwe” oznacza myślenie o tym, co jest najlepsze dla wszystkich. Ty jeszcze nie musisz być pewna, Lundy. Pamiętaj o godzinie policyjnej. Jeszcze masz czas.

Odwróciła się i poszła do swojego łóżka. Ułożyła się do snu, nie rozbiegając się ani nie myjąc zębów. Lundy nie wiedziała, czy powinna zrobić te rzeczy, czy na Targu Goblinów panują inne zasady. Teraz była starsza, ale czysta piżama i czyste zęby wydawały się jeszcze ważniejsze niż kiedyś, jakby piaskowy dziadek – jeśli faktycznie istniał – nadal mógł oceniać jej higienę.

Lecz nic nie mogła zrobić. Nie planowała zostać zbyt długo. Przyszła tu bardziej z powodu złości na nauczyciela niż smutku po stracie Drwiny.

Chciała uciec na jakiś czas, ochłonać i wrócić do szkoły skruszona, kiedy już pan Holmen nauczył się nie traktować dziewczynek tak, jakby były gorsze od chłopców. Ale Księżyc jej potrzebowała, a ona nie mogła opuścić przyjaciółki, zwłaszcza takiej, której kłopoty przynajmniej częściowo wynikały z błędów Lundy.

I nawet gdyby Księżyc pozwoliła jej odejść, ona nie mogła tego zrobić, póki jej paznokcie były szponami, nieprawdopodobnymi rzeczami, które nie powinny się znajdować na dłoniach małej dziewczynki i które poza Targiem Goblinów wyróżniałyby ją niczym potwora albo coś jeszcze gorszego. Ojciec by się rozplakał na ich widok, załamałby się jak wtedy, gdy wróciła do domu. Matka nigdy by nie zrozumiała. Nawet Diana uciekłaby od niej z krzykiem. Więc nie: nie miała wyboru.

Lundy wyciągnęła się na kocach, położyła głowę na poduszce, która pachniała owsem i lawendą, i pozwoliła, żeby trzaskanie ognia ukołysało ją do snu.

Kiedy się obudziła, w chacie było jasno od blasku słonecznego wlewającego się przez szpary w ścianach. Lundy przeciągnęła się leniwie i skrzywiła, gdy poczuła paskudny smak w ustach. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby wyszorować zęby, jeśli miała znowu tutaj nocować. Po prostu nie było innego wyjścia.

– O, dobrze, że już nie śpisz.

Lundy krzyknęła i usiadła gwałtownie. Księżyc, która kuciała na niskim stoliku przy frontowych drzwiach, aż zmrużyła oczy na ten dźwięk.

– Niezłe płuca – skomentowała. – Założę się, że zmieniłabyś się w przedrzeźniacza. Albo może w jedną z tych dużych papug, które potrafią mówić, choćby nie wiadomo jakie duże dzioby miały. Nie wszyscy zostają papugami. Zawsze miałam nadzieję, że nią będę, aż moje pierwsze pióra okazały się brązowe. – Wyrwała jedno, które zaplątało się jej we włosy.

Lundy ścisnęła się żołądek, kiedy zrozumiała, że pióra, które początkowo brała za jakąś modną ozdobę, tak naprawdę wyrastały ze skóry głowy Księżyc. Nic dziwnego, że Drwina się roześmiała, kiedy Lundy poprosiła, żeby jej też wplotła podobne we włosy. Nic dziwnego, że ojciec zareagował tak

źle, kiedy wróciła do domu z Targu Goblinów z puchem na karku. Na pewno pomyślała, że już narobiła długów.

Czy w świecie innym niż Targ dziewczynkom mogły rosnąć pióra? Gdyby zabrała Księżyc ze sobą – chwyciła ją teraz za rękę i pobiegła do drzwi – pióra by wypadły czy obie pozostałyby dziwadłami do końca życia, dziećmi ptakami, których miejsce było raczej w zoo niż w szkolnej ławce?

– Zaskoczyłam cię? – Księżyc ze skruszoną miną usiadła na piętach. – Nie chciałam. Ale spałaś bardzo długo, ja jestem głodna, a Archiwistka powiedziała, że idziemy dzisiaj do jakiejś pracy, żeby spłacić więcej moich długów.

– Jest pewien mężczyzna – powiedziała Lundy, gdy wrócił jej dech. – Robi pranie. Może nam pozwoli, żebyśmy mu pomagały.

– Aha. – Księżyc spochmurniała. Uniosła ręce, które chociaż teraz bardziej zbliżone do normalnych, nadal były długie i chude. – Nie mogę składać ubrań. Moje palce nie chcą się zginać we właściwy sposób.

– W porządku. – Lundy stwierdziła, że kładzenie się spać w ubraniu ma swoje dobre strony. Była od razu gotowa do działania i czuła się, jakby mogła przebiec milę, gdyby tylko musiała. – Ja to zrobię. Moje ręce są sprawne, a kiedy spłacę szpony, będą jeszcze sprawniejsze. Wtedy ty się wykupisz.

– Nie mogę zapłacić ci za taką hojność.

– Więc złożymy następną obietnicę. – Księżyc wyglądała na taką kruchą i zagubioną, że Lundy nie mogła sobie wyobrazić, że mogłaby nie spróbować jej pomóc. Musiały pomagać sobie nawzajem. Jeśli to nie była jedna z zasad, powinna nią być; powinna wisieć na korytarzu razem w innymi. – Ja będę pracować do czasu, aż staniesz się bardziej dziewczynką niż ptakiem i wtedy ty mi pomożesz, jeśli będę tego potrzebowała. To uczciwa cena, prawda? Zasady mówią, że mogę za ciebie pracować, jeśli kiedyś mi zapłacisz. Tak jak mówiły, że możesz dostać połowę placków.

– Myślę, że to uczciwa cena – przyznała Księżyc z namysłem, a potem bardziej zdecydowanie: – Wiem, że to jest uczciwa cena. Znalazłyśmy uczciwą cenę! Chodźmy!

Chwyciła ją za nadgarstek długimi, dziwnymi palcami i pociągnęła na nogi. Lundy nie wzdrygnęła się pod jej dotykiem. Razem wypadły z chaty i pobiegły ścieżką. Obeszły skraj wielkiego oddychającego cielska Targu, aż dotarły do platformy zbudowanej nad strumieniem. Mężczyzna, tak stary

i pomarszczony, że mógłby być ich dziadkiem, mieszał kijem pranie w dużych drewnianych baliach.

Gdy je zobaczył, zmarszczył nos i rzucił:

– Dwa guziki za coś tak brudnego jak to, co macie na sobie. I nie mogę obiecać, że zostaną wszystkie wstążki, kiedy skończę.

– Nie przyszłyśmy prosić, żeby pan więcej pracował – oświadczyła Lundy, która zawsze była uprzejma dla dorosłych i wyczuwała, że u tego człowieka dzieci nieczęsto szukają życzliwości. – Miałyśmy nadzieję, że my będziemy mogły trochę dla pana popracować. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Starzec uniósł brwi, patrząc najpierw na Lundy, a potem na niemożliwe palce Księżyc.

– Jestem zbyt zmęczony, by brać na siebie długi głupich dziewczynek, które nie potrafiły wyznaczyć uczciwej ceny – zaburczał. – Musiałybyście same przyjmować pranie i robić wszystko jak należy, żadnego lenienia się ani zbijania bąków. To będzie trudne, męczące i nie takie zabawne jak bieganie po lesie przez cały dzień.

– Tak, ale przynajmniej na koniec nie odlecimy – powiedziała Lundy. – Myślę, że możemy znieść trochę ciężkiej pracy, jeśli dzięki temu zostaniemy na ziemi.

Księżyc, bliższa przemiany w ptaka i dlatego bliższa nieba, zrobiła niepewną minę, ale się nie odezwała. Nadal była w dostatecznym stopniu człowiekiem, żeby chcieć nim pozostać. Jeśli w jej sercu istniał punkt zwrotny, to ona jeszcze do niego nie dotarła.

Starzec przesunął po nich wzrokiem i westchnął.

– Dobrze. Przyda mi się odpoczynek. Możecie używać moich zapasów, a w zamian oddacie mi połowę tego, co zarobicie. Mydło nie rośnie na drzewach, wiecie, chyba że nagle pogoda zrobi się dziwna.

Wrócił do mieszania w baliach. Lundy nie wyglądało to na odpoczynek, ale co ona tam wiedziała? Nie była starcem i nie prowadziła własnego interesu. Nie mogła użyć określenia „zakład”, bo nie widziała tu żadnego budynku, szyldu ani nawet wizytówki, wszystkich tych rzeczy, które nauczyła się kojarzyć z posiadaniem firmy.

Razem z Księżyc usiadły z boku na kamieniach i czekały, aż ludzie przyniosą pranie.

Pierwszy zjawił się wyraźnie znękany mężczyzna z długim krowim ogonem i czwórką dzieci drepających obok niego. Wszystkie miały takie same

ogony jak on, a z czół dwóch dziewczynek wyrastały zakrzywione rogi ozdobione imponującą liczbą kokard. Klient niósł całe naręczna ubrań i próbował wcisnąć je starcowi.

– Nie dzisiaj – powiedział starzec i wskazał palcem na Lundy i Księżyc. – Te bystre młode stworzenia odpracowują tutaj dług. Im daj to wszystko. Zapłata jak zwykle, a jeśli ich praca nie będzie wystarczająco dobra, wezmę uczciwą cenę za ich skóry.

Człowiek krowa – albo raczej człowiek byk – zrobił powątpiewającą minę, ale i tak oddał swoje pranie.

– Wszystko musi być czyste przed południem – uprzedził. – Dzieci zaraz znajdą kałużę albo coś w tym rodzaju i trzeba będzie zaczynać wszystko od nowa.

– Może pan na nas liczyć – zapewniła go Lundy wesoło. – Wszystko będzie czyste.

Człowiek byk nadal nie był przekonany, ale jedno z dzieci znalazło żabę i właśnie zamierzało wypuścić ją do strumienia, dwoje następnych znajdowało się już w połowie drzewa, a czwarte wkładało kij do jakiejś dziury, więc klient nie miał czasu się targować.

– Dobrze – zgodził się w końcu. – Ale zapłacę, jak wrócę. I tylko za to, co dostanę.

– Uczciwa cena – przyznała Lundy z miłym uśmiechem, a człowiek byk zgarnął dzieci i ruszył w stronę potencjalnie mniej błotnistych miejsc.

Kiedy Lundy się odwróciła, zobaczyła, że starzec na nią patrzy.

– To jak, bierzcie się do pracy? – zapytał.

Ręczne pranie okazało się jeszcze trudniejsze i mniej przyjemne niż Lundy, która nie znała życia bez pralki, mogła podejrzewać. Najpierw musiały namoczyć ubrania, a wydawało się, że materiał przeciwko temu protestuje i odmawia nasiąknięcia, choć dziewczynka wiedziała, po prostu wiedziała, że wszystko przemokłoby w jednej chwili, gdyby tego nie chciała. Potem musiały tłuc mokrymi ubraniami o kamienie, żeby rozbić plamy, aż wreszcie przychodziła pora na mydło, szorowanie i wykręcanie.

Lundy nigdy wcześniej nie robiła takich rzeczy. Po przedpołudniu spędzonym przy strumieniu i ręcznym praniu cudzych rzeczy pomyślała, że chętnie robiłaby to codziennie, o ile miałyby pralkę. Maszyna była cudem.

Człowiek byk wrócił po swoje ubrania i bardzo zdziwił się, gdy zobaczył, że są czyste, suche i gotowe. Zapłacił właścicielowi mydła i balii gar-

ścią błyszczącego piasku i kilkoma piórami, które wypadły z włosów Księżyc.

Natomiast kobieta ze ślimakami pełzającymi we włosach była zachwycona, gdy swoje powiewne suknie dostała czyste, wilgotne i gotowe do użycia. Zapłaciła starcowi garścią pustych muszli ślimaków, które grzechotały jak kości. Twarz Księżyc się wygładziła, tak że pomarańczowe oczy już nie były tak wielkie i okrągłe jak guziki, tylko miały rozmiar zbliżony do ludzkich.

Klienci przychodzili po swoje rzeczy i stwierdzali, że uczciwa cena jest niższa od ustalonej, więc płacili, i to jeszcze jak! Starzec wyglądał na coraz bardziej zadowolonego, w miarę jak rósł dzienny utarg, a kiedy słońce zachodziło, spojrzął na dziewczynki i powiedział:

– Poradziłyście sobie lepiej, niż miałem prawo się spodziewać. Wracajcie w każdej chwili.

Gdy wręczył Lundy srebrną monetę zaśniedziałą wzdłuż brzegu, tak że wyglądała ona jak mały, uwięziony księżyc, pazury jej odpadły i jej palce znowu były po dziecięcemu serdelkowate. Lundy poczuła nieoczekiwany żal, jakby właśnie straciła coś cennego, a to przecież zupełnie nie miało sensu. Jak pazury mogły być czymś cennym?

Księżyc, która nadal miała pomarańczowe oczy i pióra we włosach, ale poza tym wyglądała jak zwyczajne dziecko, uśmiechnęła się do niej radośnie.

– Zobacz, ile zrobiliśmy przez jeden dzień! Jesteś moim szczęśliwym talizmanem.

Lundy, która chciała zapytać, w jaki sposób Księżyc narobiła tyle długów, skoro mogła je spłacić w ciągu jednego dnia pracy, schowała monetę do kieszeni i również się uśmiechnęła.

– Chyba ktoś musi nim być – stwierdziła. – Chodźmy do domu.

I tak też zrobiły.

Przy ogniu

Księżyc leżała jak kłoda przy kominku Archiwistki i chrapała z otwartymi ustami. Gospodyni popatrzyła na nią z rozbawieniem i przeniosła wzrok z powrotem na Lundy.

– Chcesz się dowiedzieć więcej o długu – stwierdziła.

Lundy, która nie zadała żadnego pytania, zdziwiła się, ale skinęła głową.

– Tak.

– Mówiłam, że tobie będzie łatwiej, bo jeszcze nie należysz do tego miejsca. Póki jesteś turystką, ludzie będą hojnie ci płacić. Twoja radość jest częścią uczciwej ceny, aż podejmiesz taką czy inną decyzję.

Lundy, której wcale nie cieszyła walka z Królową Os ani śmierć przyjaciółki, zmarszczyła brwi.

– Księżyc była tak bliska stania się ptakiem. Jej ręce, oczy i... nie rozumiem, jak ludzie mogą to robić innym.

– Nie robimy tego sobie nawzajem, dziecko. Nie rozumiesz? Tak bardzo staramy się być uczciwi wobec innych, że to cud, że nie chodzimy z księgami rachunkowymi w rękach i nie odmierzamy oddechów, by mieć pewność, że na nie zasługujemy, bo wnosimy dostateczny wkład w świat, w którym żyjemy. Zawieramy umowy na podstawie wewnętrznego poczucia sprawiedliwości, a Targ słucha, kiedy mówimy, że dostaliśmy żadaną cenę. Bo to jest działanie Targu, bez wątpienia. Mówiłam ci, kiedy byłaś młodsza, że zaczynaliśmy od jednego syna domokrążcy. Pamiętasz?

Lundy pokiwała głową.

– On był zagubiony, samotny i starał się przetrwać, a ten świat coś w nim dostrzegł. Drzwi zaczęły otwierać się częściej, sprowadzając mu kolejnych towarzyszy. Targ wokół niego się rozrastał, w miarę jak przybywało ludzi, którzy tu zostawali. Ale nie istniała jedna waluta, na którą wszyscy się zgodzili, więc gromadzenie pieniędzy było hazardem, bo drzwi mogły otworzyć się do świata, gdzie takie monety można wydać, albo i nie.

Na porządku dziennym znalazła się wymiana. Kłopot polega na tym, że wymiana prowadzi do pytań o wartość względną. Rozumiesz?

Tym razem Lundy pokręciła głową.

– Zastanów się nad tym na przykładzie twoich placków. Lubisz mieć pełny brzuch i pewnie lubisz ich smak, skoro wróciłaś do tego samego stoiska, kiedy nadszedł czas na dokonanie nowej wymiany. Dla ciebie te placki były warte tyle, ile za nie zapłaciłaś. Dla piekarza to, co mu dałaś, było warte więcej niż placki. Teraz wyobraź sobie, że prawie umierasz z głodu. Co by powstrzymało piekarza od przyjęcia od ciebie wszystkiego, co masz, w zamian za garść okruszków?

– Nie zgodziłabym się na to – oświadczyła Lundy.

– Z drugiej strony wyobraź sobie, że jesteś tak wygłodniała, że nie możesz myśleć jasno i klarownie. Jest pragnienie i jest potrzeba. Gdy czegoś pragniesz, możesz dokonywać dobrych wyborów, ale kiedy tego potrzebujesz, ważne jest, by ludzie nie próbowali wykorzystać twojej sytuacji. Kiedy nie ma ustalonych cen, a jedynie mglista idea „uczciwej ceny”, ludzie cierpią. Są oszukiwani. Na początku zdarzały się nam złe wymiany, kiedy inni patrzyli na to, co tutaj budujemy, i widzieli siebie jako bogatych i potężnych, podczas gdy reszta z nas istniałaby jedynie po to, żeby napełniać im kieszenie.

Lundy, która w swoim czasie zetknęła się z różnymi prześladowcami, nic nie powiedziała.

– Pewnego dnia wszyscy ci ludzie, którzy zaczęli dokonywać wymian w złej wierze, próbowali wykorzystać innych albo nie wypełniali umów, obudzili się i stwierdzili, że noszą na sobie ślady własnych błędów. Mieli pióra we włosach. Mieli dzioby i pazury. Wtedy ci, którzy zrozumieli, że byli nieuczciwi wobec innych, starali się wszystko naprawić i w krótkim czasie zaczęli wyglądać tak jak wcześniej. Ci, którzy... – Archiwistka znacząco spojrzała w stronę drzwi i polany, wokół której wisiały klatki z ptakami.

Kurczak w cieście francuskim nagle skwaśniał w żołądku Lundy.

– Co się z nimi stało?

– Większość uciekła. Niektórzy zrobili rzeczy tak straszne, że ich zamknięto, by chronić innych. Kilku pozostało na wolności i zapracowało na to, żeby odzyskać dawną postać. Większość z tych, którzy zmienili się w ptaki, teraz idzie za ich przykładem. Zajmuje im to bardzo dużo czasu. Ptak niewiele może zrobić, żeby spłacić długi. – Archiwistka chyba dostrze-

gła tok myśli Lundy, bo się uśmiechnęła. – Kurczaki, które hodujemy, to tylko kurczaki. Nie zjadłś pastora.

– Jakiego pastora? – spytała Lundy, ale odetchnęła z ulgą.

Archiwistka na szczęście zignorowała jej pytanie.

– Większość dzieci, które mieszkają na Targu, spędza trochę czasu jako ptaki. To je uczy oszczędności i pamiętania o obowiązkach. Ich rodzice są szczęśliwi i pomagają im dobrze wykorzystać skrzydła, chyba że dzieci zmieniły się w jakieś nieloty, ale wtedy znajdują inne sposoby. Księżyc nie ma takiego troskliwego rodzica. Gdyby pokonała całą drogę do transformacji w upierzoną istotę, ja byłabym zmuszona się ruszyć i znaleźć rzeczy, które może zrobić sowa, żeby odzyskać dziewczęcą postać. Przemiana jest trwała, tylko jeśli się na to pozwoli, jeśli nadal będzie się leniwym albo chciwym, aż umysł zmieni się w ptasi.

Lundy zmarszczyła brwi.

– Mój dziadek długo chorował, zanim umarł. Co się dzieje, jeśli ktoś jest zbyt chory, żeby dawać uczciwą cenę?

– Zdrowie to rzecz, którą można kupić, tak jak wszystko, co jest warte wymiany – odpowiedziała Archiwistka. – Ale jeśli ktoś naprawdę nie może podać uczciwej ceny, jeśli, na przykład, urodził dziecko, został ranny albo zachorował i nie zdążył dobić własnych targów, świat jest wyrozumiały. Targ stara się pozostać w równowadze, żebyśmy byli szczęśliwi, zdrowi i pracowali razem, a nie wykorzystywali siebie nawzajem w imię osobistego wzbogacenia. Matka, zmęczona sprowadzeniem życia na świat, może przez wiele tygodni być obsługiwana, wszystkie jej potrzeby będą zaspokajane, pragnienia spełniane, a my nadal będziemy jej coś winni za wielkie dobro, które nam dała. Jak można określić uczciwą cenę życia? To prawda, że czasami ten, kto żyje dostatecznie długo, czuje się zmęczony i pozwala, żeby jego zdrowie podupadło, bo chce odejść w spokoju. Potrzeby tych, którzy decydują się dbać o takie osoby, również są zaspokajane w zamian za ich troskę i współczucie. Targ wie, kiedy ktoś robi, co w jego mocy. Targ nie karze nas za ograniczenia. On tylko przypomina, że uczciwa cena stosuje się do wszystkich.

– Aha. – Lundy siedziała w milczeniu przez jakiś czas, rozważając wszystko, co usłyszała. Potem wstała. – Powinam się przygotować, zanim pójdę spać.

Archiwistka się uśmiechnęła.

– Tak. Powinnaś.

Lundy znowu obudziło światło słoneczne wlewające się przez szpary w ścianach, ale chyba bardziej było to uczucie głębokiego zadowolenia, które zaczynało się od stóp i wypełniało ją całą. Przeciągnęła się, a zadowolenie przeciągnęło się razem z nią, mrużąc niczym kot, zapewniając ją przy tym, że wszystko jest w porządku i takie pozostanie.

Księżyc nadal spała zwinięta w ciasny kłębek. Przez noc trochę piór wypadło z jej włosów. Lundy podniosła jedno i obróciła je w dłoni, a potem zatknęła za ucho. Poczowała łaskotanie, ale je tam zostawiła. Wstała i znowu się przeciągnęła, tym razem stojąc na podłodze. Ten ruch sprawił, że dotarł do niej kwaśny zapach własnej skóry, aż zakręciło ją w nosie. Skrzywiła się. Jej ubrania były czyste po całym dniu spędzonym na praniu, ale woda pełna mydlin nie dotarła do ciała. Lundy bardzo potrzebowała kąpieli.

Ostatnim razem, kiedy tutaj trafiła, miała osiem lat i całkowicie wystarczała jej kąpiel w chłodnym strumieniu, śmiech i opryskiwanie się wodą z Księżyc, kiedy szorowały się do czysta. Teraz jednak, choć Lundy miała dopiero dziesięć lat, jej ciało zaczynało robić rzeczy, które nie do końca się jej podobały. Poszerzało się w niektórych miejscach, zwężało w innych, w jeszcze innych pobolewało w sposób, na którego określenie nie знаła właściwych słów. Matka mówiła jej, że dorasta. Lundy była całkiem pewna, że na świecie nie ma uczciwej ceny, którą mogłaby podać za coś takiego, gdyby chciała dokonać wymiany.

Więc nie, nie chciała kąpać się w strumieniu naga i wystawiona na widok publiczny. Przypomniało się jej jednak, że widziała na Targu łaźnię, z mydłem i wannami gorącej wody. Uznała, że warto to później sprawdzić. Przez chwilę przyglądała się Księżyc, zanim trąciła ją stopą.

– Chcę się wykąpać – oznajmiła. – Obudź się.

Księżyc zaburczała.

– Chcę się wykąpać, a ty też potrzebujesz kąpieli. Czy ptaki się nie kąpią? Cuchniesz jak kurnik. Wstawaj.

Jej towarzyszka przewróciła się na bok i uchyliła sobie oko. Lundy poczuła niezrozumiałe zadowolenie, że choć palce Księżyc miały teraz normalną długość, a oczy normalną wielkość, nadal były pomarańczowe. Nie była pewna, czy mogłaby znieść widok przyjaciółki patrzącej na nią oczami innego koloru.

– Jesteś podła – obruszyła się Księżyc. – Nie jestem kurczakiem.

– To nie znaczy, że nie możesz cuchnąć jak one. Chodź. Weźmiemy kąpiel.

– Nie chcę płacić za kąpiel.

Stawało się coraz bardziej jasne, w jaki sposób Księżyc wciąż pakowała się w długi. Skoro sama nie dbała o siebie, ktoś w końcu wrzucił ją do jeziora, żeby przestała śmierdzieć, a wtedy Targ karał ją za brak troski o nosy tych, którzy ją otaczali. Lundy przewróciła oczami.

– Nadal mam szkolny plecak, a w nim pełno różnych rzeczy – powiedziała. – Mogę kupić ci kąpiel. Ale wtedy będziesz musiała zrobić coś dla mnie. Nieważne co. Musimy dawać sobie nawzajem uczciwą cenę.

– Pokażę ci, gdzie rosną najlepsze jeżyny. – Księżyc wstała, nagle zainteresowana, skoro rachunek miał zapłacić ktoś inny. – Ostatnim razem, kiedy tu przyszłaś, nie obrodziły, ale teraz są bardzo dobre. Możemy nawet trochę nazbierać i sprzedać w zamian za napój do kolacji.

– Umowa stoi – zgodziła się Lundy z szerokim uśmiechem.

Księżyc odwzajemniła uśmiech, a Lundy nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle kiedyś myślała, że opuszczenie tego cudownego miejsca jest dobrym pomysłem. Była smutna, tak, ale w domu też była smutna, a tam nikt nie rozumiał dlaczego. Tutaj przynajmniej znajdowała się wśród ludzi, którzy ją dostrzegali. Którzy słuchali.

Wyszły z chaty, wzięły się za ręce i pobiegły ścieżką prowadzącą na Targ. Przy każdym kroku plecak obijał się o biodro Lundy. Pozwoliła się prowadzić, ale zwracała uwagę na wszystko wokół siebie, żeby któregoś dnia mogła samodzielnie pokonać tę drogę.

W niejasny sposób zdawała sobie sprawę z tego, że robi plany na przyszłość. Przyszłość tutaj, na Targu Goblinów. Ale ona jeszcze mogła się zmienić. Może przypomni sobie o mężu, który kiedyś miał się pojawić, przypomni sobie o bibliotece, w której kiedyś chciała pracować, znajdzie coś do kochania w świecie, w którym się urodziła... ale to wszystko wydawało się coraz mniej prawdopodobne.

– Muszę wkrótce wrócić do domu – powiedziała, a to były puste słowa, zobowiązania rzucone na wiatr, a nie rzeczy, które przechowywała w komnatach serca.

– Wkrótce to nie teraz – skwitowała radośnie Księżyc i pociągnęła ją dalej, coraz dalej.

Za dwa guziki i szpulkę nici kupiły sobie gorącą wodę, mydło i prywatność. Księżyc rozebrała się bez wstydu, gdy tylko znalazły się we wspól-

nym pomieszczeniu, a Lundy – która nadal trochę się wstydziła, że będzie naga przy kimś innym – zrobiła to samo. Z łopatek Księżyc wyrastały pióra, długi rząd białych i złotych piór, które przylegały ciasno do skóry, ale nastroszyły się, kiedy dziewczynka usiadła w wannie.

– Ach. – Księżyc zanurzyła się głębiej i zamknęła oczy. – Jak dobrze. Jesteś mądra, Lundy. Masz dobre pomysły.

– Dziękuję – powiedziała skromnie Lundy i weszła do swojej balii.

Woda była taka gorąca, że aż parzyła. Dziewczynka usiadła w niej powoli i pozwoliła, żeby jej nogi same się uniosły, aż kostki znalazły się prawie na poziomie kolan. Jak to by było mieć pióra i je zamoczyć? Czy Księżyc czuła się jak w pułapce, wiedząc, że nie może odlecieć, czy raczej wolna, bo teraz była bardziej człowiekiem niż jeszcze do niedawna.

– Mogę cię o coś spytać?

– Zapłaciłaś za kąpiel – przypomniała Księżyc. – Możesz pytać mnie o wszystko.

Była to tak wspaniałomyślna oferta, że powietrze załaskotało ją tak samo jak gorąca woda. Lundy usiadła wygodniej. Jak Księżyc mogła tutaj żyć, czując, jak ciężar długów Targu zmienia jej ciało, ale nie rozumiejąc, jak ważna jest taka odpowiedź? Nie wydawało się to właściwe.

– Żałowałaś kiedyś, że Targ cię wybrał?

Księżyc otworzyła jedno oko i łypnęła na Lundy.

– Chodzi ci o pióra?

– Tak. – O pióra i inne rzeczy. Lundy pomyślała o niepokojących oczach Księżyc, o jej słowach, że jedyna uczciwa rzecz, jaka pozostała jej do zrobienia, to odfrunąć. – Byłaś... byłaś taka smutna i wyglądałaś tak dziwnie, jakbyś zapomniała, kim jesteś.

– Chodziło o palce. – Księżyc uniosła swoje zwyczajne dłonie i pokazała je Lundy. – Byłam wcześniej mocno splukana, ale nadal na tyle młoda, żeby Targ pozostawił mi ręce. Myślę, że nie chciał zmieniać w ptaki naprawdę małych dzieci, bo one mogłyby zapomnieć o tym, jak to jest być człowiekiem i po prostu odlecieć. Ostatnio mam się o co troszczyć, więc już nie chcę odlecieć i na zawsze pozostać sową. Tak się czasem dzieje z ludźmi, którzy za bardzo pograżają się w długach. Targ ubiera ich w pióra, a oni zapominają, że byli kimś innym i że mogą być szczęśliwi. Małym dzieciom przydarza się to tylko wtedy, gdy są tak smutne jako ludzie, że wolą być ptakami. Reszcie wyrastają pióra i może nasze wargi nie poruszają się właściwie, ale wtedy staramy się bardziej, bo nie jest

niczym zabawnym mieć dziób, kiedy się go nie chce. Dopiero kiedy byłam dostatecznie duża, Targ zaczął odbierać mi ręce.

Włożyła je z powrotem do wody i westchnęła.

– Ty odeszłaś, Dr... Drwina – Księżyc zająknęła się przy imieniu przyjaciółki – zginęła, a ja chyba chciałam udawać, że jestem wyjątkowa. To mnie Targ pokochał tak bardzo, że pozwalał mi łamać więcej zasad niż innym. To o mnie się troszczył i mnie chronił. Czy to głupie z mojej strony? Ale ja nie mam rodziców, żeby mnie tulili albo kazali, żebym się uczesała, a ja chciałam wierzyć, że Targ mnie kocha. Targ mnie kocha. On kocha nas wszystkich. Tylko że... bardziej kocha zasady. Nie pozwala, żebyśmy je łamali. Karze nas, kiedy trzeba, bo zasady muszą być dla każdego, jeśli mają być dla kogoś w ogóle.

– Nawet dla dzieci – wtrąciła Lundy.

– Nawet dla dzieci i turystów. Odpracuję resztę swojego długu, a wtedy będziemy razem mogli poćwiczyć niezaciąganie długów, ty i ja. Wkrótce to nie teraz. Wkrótce nie musi w ogóle nadejść. Tym razem zostaniesz, prawda? Chciałabym, żebyśmy były najlepszymi przyjaciółkami, jeśli zostaniesz.

Ze wstążkami we włosach

Lundy, która po raz drugi przeszła przez drzwi prowadzące na Targ Goblinów, ledwo poznałaby tę, która chwiejnym krokiem wytoczyła się przez nie w czasie drugiego powrotu do świata swoich narodzin. Ta Lundy była chuda, ręce i nogi miała umięśnione przez pracę fizyczną i trudy polowań. Ta Lundy miała siniaki na żebrach i wąską bliznę biegnącą wzdłuż kręgosłupa, pamiątkę po Kościstych Zjawach, które próbowały uwolnić ją od więzów ciała.

Ta Lundy była ubrana w patchworkowe łachmany, włosy miała obcięte krótko na pazia, a wokół palców dla ochrony owinięte cienkie skórzane paski. Ale przede wszystkim – ach, przede wszystkim – ta Lundy miała pióra we włosach, krótkie, brązowe i lśniące, kiedy padało na nie światło. Rosły na karku, odsłonięte przez krótką fryzurę, i było całkiem możliwe, że postronny obserwator uznałby, że to jedynie modna dziecięca ozdoba.

Lundy zyskała je wraz z niespłaconymi długami wobec Targu Goblinów, a zrobiła to celowo. Stanowiły świadectwo obietnic na razie niedotrzymanych i zarazem obietnicy złożonej sobie samej. Zamierzała wrócić. Postanowiła, że wróci na Targ Goblinów z pełniejszymi kieszeniami i solidniejszym planem i może tym razem zostanie na zawsze, tak jak przyrzekła dziewczynce o sowych pomarańczowych oczach. Z piórami we włosach przeszła przez ciemną szkołę w kierunku drzwi i ruszyła dalej w noc. Spojrzała na pusty parking oczami strudzonymi tropieniem. Jaki mały wydawał się teraz świat, z którego pochodziła! Jaki ciasny i szary!

Domy zawsze kurczą się w czasie naszej nieobecności, zawsze tracą odrobinę swojego majestatu, bo tak naprawdę czymże jest dom oprócz tego, że miejscem, do którego się wraca, kiedy przygoda się kończy? Dom to koniec chwały, przystanek, kiedy opowieść dobiega końca. Lundy przeszła przez parking płynnym, lekkim krokiem drapieńczy i nikt się nie zjawił, żeby rzucić jej wyzwanie albo zapytać, gdzie była.

Poszła oświetlonymi przez księżyc ulicami swojego rodzinnego miasteczka, spokojnego i cichego. Gdzieś w oddali zahukała sowa. Gdyby Lundy poszła za jej głosem, znalazłaby ją siedzącą na jakimś wysokim drzewie albo pod okapem starego domu, a ona spojrzalaby na nią z ptasim niezrozumieniem, niezdolna dojrzeć w niej ludzką istotę, przyjaciółkę. Ptak w tym świecie był tylko ptakiem.

Lundy szła dalej.

Przy zwyczajnej ulicy stał zwyczajny dom. Okna ciemne, mieszkańcy cisi. Lundy wyjęła zapasowy klucz zza luźnej cegły w ozdobnym kwietniku, weszła cicho do środka i zamknęła za sobą drzwi. Rano rozlegną się okrzyki radości i oskarżenia. Rano ojciec zobaczy pióra w jej włosach i zapłacze. Teraz jednak była tylko noc i łóżko, za duże i zbyt miękkie, jak chmura owinięta w bawełnę, ale ona przebyła bardzo długą drogę. Była bardzo zmęczona. Zamierzała zostać jedynie tak długo, żeby napełnić kieszenie, lecz była taka zmęczona, że z pewnością krótka drzemka nie mogła zaszkodzić...

Lundy zasnęła, a opowieść płynęła dalej.

Część III

Gdzie będziemy

W którym polowanie zaczyna się i kończy

Szkołę Chesholm dla Dziewcząt uważano za klejnot w koronie prywatnej edukacji: droga, ekskluzywna, przyjmująca najbardziej zbłąkane młode kobiety, żeby zmienić je w porządne młode damy. Czesne oczywiście było równie wysokie, jak oczekiwania wobec uczennic, ale każdy pens był usprawiedliwiony przez rygorystyczny charakter programu nauczania i odizolowane położenie kampusu. Nie mogło tam dochodzić do żadnych wybryków, nie pod czujnym okiem wyszkolonej kadry nauczycielskiej.

(Kiedy Lundy poinformowano, że pójdzie do szkoły z internatem „dla jej własnego dobra”, nie była zaskoczona. Ostatecznie zniknęła dwa razy, udając się do miejsca, które mogło istnieć jedynie w książkach dla dzieci i bajkach, miejsca, które pamiętało jej ojca z twarzy, nawet jeśli nigdy nie wymieniało jego imienia. On postanowił opuścić Targ Goblinów, gdy tylko mógł, i tego samego chciał w stosunku do niej. Strach i, tak, tęsknota w jego oczach, kiedy patrzył na pióra wyrastające z jej karku, tylko potwierdzały jej spokojne, ciche przekonanie, że on nigdy nie miał innego wyboru).

(„Drzwi znajdują cię tylko wtedy, gdy jesteś sama, a ponieważ nie mogę zapewnić ci tutaj bezpieczeństwa, wysyłam cię do miejsca, gdzie nigdy nie będziesz sama”, powiedział i jemu to wystarczało, nawet jeśli dla niej to nie była żadna odpowiedź).

Tutaj w Chesholm uczennice nosiły mundurki, które miały zapobiec wszelkim nierównościami, maskować fizyczne braki lub oznaki takowej przewagi pod warstwami grubej, bezkształtnej bawełny i spódniczek o określonej długości. Niektóre starsze dziewczęta rodzice wysłali tam z powodu „nienaturalnych popędów” – jednej z wielu kwestii, których nauczyciele nie chcieli omawiać szczegółowo z młodszymi, przez co te

zastanawiały się, czy uwielbiane przez nie koleżanki z ostatnich klas są złodziejkami lub nekromantkami – i miały one skłonność do znikania w pustych salach lekcyjnych. Większość młodszych dziewczynek przysłano tutaj z powodu wagarów, kłamania albo nieposłuszeństwa.

Większość, ale nie wszystkie. Lundy nie była jedyną uciekinierką, choć kilka dni ostrożnego sondowania współtowarzyszek potwierdziło, że tylko ona trafiła do świata, który właściwie nie powinien istnieć. Inne uciekały do ekscytujących, odległych miejsc o nazwach takich jak „Cleveland” czy „Bar Harbor”, goniąc za marzeniami, by autobusami Greyhound dotrzeć do dalekich krewnych zapewniających, że bystra dziewczynka, która nie boi się ubrudzić rąk, może pracować na ich farmie ocelotów, w ogrodzie albo w pokoju dziecięcym.

Niektóre dziewczęta walczyły z rygorami Chesholm, skracając mundurki nożyczkami i urządzając strajki przeciwko idealnie zbilansowanym, zdrowym i całkowicie pozbawionym smaku posiłkom. Inne, jak zauważyła Lundy, wsiąkały w szkolne życie z głębokim westchnieniem ulgi, siniaki na ich nadgarstkach bladły, zmęczenie w oczach znikało, nawet jeśli nigdy do końca.

W czasie jej pierwszego pobytu w szkole jedna z dziewczynek została usunięta ze wspólnej sypialni, kiedy jej brzuch mimo skromnych porcji i braku dodatków zaczął pęcznieć, choć reszta jej sylwetki pozostała szczupła. Tamtej dziewczynki nie było przez większą część semestru, a kiedy wróciła, wydawała się jakby mniejsza w sposób, którego Lindy nie umiała określić inaczej jak cicha, bolesna świadomość okrucieństwa losu.

Przez resztę roku podsuszała tej dziewczynce swoje desery, aż nadeszły letnie wakacje, które przepędziły je z kampusu na krótką wizytę w domu i powrót do rzekomej normalności. Kiedy ta dziewczynka – której imię było miłe i zwyczajne, ale Lundy nigdy nie potrafiła uwiezić go na języku, bo nauczyła się, że używanie prawdziwych imion jest niegrzeczne – zapytała ją, dlaczego to robi, trochę czasu zabrało jej znalezienie właściwych słów. W końcu nieco zakłopotanym tonem odpowiedziała: „Szkoła coś ci zabrała, a nie podała uczciwej ceny. Po prostu nie chciałam, żebyś myślała, że nikt nie przejmuje się długami”.

Tamta dziewczynka nie wróciła po wakacjach do szkoły. Czasami Lundy myślała o jej wielkich, smutnych oczach, zapadniętym brzuchu, o tym, że jeszcze nie skończyła siedemnastu lat, a już złamali ją ludzie, którzy uważali, że nie można mieć długu wobec dzieci, kiedy robi się im różne rzeczy,

kiedy się je okrada. Zastanawiała się, czy gdzieś tam są drzwi, może nawet te z prośbą BĄDŹ PEWNY, przez które ta dziewczynka mogłaby przejść i w końcu znaleźć bezpieczny dom.

Miała taką nadzieję.

Sama Lundy przystosowała się całkiem dobrze, gdy zrozumiała, co znaczy sam termin „przystosowanie się”. Jej miłość do zasad pozostała nienaruszona i choć szkolne reguły, oprawione w ramki, nie wisały na ścianach w regularnych odstępach, były wydrukowane w podręcznikach i omawiane na obowiązkowych apelach. Dziewczynki musiały zapuszczać włosy do określonej długości, co miało ten korzystny skutek uboczny, że pozwalało ukryć pióra. Ojciec wyrwał je po jednym w tamten rano, kiedy się obudził i znalazł ją skuloną w łóżku, a każde krwawiło podczas tego zabiegu. I każde odrosło. One symbolizowały dług, którego jeszcze nie spłaciła Targowi Goblinów. Nie można było tak łatwo się ich pozbyć.

Łatwo za to było wrócić po pierwszej podróży, kiedy miała osiem lat i wybaczone jej zniknięcie. Słowo „uciekinierka” nigdy nikomu nie przyszło do głowy, przynajmniej o ile Lundy wiedziała. Prawda była tajemnicą dochowywaną przez nią i ojca, ale to, co powinno ich do siebie zbliżyć, stopniowo ich rozdzieliło, bo nie potrafili znaleźć wspólnych rzeczy, które zaprowadziły oboje do niemożliwych drzwi, zaprowadziły do cudów po drugiej stronie.

Powrót z drugiej podróży okazał się trudniejszy. Wszyscy w klasie byli świadkami jej kłótni z panem Holmenem, widzieli, jak na niego patrzyła, słyszeli jej oświadczenie, że wychodzi. Po prostu nie spodziewali się, że ich koleżanka zapuści się tak daleko. Nie mieli pojęcia, dokąd Lundy poszła. Tylko ojciec wiedział, gdy patrzył na miękki puszek porastający jej kark. Tylko ojciec rozumiał.

Tylko on miał dość władzy, żeby zapisać ją do szkoły Chesholm z jej wąskimi, niewygodnymi łózkami, wąskimi, niewygodnymi korytarzami i równie niewygodnymi spojrzeniami kierującymi się na nią z każdego kąta i zakamarka. Tylko on widział w jej oczach pragnienie, żeby pędem wrócić do niemożliwej przygody – dostrzegał, że jego świat, jego prawdziwy świat, zmienił się w przystanek, podczas gdy Targ Goblinów szybko stawał się domem – i odsyłając ją daleko, zrobił, co mógł, żeby ją przy sobie zatrzymać.

Wydawało się, że jest to działanie na opak, ale co ona tam wiedziała. Była, jak świat bardzo lubił jej przypominać, dzieckiem: miała dziesięć lat,

kiedy uciekła na Targ Goblinów, i nadal dziesięć lat, kiedy wróciła, choć nie miała zamiaru zostać.

Jedenaste urodziny złożyły jej wizytę, kiedy była uwięziona w szkole Chesholm, ale nie przyniosły tortu cytrynowego ani serpentyn, tylko wykład dyrektorki na temat odpowiedzialności młodych dam, żeby pozostały nienagane, nieskazitelne i niezbrukane przez świat. Lundy słuchała uprzejmie, starając się wychwycić uczciwą cenę w jej przemowie, brzmiącej jak krzyk wielu ptaków, a potem wróciła do swojego pokoju, który dzieliła z trzema innymi dziewczynkami – łącznie z tą o smutnych oczach i pęczniącym brzuchu – i się rozplakała.

Dwunaste nadeszły rok później i, co było do przewidzenia, okazały się takie same jak wszystkie urodziny przed nim. Zmiany, które Lundy zauważyła w swoim ciele, przyspieszyły – bolące, poszerzające się biodra i rosnące piersi – aż rodzina musiała przysłać pieniądze na nowy mundurek, aż nieproszone, upokarzające zmiany osiągnęły kulminację, kiedy obudziła się w sadzawce z własnej krwi. W dodatku kark swędział ją nieznośnie, a kiedy go dotknęła, piskłący puch został w jej ręce, a na jego miejscu pojawiło się dorosłe upierzenie.

Lundy przeszmygowała te zrzucone pióra do biblioteki i tam po przeprowadzeniu szczegółowych badań dowiedziała się, że jeśli jej dług będzie zbyt duży, ona wzbije się w powietrze jako drapieżca, najprawdopodobniej orzeł przedni, dumny, dziki i nienarażony na okrucieństwo ssaków. Tamtej nocy śniła o lataniu, szybowaniu wysoko i swobodnie nad lądem, gdzie nic nie mogło jej dotknąć, schwytać ani sprowadzić z powrotem na ziemię. Śniła o Księżyc i Drwinie patrzących z dołu, jak ona chwyta wiatr.

Tamtej nocy Lundy zaczęła przygotowania do ucieczki.

Nie było trudno zmienić własne wzorce zachowania. Przyjaźń nigdy nie przychodziła jej łatwo i choć większość uczennic myślała o niej dobrze, jeśli w ogóle o niej myślały, żadna nie zaliczała jej do bliskich koleżanek. Zawsze wołała bibliotekę od boiska, pustą klasę od stołówki. Personel w Chesholm powinien zadbać o to, żeby każda uczennica miała dość ruchu i świeżego powietrza, ale rzeczywistość wyglądała tak, że spokojne dziewczynki, cierpliwe dziewczynki, dziewczynki, które nie sprawiały kłopotów, mogły po lekcjach robić to, co chciały.

Lundy odrabiała lekcje, wykonywała różne obowiązki i zerknęła na drzwi, czekając, aż któreś przesuną się we framudze, zmieniają w coś, czym

nie powinny być. Tygodnie mijały bez żadnej transformacji. Lundy zaczęła zadawać sobie pytanie, czy w ogóle kiedyś do niej dojdzie.

W końcu zrozumiała, jaki jest prawdziwy cel jej wygnania: miała zacząć kwestionować to, co się jej przydarzyło. Miała zapomnieć Księżyc, Drwinę, Archiwistkę i smak placków Vincenta. I może potrafiłaby to zrobić, może potrafiłaby zostawić to wszystko za sobą, gdyby nie niemożliwe pióra na karku. W tym świecie dzieciom nie wyrastały pióra. Skoro jej wyrosły, musiało się to stać gdzieś indziej. Jedynym innym światem, który pamiętała, był Targ Goblinów, co oznaczało, że był prawdziwy, a to powolne, nieubłagane unicestwienie dziecka, którym kiedyś była, oznaczało jedynie próbę utrzymania jej z dala od tamtego miejsca.

Akurat wpatrywała się w drzwi schowka, kiedy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła się i zobaczyła, że korytarzem idzie jedna z jej koleżanek z książkami pod pachą. Lundy zmarszczyła brwi.

– Cześć – rzuciła, a dziewczynka podniosła wzrok, wyraźnie zaskoczona. – Często tędy chodzisz?

– Codziennie – odpowiedziała tamta z wyrazem twarzy, który wyraźnie świadczył o tym, że powątpiewa w zdrowe zmysły Lundy. Nie dodała nic więcej, tylko przyśpieszyła kroku.

Nadal marszcząc brwi, Lundy znowu spojrzała na drzwi schowka. Pierwsze znajdowały się nie w drzewie, a wokół nikogo. Drugie zobaczyła na szkolnym korytarzu, owszem, ale wtedy korytarz był pusty, prawda? Środek dnia oznaczał, że ludzie siedzieli w klasach, więc nikt nie mógł być świadkiem jej zniknięcia.

Właśnie z tego powodu ojciec wybrał szkołę, która gwarantowała przemianę zbuntowanego dziecka w posłuszne i całkowity brak prywatności. Lundy nie pamiętała, kiedy ostatni raz nikt jej nie nadzorował. Nigdy nie była sama, dlatego drzwi nie mogły jej znaleźć.

To musiało się zmienić.

Lundy po kolei przyjrzała się różnym szkolnym zajęciom zaplanowanym na następny dzień, aż znalazła jedno, które odpowiadało jej potrzebom. Starannie wpisała swoje nazwisko na listę. Uczennica z najstarszej klasy, która prowadziła zapisy, spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Obserwowanie ptaków? Naprawdę? Nigdy nie wyglądałaś mi na miłośniczkę przyrody.

Lundy, która wychodziła z siebie, żeby nikomu nie wydawać się kimkolwiek, uśmiechnęła się uprzejmie.

– Cenię ptaki. A mój ojciec w swoim ostatnim liście pisał, że gdyby zauważył, że wkładam więcej wysiłku w uczestniczenie w życiu szkoły, mógłby mi pozwolić przyjechać do domu na koniec semestru. Chcę pokazać, że jestem na to gotowa.

Dziewczyna z ostatniej klasy uśmiechnęła się ironicznie, jakby mówiła, że nikt nigdy naprawdę nie opuścił Chesholm. Ale podstemplowała zgłoszenie i wręczyła jej notes z ołówkiem, żeby Lundy mogła odnotowywać w nim ptaki, które zobaczy.

Ptaki, które chcę zobaczyć, pomyślała Lundy, sumiennie wpisując do notesu wróble, kosy i kruki. Sowa. Orzeł. Księżyc. Ja.

Zacząła od chodzenia wyznaczonymi szlakami i spisywania pospolitych ptaków, które były zbyt wolne albo zbyt głupie, żeby omijać szkołę. Co wtorek pokazywała swoje listy opiekunowi koła zainteresowań w czasie cotygodniowych oficjalnych zebrań. Siedziała w głębi sali i robiła notatki, którymi chętnie dzieliła się z każdym, kto o to poprosił. Uważała, że to uczciwa cena za wolność zapuszczania się coraz dalej, gdzie istniała większa szansa dostrzeżenia rzadkich ptaków, z dala od grubych kamiennych murów szkoły, w których nie było dla niej przyszłości.

Za każdym razem, kiedy wychodziła, brała ze sobą garść towarów na wymianę i ukrywała je w dziupli starej hikory. Pod koniec sześciu tygodni czuła się bogata, mając w kryjówce mnóstwo ołówków, guzików i kolorowych wstążek, dość, żeby zapłacić za jedzenie i mieszkanie przez cały pobyt na Targu.

Tylko raz inna uczennica przyłapała ją obok tajnego składziku, dziewczyna z najstarszej klasy, ta wygnana za „nienaturalne popędy”, którego to określenia Lundy nie całkiem rozumiała. Nastolatka patrzyła na nią z drugiej strony polany, a ona zamarła z ręką w pniu hikory. Ledwo śmiała oddychać.

– Nie ogłoszą tego, ale panna Henley, która we czwartek ma nocny dyżur, zachorowała na gripę, a nikt nie chce wziąć jej zmiany, więc nie będzie wtedy nocnego obchodu – oznajmiła dziewczyna cichym głosem. –

Jeśli chcesz uciec, powinnaś to zrobić właśnie wtedy, kiedy nikt nie będzie patrzył.

Dziewczyna odeszła, zostawiając Lundy z natłokiem własnych myśli. To mogła być pułapka. Nie sprawiała takiego wrażenia, ale dobre pułapki na tym polegają, prawda? Gdyby każda pułapka wydawała się pułapką, nigdy nikogo by nie złapała.

Ale las w nocy, pełna torba i brak kogokolwiek, kto by ją zatrzymał... pokusa była zbyt wielka, żeby ją odrzucić. Lundy przełknęła strach i wątpliwości, wróciła do klasy i usiadła z rękami złożonymi na kolanach. Słuchała nauczycielki, która przynudzała o zachowaniu, manierach i o tym, jakie ważne jest, żeby nie przynosić wstydu rodzinie, a ona myślała tylko o łopoczących skrzydłach i słodkim zapachu niemożliwych owoców.

Później – kiedy po jej zniknięciu rodzice zostali wezwani do szkoły, kiedy ojciec i dyrektorka przerzucali się oskarżeniami jak piłką – nauczyciele mówili, że Lundy była pilna i uprzejma w ciągu ostatnich dni spędzonych z nimi, że słuchała uważniej niż zwykle, brała udział w klasowych dyskusjach z pasją neofitki. „Sądziliśmy, że w końcu udało się nam do niej dotrzeć”, a ich słowa były jednocześnie przeprosinami i ubolewaniem, ponieważ nauczyciele z Chesholm naprawdę wierzyli w to, co robili, naprawdę wierzyli, że mogą ciężką pracą i surową dyscypliną poprowadzić dzieci pozostające pod ich opieką ku lepszemu życiu.

Później szkoła twierdziła, że Lundy uciekła, a jej ojciec odwoływał się do prospektów, w których personel chwalił się płotem nie do pokonania i zespołem pracowników ochrony. Pytał, jak to możliwe, upierał się, że córka musiała zostać porwana, co było małym kłamstwem służących przykryciu wielkiej, niewygodnej prawdy, że Lundy uciekła tak daleko, że może nigdy nie zostać odnaleziona, tak daleko, że przeszła do innego, niemożliwego świata zamiast spędzić choć jedną więcej minutę w tym. W sprawę zaangażowały się władze. Z rąk do rąk przeszły pieniądze, które szkoła uznała za krwawe, zapłacone za milczenie, a Franklin Lundy za uczciwą cenę za córkę, natomiast w duchu za rachunek wystawiony Targowi Goblinów.

Ale wszystko to miało nastąpić później.

Kiedy nadszedł czwartek, podkradając się niespodziewanie do terażniejszości, jak to dni mają w zwyczaju, Lundy wstała, ubrała się i zajęła codziennymi sprawami. Nikt nie zauważył, że przy obiedzie wsunęła do kieszeni dodatkowe jabłko ani że wzięła garść ołówków z klasowej szafki. Może nie stała się lepszą uczennicą w czasie swojego pobytu w Chesholm, ale zdecydowanie stała się lepszą złodziejką. Odliczała minuty lekcji z rękami złożonymi na ławce i oczami utkwionymi w nauczycielach, nie dając po sobie poznać, że coś jest nie w porządku. Bardziej niż czegokolwiek potrzebowała, by uważano ją za normalną.

Pióra na karku swędziały, ocierały się o skórę, omal nie doprowadzając jej do szaleństwa, ale ona się nie drapała, żeby nie ściągać na siebie uwagi. Wracała tam, gdzie mogła je spłacić, podać uczciwą cenę... albo jej przeciwieństwo, gdyby wolała pogрузić się w długach, bo wtedy mogłaby poczuć, jak niebo rozciąga się wokół niej i bierze ją w czułe objęcia, a skrzydła niosą ją bez końca. Wracała do domu.

Gdy rozległ się ostatni dzwonek, Lundy wstała razem ze wszystkimi i wróciła do sypialni, żeby wziąć rzeczy niezbędne do obserwacji ptaków. Jej aktywne i entuzjastyczne uczestnictwo w klubie było dobrze znane w internacie. Nikt nie kwestionował jej popołudniowych wycieczek. Lundy wypełniła wszystkie stosowne formularze, zebrała wszystkie niezbędne pozwolenia.

Nikt nie kwestionował niczego do chwili, kiedy weszła do lasu i nie wróciła.

Lundy szła między drzewami sprężystym krokiem, ciężka torba obijała się o jej biodro, każdy skradziony ołówek i wstążka upewniały ją, że idzie, że jest w drodze. Nie miała już powrotu. Wieczne wyjścia były dozwolone dla obserwatorów ptaków, ale zapisywane w księdze, a do tej pory uczennica z najstarszej klasy prowadząca rejestr z pewnością zauważyła, że Lundy spóźnia się z powrotem.

Szła przez ponad godzinę, kierując się coraz głębiej w las otaczający kampus. Spośród listowia dobiegały dziwne odgłosy, pohukiwania sów, szelesty nocnych zwierząt. Lundy je ignorowała. Nic tutaj nie mogło jej wystraszyć po tym, co widziała, robiła i z czym miała do czynienia na Targu Goblinów. Co znaczyło kilka hałasów wobec Kościstych Zjaw albo Królowej Os? To był co najwyżej sprawdzian albo pewne, nieistotne zakłócenie spokoju, więc szła dalej.

Dokuczały jej stopy. Nogi nieprzyzwyczajone do przemierzania wielu mil za jednym razem bolały, uda ocierały się o siebie i odparzały. Gdyby nie pióra na karku, Lundy mogłaby uwierzyć w to, co powiedział ojciec, zanim wysłał ją do szkoły z internatem – że miała sen, cudowny, przerażający i nieprawdziwy, a teraz pora się obudzić. Mogłaby zawrócić.

Lecz pióra na karku były prawdziwe. Bolało, kiedy je ciągnęła, a że jej ciało ssaka dojrzewało, one również się zmieniły, urosły dłuższe, mocniejsze i ciemniejsze. Już nie była pisklakiem. A skoro nie była pisklakiem, mogła chodzić.

Szła, aż zobaczyła drzewo, które wyglądało, jakby należało do innego lasu, o pniu i konarach tak powykręcanych, że nie było w nich ani jednej prostej linii na pniu i konarach, a zieleń liści miała tuzin delikatnych odcieni. Lundy zaparło dech. Nie śpieszyła się, tylko skierowała ku niemu jak kwiat kieruje się do słońca.

Kiedy się zbliżyła, zobaczyła, że na środku pnia są drzwi, a na nich wyryte dwa proste słowa: BĄDŹ PEWNA.

– Jestem – wyszeptwała, pchnęła drzwi, weszła przez nie i zniknęła.

W powietrzu czystym jak kryształ

Lundy wyszła z nieprawdopodobnego korytarza w kojącą, oświetloną na złoto noc Targu. Świece, papierowe lampiony i kolorowe szklane lampy wiszące na wozach i straganach zapewniły dość światła, żeby coś widzieć, choć nie dość, żeby przy nim szyc albo czytać. Lundy nie musiała robić żadnej z tych rzeczy. Jak we śnie ruszyła w stronę pierwszego rzędu kupców.

Kilka stoisk nadal było otwartych mimo późnej godziny. Sprzedawcy patrzyli na jej mundurek, na nogi, długie i niezgrabne po ostatnim ataku dojrzewania, i uprzejmie odwracali wzrok. Budy z ubraniami już zamknięto, a nie było uczciwej ceny, żeby wyciągnąć szwaczkę albo krawca z łóżka i oddać się w ich ręce.

Niewielu ją rozpoznało, bo już przestała być dzieckiem: włosy, nigdy przesadnie długie ani wypielegnowane, opadały jej luźno na plecy, byle jak związane wstążką, zgodnie z rygorystycznymi wymaganiami szkoły Chesholm. Skóra, w czasie jej pobytu na Targu Goblinów brudna, posiniaczona i piegowata, teraz była czysta. Nawet mundurek, za krótki i za ciasny w klatce piersiowej, pokazywał, że jest nastolatką. Rzadko kto zaczynał wizyty w tak późnym wieku. Ale się zdarzało. Tak więc Lundy szła obok domów i zakładów ludzi, którzy kiedyś przynosili jej pranie albo cmokali, kiedy taplała się w kałużach, ale nikt jej nie zatrzymał ani nie rzucił słowa powitania.

Jej krok nie był gładki ani płynny. Potykała się na nierównościach, ciężkie szkolne buty zupełnie nie nadawały się do chodzenia po takim terenie. Wciąż się zatrzymywała i gapiła na rzeczy, które kiedyś dobrze знаła i które mogły znowu stać się dla niej znajome, gdy jej serce przestanie dudnić, a w głowie przestanie wirować od oszałamiających woni nocnych kwiatów i jedzenia.

Stragan Vincenta był zamknięty na głucho, żaluzje opuszczone, ale przetrwał aromat świeżo upieczonych placków i ta woń ją uspokoiła i podniosła na duchu. Żadne potrawy, które jadła w swoim własnym świecie, nie smakowały tak bardzo jak te placki... i żadne inne jedzenie na Targu Goblinów również. Mogły istnieć zdrowsze posiłki, bardziej zbilansowane, bardziej zróżnicowane, ale wypieki Vincenta były pierwszą rzeczą, której spróbowała po znalezieniu tego cudownego miejsca, po zawarciu pierwszej prawdziwej przyjaźni, i dla niej zawsze miały smakować jak powrót do domu.

Dotknęła zniszczonego drewna lady, pomyślała o ołówkach, które miała w kieszeni, i uśmiechnęła się do siebie. Księżyc pewnie kończyła ostatnie placki, które ona dla niej wytargowała, nawet jeśli udało się jej przekonać Vincenta, żeby oddał jej przydział Lundy po tym, jak „krótka wizyta” w domu przeciągnęła się do ponad dwóch lat. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Ponad dwa lata. Nie wiadomo, czy Księżyc w ogóle jeszcze tutaj była. Tyle się zmieniło. Ona się zmieniła. Ale kto mówił, że wszystko pozostanie takie samo?

Ledwo świadoma swojej decyzji Lundy puściła się biegiem. Kiedy przestała skupiać się na swoich niezdarnych ruchach, popędziła swobodnie na nogach o nowej długości, przecinając Targ w drodze do jedyne miejsce, które niemal na pewno przetrwało. Archiwistka była skałą, pomnikiem stałości w świecie, w którym rzeczy zmieniały się codziennie, ale zasady pozostawały niezmiennie.

– Bądź pewna – szeptała, biegnąc. – Bądź pewna, bądź pewna. Jestem pewna, przysięgam, że jestem.

Targ nie odpowiedział na jej deklaracje. Otoczył ją skrzypieniem drewna, szelestem brezentu, powolnym zapadaniem ciemności, które niosło swój własny, subtelny dźwięk. To było jedyne potwierdzenie, jakie mógł jej zaoferować.

Niegdyś znajome szlaki odmienił upływ czasu, więc Lundy trafiała palcami u nóg na korzenie drzew, wpadała w błotniste kałuże. Tylko świadomość, że bez swoich butów nie miałyby nic do wymiany na nową parę, powstrzymała ją przed ich zdjęciem i wyrzuceniem, tak żeby znalazł je któryś ze sprzątaczy pracujących na Targu. Już nie była dzieckiem o stwardniałych stopach. Gdyby chciała znowu stać się tamtą dziewczynką, musiałaby przejść kolejne etapy zmiany, znaleźć solidne, bezpieczne oparcie. I inne buty, lepiej na nią pasujące, które sama by wybrała.

Biegła, aż przed nią pojawiła się chata Archiwistki, niczym spełniona obietnica. Światło lamp przesączało się przez szpary w ścianach z grubo ciosanego drewna. Lundy zatrzymała się, łapiąc oddech. Serce obijało się o jej żebra. Za chwilę miała się przekonać, czy jej obecność nie trwała zbyt długo i czy zostanie powitana z otwartymi ramionami.

– Bądź pewna – wyszeptała i zrobiła krok.

– Bądź pewna – powtórzyła i zrobiła następny.

– Bądź pewna – nakazała sobie i zarazem otaczającej ją nocy.

Potem znowu pobiegła, aż znalazła się prawie przy drzwiach, potem one się otworzyły i stanęła w nich Archiwistka, Archiwistka śmiejąca się z zaskoczeniem i radością, rozpościerająca ramiona. I Lundy, dziewczynka, która już nie była dzieckiem, rzuciła się w jej objęcia.

Tuliły się, śmiały i szlochały, i gdyby to była bajka, tutaj byśmy je zostawili, marnotrawną uczennicę i mimowolną nauczycielkę połączone na nowo po ostatecznym pożegnaniu. Tutaj byśmy je zostawili i bylibyśmy z tego zadowoleni, bo Lundy już dawno przestała być dziewczynką imieniem Katherine.

Niestety to nie jest bajka.

– Udało mi się. Przepraszam, to nie powinno zająć tyle czasu, ale udało mi się – powiedziała Lundy głosem stłumionym przez ramię Archiwistki. – Przepraszam.

– Nie ma potrzeby przeproszać. – Kobieta odsunęła ją na długość ramienia i w zamyśleniu obejrzała od stóp do głów. – Ile teraz masz lat?

– Dwanaście. Niedługo trzynaste.

– Już prawie godzina policyjna, moja śliczna – stwierdziła. – Ale to teraz nieważne. Musisz być zmęczona. Jeśli potrzebujesz miejsca do spania, chętnie przyjmę dwie godziny katalogowania jutro wieczorem, żebyś już dzisiaj nie musiała pracować.

Lundy, która zawsze rozumiała cel obowiązków domowych – jeszcze zanim wysłano ją do Chesholm, gdzie rzeczy, o które ją proszono w zamian za mieszkanie i wyżywienie, choć ktoś już za nie zapłacił, nie były łatwe, a tym bardziej rozsądne – wolno pokiwała głową.

– Jestem zmęczona, więc byłoby miło z pani strony – przyznała. – Ale zanim pójdę spać, chcę zobaczyć się z Księżyc. Gdzie ona jest? Wie pani?

Archiwistka się zawahała i w tym momencie Lundy wiedziała już wszystko, co chciała wiedzieć.

– Jak dawno temu? – zapytała.

– Prawie rok. Nie tęskniła za tobą, ale nadal opłakiwała kochaną Drwinę, a kiedy ty też odeszłaś, straciła wiarę w zdolność świata do bycia sprawiedliwym. Pomyślała, że skoro on potrafił ukraść jej najbliższą przyjaciółkę, może ukraść wszystko. Przestała wierzyć w uczciwą cenę, bo jak może istnieć uczciwa cena, skoro nic jej nie zostało? A kiedy ktoś nie wierzy w uczciwą cenę...

Milczenie Archiwistki mówiło wszystko. Lundy przełknęła ślinę.

– Jest w lesie?

– Tak.

Lundy spojrzała w stronę drzew, które wydawały się ciemniejsze i gęściejsze niż dwa lata temu.

– Znajdę ją, jeśli będę szukała?

– Tak. Ale bez pożyczki potrzebnej na odkupienie jej serca na nic ci się to nie zda. Księżyc jest dziką istotą, bo sama tak wybrała. Jeśli zaszła za daleko, żeby wrócić, to nie twoja wina. Nie ona pierwsza.

– Czy ci, którzy wybierają pióra zamiast uczciwości, w ogóle wracają?

– Czasami. Nieczęsto, ale czasami.

Lundy pomacała kieszeń pełną ołówków, gumek i wstążek, pełną kredy, złotych pierścionków ukradzionych z zamkniętej skrzynki na rzeczy znalezione stojącej w gabinecie dyrektorki. Myślała, że dzięki nim zapłaci za swoje utrzymanie. Teraz wyglądało na to, że mogłaby tym wszystkim zapłacić za czyjeś życie.

– Jest jakieś miejsce, gdzie można zdobyć tę pożyczkę?

– Tak. Ale najpierw się prześpij i obudź o nowym poranku. Napełnij brzuch i zadbaj o to, żeby zawsze był pełny. Nie zdołasz nikogo uratować, jeśli zaniedbasz siebie. Idź do łóżka.

Lundy przygryzła wargę i skinęła głową. Weszła za gospodynią do domu.

Chata nigdy nie była duża i nie wyglądało na to, żeby i tym razem zmieniła swe rozmiary. Ściany napierały na wewnątrz jak zawsze, sufit znajdował się tak samo wysoko nad głową Lundy jak kiedyś, jakby domek urósł razem z nią. Nadal zbyt mały, żeby był wygodny, ale dostatecznie obszerny, żeby pomieścić ją i Archiwistkę bez wrażenia ciasnoty.

Ogień trzaskał zapraszająco. Lundy zbliżyła się do niego jak we śnie, wyciągnęła się na ciepłych ceglach przed kominkiem i zamknęła oczy. Myślała, że nie będzie mogła zasnąć, mając wokół siebie Targ Goblinów, dziwny, znajomy i swojski.

Sen opadł ją w jednej chwili.

Kiedy się obudziła, Archiwistka stała przy stole i siekała jakieś długie zioło o cienkich liściach, które jednocześnie pachniało ostro, gorzko i zniewalająco. Lundy usiadła i ziewnęła, przeciągając się, bo plecy zdrętwiały jej od spania na kamieniu.

– Będziesz potrzebowała porządnego łóżka, jeśli masz tutaj zostać – stwierdziła Archiwistka. – Już nie jesteś dzieckiem.

– Chyba nie. – Lundy dotknęła piór na karku. Były gładkie i prawdziwe jak zawsze, kotwiczyły ją w jej własnej skórze, w obecnej chwili. – Nie sortowałam książek ostatniej nocy, kiedy tutaj spałam. Pomyślałam, że posortuję je, kiedy wrócę.

– Więc jesteś mi winna trzy godziny – łagodnie podliczyła ją Archiwistka.

– Wiedziała pani? – To było pytanie, które Lundy nosiła w sobie przez ponad dwa lata w „prawdziwym” świecie.

Archiwistka pokręciła głową.

– Nie miałam pojęcia. Zawarliśmy umowę, a skoro nie omówiliśmy jej zmiany, wierzę, że wypełnisz swoje zobowiązania.

– Skoro pani nie wiedziała, skąd Targ wiedział? Byłam zmęczona. Zapomniałam.

– Dlatego, że to był mały dług – wyjaśniła Archiwistka. – Kilka piór? To praktycznie tylko przypomnienie, jak zawiązanie supełka. Dopiero kiedy między palcami wyrośnie ci błona albo twoje oczy zmienią kolor, będziesz miała sporo do spłacenia. Gdybyś uznała, że twoja wolność pozwalająca na robienie tego, co chcesz, znaczy dla ciebie więcej niż dotrzymanie słowa, miałybyś więcej niż kilka piór. Intencja i wielkość długu liczą się tak samo jak wszystko inne.

Lundy zmarszczyła brwi.

– Więc zrobił to Targ.

– Tak. Ludzie, którzy tutaj mieszkają, dawno temu się nauczyli, że egzekwowanie jednych długów przed innymi prowadzi do nierówności. Pobłażliwy rodzic uważa, że nie należy zmuszać jego drogiego dziecka do płacenia uczciwej ceny, choć dzieci wszystkich innych ludzi płacą. Okrutny

mąż zmusza żonę, żeby brała na siebie jego długi, a sam biega beztroski, podczas gdy jej wyrastają pióra. Ale jeśli Targ, który wie o wszystkim, co się dzieje w jego granicach, pilnuje zasad, nie może być żadnego oszukiwania, żadnego braku równowagi. Tylko świadomość, że wszyscy muszą wnieść swój wkład.

– To nadal wydaje się... – Lundy zrobiła pauzę. – Wydaje się niewłaściwe.

– Dlatego, że nie wiesz, co znaczy sprawiedliwość. W miejscu, które nie było sprawiedliwe, spędziłaś taki długi czas, że rzeczy, których staraliśmy się ciebie nauczyć, poszły w niepamięć. Ile wstążek masz we włosach?

– Jedną – odpowiedziała Lundy zaskoczona.

– Wyobraź sobie przez chwilę, że ja mam sto wstążek. A teraz wyobraź sobie, że obie chcemy coś zjeść. Nic wymyślnego czy specjalnego, tylko ser, chleb i kawałek baraniny. Czy byłoby sprawiedliwe powiedzieć, że ceną za to jest jedna wstążka?

Lundy zmarszczyła brwi.

– Ja... nie wiem. Czy osoba, która ma to jedzenie, nie może sama o tym zdecydować?

– Jeśli to jej jedzenie, to tak, więc ustalają cenę, ale przypominam, że nie mówimy o luksusach. Mówimy o prostym jedzeniu, które utrzymuje ciało i duszę w jedności. Nasz wyobrażony kupiec poda uczciwą cenę, choćby nie wiadomo co, bo Targ o to zadba. Czy uczciwie jest prosić każdą z nas, żebyśmy dały jedną wstążkę?

– Nie.

– Właśnie – zgodziła się Archiwistka. – To nie byłoby uczciwe, bo ty zapłaciłabyś dużo więcej niż ja. Ustalone ceny mogą być konieczne w świecie, gdzie nie ma władzy pilnującej, żebyśmy dbali o siebie nawzajem, ale tutaj nadzoruje nas Targ, więc możemy być pewni uczciwości. Jeśli nasz wyobrażony kupiec zażąda od każdej z nas wstążkę, choć widzi, że ja mogę zapłacić dużo więcej niż ty, Targ przypomni mu, że sprawiedliwość to rzecz subiektywna, a nie wyznaczony cel.

– Aha – mruknęła Lundy.

– Rzeczy będą teraz kosztować cię więcej – uprzedziła Archiwistka łagodnie. – Dorosłaś. Możesz mieć większy wkład. Nie prosimy niemowląt, żeby płaciły za swoje utrzymanie. Nie prosimy dzieci, żeby robiły więcej, niż są w stanie. Prosimy jedynie, żeby ludzie szanowali dłoń, która ich karmi.

– Wszystko będzie droższe?

– Nie wszystko. Pobyt tutaj nadal będzie cię kosztował jedną godzinę pracy wieczorem, bo jestem przyzwyczajona do twojego towarzystwa. Ale łóżko będziesz musiała sobie kupić albo zbudować sama. Pamiętasz, co mówiłam wczoraj?

– Że muszę sama o siebie zadbać, zanim spróbuję odkupić długi Księżyc. – Lundy z uporem zacisnęła szczęki. – To nie wydaje się sprawiedliwe.

– Czyżby? Głód nas ogłupia, sprawia, że podejmujemy złe decyzje, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo są złe. Jeśli chcesz jej pomóc, musisz najpierw pomóc sama sobie. Nikt nie przysłuży się swoim przyjaciołom, jeśli z troski zaniedba siebie.

Lundy chciała się spierać o to, że poświęcenie jest równie ważne jak uczciwość, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. W końcu zapytała:

– Jak mam kupić czyjś dług?

– Jest pewien stragan. Nie widziałas go wcześniej, bo nigdy go nie potrzebowałaś. Wypatruj niebieskiej flagi z białą gwiazdą w dolnym lewym rogu. Osoba tam pracująca powie ci, ile będzie kosztować odkupienie długu Księżyc. Nawet kiedy usłyszysz kwotę, nie będziesz zobowiązana jej zapłacić.

– Zapłacę – oświadczyła Lundy z uporem.

Archiwistka westchnęła.

– Tak. Chyba tak zrobisz. Teraz biegnij, a ja dopilnuję, żebyś po powrocie odpracowała swoje trzy godziny, zanim pójdziesz spać.

Ten dług coraz bardziej doskwierał jej fizycznie; pióra na karku podnosiły się i swędziały. Godzina katalogowania wieczorem była do zniesienia, trzy mogły jednak okazać się wyczerpujące. Ale Targ nie pozwoli, żeby jej długi pozostały niespłacone. Uczciwa cena nadal ją obowiązywała.

Lundy stwierdziła, że, o dziwo, jest to pokrzepiające. Póki starała się, jak mogła, i zwracała uwagę na podpowiedzi, które podsuwał jej ten świat, zawsze miała być traktowana sprawiedliwie przez innych i nie musiała się martwić, że ją wykorzystają – że wezmą jej jedyną wstążkę za zbyt mało jedzenia. To był dziwny system, ale działał. Lundy skinęła Archiwistce głową i wyszła z chaty. Ruszyła ścieżką w stronę Targu.

Widziany za dnia las zawsze był bogactwem roślinności i kolorów. Kwiaty oplatały się wokół pni drzew, owoce zwisały ciężko na pędach. To również była uczciwa cena. Choć Lundy spędziła tutaj dużo czasu, nigdy nie widziała zimy, nigdy nie widziała takiej pory roku, w której w lesie nie

byłoby mnóstwa dobrych rzeczy nadających się do jedzenia, tak że wyglądał niemal jak sklep spożywczy. Sklep spożywczy, w którym co prawda miód roił się od pszczoł, a opsy krzyczały na intruzów za podkradanie im owoców, ale zawsze. Póki wszyscy jedli tylko tyle, ile potrzebowali, wystarczało im pożywienia. Płacenie komuś takiemu jak Vincent za placki, gulasz czy inne rzeczy było raczej kwestią chęci, a nie koniecznością.

Ptaki śpiewały wśród listowia, powietrze miało balsamiczny zapach, Lundy więc maszerowała sprężysto, napięcie związane z udawaniem normalnego dziecka w normalnej szkole zniknęło jak mgła wypalona przez słońce.

Kiedy dotarła na skraj Targu, zawahała się, a potem skręciła w stronę straganu Vincenta, pamiętając o wskazówkach Archiwistki. Centaur już był na miejscu, wkładał placki do pieca z wyćwiczoną zręcznością. Lundy zatrzymała się i oparła o ladę, obserwując go przy pracy.

Niektóre dziewczynki w szkole miały obsesję na punkcie jednoroźców, nazywały je pięknymi, idealnymi i czystymi. Lundy sądziła, że rozumie dlaczego. Vincent był bardzo ładnym mężczyzną, kiedy patrzyło się na górną połowę jego ciała, i bardzo ładnym koniem, kiedy patrzyło się na dolną. Większość jej szkolnych koleżanek pewnie nie byłaby w stanie poradzić sobie z tym połączeniem. Poczowała lekką dumę, jakby doceniała coś, czego one nie potrafiłyby docenić.

Vincent się odwrócił i omal nie upuścił blachy z plackami.

– Lundy! Wróciłaś. Myśleliśmy...

– Przyszłam tak szybko, jak mogłam – przerwała mu Lundy. – Zostanę jakiś czas. Chciałam porozmawiać z tobą o plackach.

– Nie potrzebuję kolejnej temperówki – oświadczył Vincent. – Ale przydałoby mi się więcej ołówków, jeśli je masz. – Nie próbował ukryć zachłanności.

Lundy miała ochotę się roześmiać. Miło było wrócić do miejsca, gdzie ludzie mówili, czego chcą, gdzie wierzyli w uczciwą cenę. Wiedzieli, że nie mogą oszukiwać się nawzajem, bo Targ ich pilnuje, więc po prostu otwarciu i bez wstydu wyrażali swoje pragnienia.

Vincent sposepniał.

– Pewnie tym razem kupujesz tylko dla siebie.

Lundy pokręciła głową.

– Nie. Zamierzam wykupić dług Księżyc. Ona wróci do domu.

– Jesteś pewna? Nie była zbyt rozważna po twoim odejściu.

– To oznacza, że jej dług jest częściowo moim. Nie dałam jej uczciwej ceny jako przyjaciółka. Jaki człowiek wychodzi „na minutkę”, a potem nie wraca do domu? – Ale jej łóżko było takie kuszące w blasku księżycy, białe, czyste i o wiele bardziej miękkie niż podłoga przed kominkiem. To łóżko ją przyjęło, a wtedy przepadła.

Vincent pokiwał głową.

– Teraz jesteś większa. Pewnie chciałabyś więcej placków.

Więcej placków oznaczało wyższą cenę, tak że zostałyby jej mniej na wykupienie długu Księżyc. Lundy już miała powiedzieć, że stara umowa będzie w porządku, ale jej zdradziecki brzuch zaburczał głośno. Westchnęła.

– Ile będzie kosztować podwojenie wcześniejszego zamówienia?

– Cztery placki dla każdej codziennie przez rok? – Vincent myślał przez chwilę, zanim odpowiedział z niechęcią: – Moglibyśmy podwoić po obu stronach, czyli sześć ołówków, ale trzeba by więcej czasu, żebym tyle ich zużył. Musiałabyś znaleźć inny sposób, żeby zapłacić za drugi rok.

Lundy włożyła rękę do kieszeni, wyjęła sześć ołówków i podała je Vincentowi.

– To nadal uczciwa cena. Po roku będę miała coś innego na wymianę. –

Co by to mogło być, nie miała jednak pojęcia. Odłożyła więc ten problem na przyszłość. Teraz musiała jeść i uratować przyjaciółkę.

– Więc umowa stoi. Cztery placki dziennie dla każdej z was przez następny rok. – Vincent wziął ołówki i na chwilę zniknął za ladą. Potem spytał uprzejmie: – Chciałabyś zjeść, zanim pójdziesz wykupić dług Księżyc?

– Jeden placek poproszę. Wrócę po resztę.

Vincent skinął głową i pchnął przez ladę jeden placek z kurczakiem.

Smakował jak wolność. Smakował jak powrót do domu. Lundy pożegnała się z pełnymi ustami i zaczęła przeszukiwać wzrokiem stragany, wypatrując niebieskiej flagi z białą gwiazdą w rogu. Nie zobaczyła jednak żadnej. Zaczęła więc iść przed siebie.

Może chodziło o światło dzienne, a może o placek, który trzymała w ręce, ale niektórzy właściciele kramów teraz ją rozpoznali. Powitania mieszały się z okrzykami tych, którzy jedynie chcieli sprzedać swoje towary, i ta słodka symfonia sprawiła, że jej stopy stały się lekkie, a serce spokojne. Idąc, jadła, a kiedy ostatni kęs znalazł się w jej żołądku, zobaczyła niebieską flagę i białą gwiazdę. Przyśpieszyła kroku.

Stragan uszyty był z granatowego brezentu, a flaga miała kolor porannego nieba, jasnego, czystego i jeszcze nietkniętego przez dzień. Po chwili wahania Lundy lekko odchyliła klapę u wejścia i zawołała:

– Halo?

– Wejdz – odezwał się znajomy głos.

Lundy weszła do środka. Archiwistka w aksamitnej sukni koloru flagi podniosła wzrok znad wielkiej księgi rachunkowej, w której zapisywała różne kwoty. Jej twarz jak zawsze była dobrotliwa.

– Witaj. Jadłś już?

– Pani tutaj? – zdziwiła się Lundy. – Co pani tu robi?

– Ktoś powiedział, że chce wykupić dług, a ja jestem archiwistką Targu nie tylko z imienia, ale również z funkcji. Ktoś musi sprawdzać sumy przy rzadkich okazjach, gdy ktoś inny kwestionuje uczciwą cenę. Ktoś musi zadbać o równowagę. Po co przyszedł?

– Bo ja jestem tym kimś – oznajmiła Lundy. – Chcę odkupić dług Księżyc.

– Ona ma ich sporo. Jesteś tego pewna?

Lundy się zawahała. A jeśli nie mogła sobie na to pozwolić? Jeśli cała pokryje się piórami, stanie bardziej ptakiem niż człowiekiem i już nie opuści Targu, żeby nie trafić do zoo?

Ale jaką byłaby przyjaciółką, gdyby to miało znaczenie?

– Tak – powiedziała. – Jestem pewna.

– Więc pokaż mi, co masz.

Rzeczy, które uważała za takie wspaniałe i starannie wybrane, kiedy wykradała je ze szkoły, teraz wydały się jej niepozorne. Wstążki, ołówki, kawałki miedzianego drutu, nawet pierścionki były mniejsze, kiedy je położyła przed Archiwistką. Puste notesy, skarpetki, kamienie znalezione w lesie, wszystko wysypała na blat, aż jej torba stała się pusta. Ją też umieściła obok całej reszty. Przez chwilę zastanawiała się, czy zdjąć buty, ale się rozmyśliła.

Archiwistka w zamyśleniu spojrzała na stos, a potem na Lundy.

– Wystarczy – rzekła w końcu. – Ale będzie jeszcze jeden, mniej namacalny koszt.

– Cokolwiek.

– Ta obietnica jest pochopna – stwierdziła Archiwistka. – Teraz mogłabym poprosić o serce z twojej piersi albo o krew z żył, a ty nie mogłabyś odmówić. Za coś takiego nie ma dostatecznie uczciwej ceny. Na szczęście

nie interesuje mnie wykorzystywanie dzieci, zwłaszcza dzieci, które oddały się pod moją opiekę. Oto cena. Posłuchaj dobrze, a jeśli ją przyjmiesz, wpiszesz się do mojej księgi. Wezmę wszystko, co zaoferowałaś, ale zabiorę również twoją przyjaźń z Księżyc. Nie wezmę jej od razu. Nie będę musiała. Już nie jesteście dziećmi, Lundy, i nawet jeśli nigdy nie powiesz ani słowa, nigdy nie dasz do zrozumienia, że taki dług istnieje, nawet jeśli sam Targ stwierdzi, że cena jest uczciwa, Księżyc domyśli się jej z twojego milczenia. I tym samym powstanie nierównowaga. Ona przestanie widzieć w tobie bliską przyjaciółkę i zobaczy swoją właścicielkę. Przyjaźń się rozpadnie, zatopiona w morzu jej urazy. Właśnie tyle zapłacisz, żeby ją uratować. Zgadzasz się?

Lundy patrzyła na nią wstrząśnięta.

– Co? Nie! Zawsze brałyśmy na siebie nawzajem swoje długi. Zawsze... zawsze dawałyśmy uczciwą cenę. Mówiła pani, że jedna wstążka nie musi oznaczać tego samego dla różnych osób. To moja jedyna wstążka. Ona nie znaczy dla mnie nawet w przybliżeniu tyle, ile Księżyc. Dlaczego musi pani mi ją zabrać, jeśli ją odzyskam?

– Nie zabiorę. Nie zrobię tego. Nawet Targ tego nie zrobi. Ale ona sama odejdzie i jeśli teraz to zaakceptujesz, to będzie to częścią zapłaty, a Księżyc nic nie będzie ci winna.

– Czy to musi się zdarzyć?

Archiwistka, która widziała, jak rozpadają się tysiące przyjaźni z powodu wyliczeń, kto jest komu ile winien, nawet jeśli nikt nie chodził w płaszczu z piór, przez jakiś czas milczała. W końcu powiedziała:

– Nie. Nie musi. Możesz zaryzykować, jeśli chcesz.

– Zaryzykować co?

– Rok. Jeśli na koniec roku nadal będziecie przyjaciółkami wbrew wszystkiemu, obrośniesz piórami i będziesz musiała wykupić sobie powrót do ludzkiej postaci. Jeśli mam rację i ona nie potrafi cię kochać, gdy uzna, że nie ma między wami równowagi, nie będziesz winna nic więcej.

Lundy wyprostowała się i oznajmiła:

– Podpiszę.

– Tak. Wiedziałam, że tak właśnie zrobisz.

Na skrzydłach tak szerokich

Musimy ruszać dalej. Musimy ruszać dalej, bo czas się kurczy, a tyle jeszcze zostało do zrobienia, ale najpierw się zatrzymamy na czymś bardzo ważnym. Tak więc:

Lundy spodziewała się, że poczuje ciężar długu Księżyc na barkach, kiedy podpisywała księgę, spodziewała się, że to brzemie ją przytłoczy. Nie poczuła nic. Ze zdziwieniem popatrzyła na Archiwistkę i zobaczyła, że ona się uśmiecha, mówiąc:

– Załatwione. Idź do lasu.

Lundy odwróciła się i wybiegła z namiotu ma Targ. Popędziła między straganami i sprzedawcami z wielką, zapamiętaną szybkością. Jak łatwo było wpaść w utarte koleiny, odczytywać ruchy tłumu, wiedzieć, jak tańczyć pośród niego, żeby nikomu nie stała się krzywda, żeby nie zaciągnąć nieoczekiwanych długów! Lundy nie było tu o wiele dłużej, niż się spodziewała, lecz pod wieloma względami właśnie w tym miejscu dorastała i na zawsze, ale to na zawsze, tutaj miał być jej dom.

Na skraju Targu rósł las. Lundy się w niego zagłębiła, pozwoliła, żeby stopy same wybierały drogę, aż dotarła do strumienia, gdzie kiedyś znalazła dziewczynkę o pomarańczowych oczach szlochającą nad wodą. Tym razem nie zobaczyła żadnej dziewczynki ani żadnej sowy. Obróciła się powoli, nadal szukając jej wzrokiem, i przypadkiem dostrzegła pierwsze spadające pióro.

Kiedy uniosła głowę, zobaczyła, że spadają one z drzewa coraz szybciej i że to, co wzięła za część pnia, jest wielką brązową sową, a już po chwili nagą, drżącą dziewczynką.

– Księżyc! – wykrzyknęła Lundy.

Dziewczynka otworzyła oczy brązowo-żółtego koloru, nie pomarańczowe ani nie sowie.

– Lundy? – Zbyt długo nieużywany głos był chrapliwy i zgrzytliwy jak nienaoliwione zawiasy. – Wróciłaś?

– Możesz zejść na dół? – Lundy rozejrzała się za czymś, co mogłoby złagodzić upadek Księżyc, gdyby do niego doszło. Zobaczyła jedynie strumień, którego, była tego całkiem pewna, nie zdołałaby przenieść. – Bądź ostrożna. Nie chcę, żebyś zrobiła sobie krzywdę.

– Jak... dlaczego jestem człowiekiem? – Księżyc spojrzała na swoją rękę, a potem na Lundy. – Co zrobiłaś?

Żołądek Lundy ścisnął strach, jadowity i zimny.

– Sprowadziłam cię z powrotem. Przepraszam, że tak długo mnie nie było. Nie porosłaś piórami, gdybym nie dała się złapać i uwięzić w innym świecie. Dlatego wykupiłam twój dług i sprowadziłam cię z powrotem.

Księżyc wytrzeszczyła oczy.

– Teraz jestem tobie dłużna?

– Nie. Nie! Kupiłam twój dług i go anulowałam. Nikomu nie jesteś nic winna. Obie będziemy ludźmi, obie będziemy tutaj, więc zejdz z drzewa, dobrze? Tęskniłam za tobą. Proszę. – Lundy patrzyła na nią z nadzieją.

Księżyc się wahała.

Cofnijmy się na chwilę i spójrzmy na sprawy jej oczami... bo choć jest to historia Lundy, jej opowieść ku przestrodze, równie dobrze mogłaby być historią Księżyc. Ładnej, pełnej życia, małoszkowej Księżyc urodzonej przez kobietę, która opuściła Targ dla łagodniejszych krain, gdzie uczciwa cena była czymś, co każdy człowiek mógł sam negocjować zamiast przyjmować z góry narzuconą przez nieusuwalną siłę natury. Słodkiej, ostrej, kwaśnej Księżyc, której prawdziwego imienia nie można podać, bo zagięło, której świat przez jakiś czas ograniczał się do sowiego rozumienia polowań, dziupli i bezgłośnego lotu. Ta historia równie dobrze mogłaby należeć do niej.

Może szkoda, że tak się nie stało. Może wtedy miałyby przyjemniejsze zakończenie.

Księżyc spojrzała na Lundy pochodzącą ze świata, którego ona nigdy nie widziała ani nie chciała zobaczyć, i zadała sobie proste pytanie: czy sama przyjaźń może być uczciwą ceną za dług tak duży, że zmienia dziewczynkę w sowę? Czy przyjaźń zrównoważy szale, czy zatruje je obie kropla po kropli, podczas gdy Lundy będzie się starała nie żałować tego, co zapłaciła, a Księżyc będzie się starała nie odczytywać każdej jej prośby jako rozkazu?

Czy mogły to wiedzieć, jeśli przynajmniej nie spróbują?

Księżyc ostrożnie wyprostowała kończyny, które już nie pamiętały, że nie są ciche i pełne gracji, a chwilowo nie potrafiły służyć jej tak, jak chciała. Drżącymi rękami objęła pień drzewa i zaczęła się po nim zsuwać. Była prawie na ziemi, kiedy go puściła, ześliznęła się i runęła na ziemię, ale jej upadek został złagodzony przez Lundy, która rzuciła się jej na ratunek.

Księżyc popatrzyła na Lundy, Lundy popatrzyła na Księżyc. Obie wybuchły śmiechem, potężnym śmiechem ulgi, śmiechem dostatecznie głośnym, żeby wypełnić świat. Objęły się, zaśmiewając, i na razie wydawało się, jakby wszystko miało być w porządku i nic się nie zmieni, nawet kiedy wszystko wokół nich zmieniać się będzie. Lundy zdjęła szkolny blezer i zarzuciła go na ramiona Księżyc, żeby zasłonić jej nagość, a potem wzięły się za ręce i ruszyły do chaty Archiwistki, gotowe stawić czoło przyszłości, póki będą mogły robić to razem.

Następny rok okazał się dobry, może najlepszy, jaki Lundy spędziła na Targu, co zawsze stanowiło dla niej źródło radości i zdumienia. W każdym życiu powinien trafić się jeden idealny rok, choćby po to, by resztę móc do niego porównywać, i ten właśnie taki był. Lundy sortowała książki Archiwistki, napełniała brzuch jeżynami z lasu i plackami ze straganu. Zасыpywała kwiatami grób Drwiny, poszukiwała, kwestionowała i dorastała. Patrzyła, przysłuchiwała się, uczyła. Słuchała uważnie, jakby to była najcenniejsza moneta na świecie, a wszyscy, którzy z nią rozmawiali, choćby przez chwilę, mówili, że tym słuchaniem dawała uczciwą cenę, co było sprytne i przebiegłe jak i cała ona.

Niektórzy na Targu zaczęli szeptać o terminowaniu, kiedy zobaczyli, jak Lundy chodzi między straganami po takie czy inne sprawunki zaraz po tym, jak kupiła ramę łóżka za rajstopy i szkolny blezer, a potem prawo do magazynowania jej w chacie Archiwistki za dodatkowe dwie godziny pracy tygodniowo. Była to niewielka cena za bezpieczne miejsce do spędzenia nocy i świadomość, że jej i Księżyc jest ciepło i są dobrze chronione.

Księżyc, widząc rosnącą bliskość między Archiwistką i Lundy, widząc, jak przyjaciółka potrafi wydobyć sens z książek, które jej wydawały się bezużyteczną bazgraniną, zastanawiała się nad dobrymi stronami zazdrości. Ostatecznie Archiwistka była najpierw jej przyjaciółką i zastępczą matką, a Lundy kradła teraz uczucia i chwałę, które powinny należeć do niej. Tylko że to nie była kradzież, niezupełnie, bo chwile, które zabierała Lundy, były chwilami, których Księżyc nigdy nie chciała. Żadne słowa na kartkach nie

mogły przyciągnąć jej uwagi tak jak szeroki świat i nawet gdyby Lundy została na zawsze – a coraz bardziej się wydawało, że tak się stanie – nigdy naprawdę nie zrozumiałaby uczciwej ceny, tak do głębi. Jedna z nich musiała znaleźć zajęcie, które pozwoli przynosić do domu rzeczy materialne, jak jedzenie czy ubrania, i może pewnego dnia zapewni miejsce do życia niedzielone z Archiwistką.

Gdzieś w połowie roku Księżyc spytała Vincenta, czy kiedyś zastanawiał się nad korzyściami wynikającymi z posiadania praktykanta, kogoś, kto będzie zamiatał podłogę i wyrównywał brzegi placków. Ku jej zaskoczeniu centaur ją przyjął. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że Księżyc ma zręczne dłonie, szybko się uczy tajników zagniatania ciasta, jest sumienna i wydajna. W ciągu miesiąca placki, które Lundy wytargowała, zostały uzupełnione przez inne rzeczy stanowiące uczciwą cenę za pracę Księżyc i wiele wskazywało na to, że jeśli nadal będzie się tak dobrze spisywała, pewnego dnia sama zdoła wyżywić tę małą, dziwną rodzinę.

Wszyscy powinni mieć idealny rok. Dwie dziewczynki popadały w drobne długi i je spłacały, wobec Targu i siebie nawzajem. Śmiały się, kiedy znalazły pióra na biodrach albo we włosach, posępnie zerkały na siebie, kiedy ich usta twardniały, a poza tym pracowały, bawiły się i dawały uczciwą cenę; w ich życiu pojawiało się coraz więcej dni bez długu i wydawało się, że sprawy już zawsze będą dobrze się układać.

Aż do dnia, kiedy Lundy wstała i ruszyła do drzwi, żeby pójść nad strumień i umyć twarz przed śniadaniem, a Archiwistka zawołała:

– Poczekaj.

Lundy odwróciła się posłusznie. Były same. Księżyc zostawiła je o świcie, żeby pomóc Vincentowi przygotować stragan.

– Tak?

– Wiesz, jaki dzisiaj dzień?

Lundy zmarszczyła brwi.

– To nie są moje urodziny – stwierdziła. – Dzień odnalezienia Księżyc również, a ja nie wiem, kiedy wypadają pani urodziny.

– Minał rok i dzień, odkąd do nas wróciłaś – przypomniała Archiwistka i z głębokim smutkiem dodała: – Minał rok, odkąd kupiłaś dług Księżyc.

Strach rozpanoszył się w żołądku Lundy. Pióra były zabawne tylko czasami.

– To już?

– Już, a ona nadal cię kocha. – Archiwistka popatrzyła na nią ze smutkiem. – Wiesz, co to oznacza.

Lundy chciała się sprzeczać, powiedzieć, że to niesprawiedliwe, że nie jest gotowa, że codziennie od swojego powrotu dawała uczciwą cenę i zasłużyła na uwolnienie od długu. Ale nie taka była umowa, a umowa to zasada, prawda? Zasady istniały, żeby ich przestrzegać, chronić ludzi przed światem, w którym nikt nie wie, co ani jak robić.

– Co się teraz stanie? – spytała.

– Będzie łatwiej, jeśli się rozbierzesz – powiedziała Archiwistka.

Lundy to zrobiła. Zdjęła wszystkie części ubrania, odłożyła je na bok i stanęła naga na środku pokoju. Spojrzała na Archiwistkę.

– Będzie bolało?

– Nie.

Kobieta wyciągnęła rękę, jak sokolnik wystawia dłoń w rękawicy. Lundy poczuła nagle palącą potrzebę, żeby spełnić rozkaz, zastosować się do zasady, tak jak wcześniej przestrzegała wszystkich innych, bo nigdy nie istniała zasada, która zabraniała przejścia przez nieprawdopodobne drzwi do nieistniejącego świata, prawda? Zawsze była grzeczną dziewczynką, nawet jeśli to bolało. Teraz bycie grzeczną dziewczynką oznaczało zbliżenie się do tej ręki.

I tak zrobiła. Lot przyszedł jej naturalnie, a kiedy wylądowała, chwyciła nadgarstek Archiwistki z taką delikatnością, na jaką pozwalały jej szpony. Kobieta pogłaskała ją po dziobie i westchnęła.

– Możesz przenosić wiadomości. Możesz łapać ryby. Możesz kupić sobie drogę powrotną. Jeśli ktoś zapyta, czy chciałabyś, żeby przechował twój dług, odpowiesz, że tak, ale odbierzesz od razu cały, żeby zrzucić pióra, odzyskać nogi i nie dać się uwięzić pomiędzy. Rozumiesz?

Lundy zaskrzeczała twierdząco. Archiwistka podeszła do drzwi, otworzyła je i wystawiła rękę na zewnątrz. Słońce było ciepłe, ach, słońce ogrzewało pióra. Lundy krzyknęła i wzbiła się w powietrze, bijąc skrzydłami. Miała dla siebie całe niebo.

– Postaraj się pamiętać, że chcesz wrócić do domu! – zawołała za nią Archiwistka i zamknęła drzwi.

Część IV

Musimy iść pierwsi

Jeszcze jedne drzwi

Lundy upadła, obce nogi się trzęsły, obce ręce grzebały w ziemi, kiedy próbowała sobie przypomnieć, co to znaczy mieć palce, mieć kciuki, posługiwać się czymś innym niż dziób i szpony. Archiwistka zarzuciła koc na jej wąskie, nagie ramiona. Księżyc postawiła przed nią talerz z dwoma małymi plackami.

– Witaj w domu, Lundy – powiedziała głosem pełnym łez. – Przepraszam.

– Jak... długo? – wychrypiła Lundy. Dla orła, którym była, czas płynął dziwnie, zdawał się rozciągać i kurczyć według własnych kaprysów, a nie według jakiegoś logicznego porządku.

– Rok – odpowiedziała Księżyc. – Nie było cię przez rok.

Rok to bardzo dużo czasu. Lundy sięgnęła po placek i zauważyła, że jej palce są dłuższe nie dlatego, że miała dług, ale dlatego, że całe jej dłonie były dłuższe, bo wszystko w niej zbliżyło się do dorosłości, kiedy latała nad swoim własnym życiem. Ugryzła kęs. Jej żołądek, odzwyczajony od gotowanego jedzenia, próbował się zbuntować, ale i tak przełknęła kawałek placka.

Rok. Miała teraz piętnaście lat. Zupełnie niedorzeczne. Jak mogła mieć piętnaście lat? To nie miało sensu, ale Księżyc nigdy jej nie okłamała. Lundy ugryzła kolejny kęs placka.

Miała prawie trzynaście, kiedy wróciła na Targ Goblinów. Jej rodzina zastanawiała się, gdzie ona się podziewa od dwóch lat. Coraz bardziej czuła – nie, wiedziała – że to jest jej miejsce, ale zniknięcie bez pożegnania jakoś nie wyglądało na uczciwą cenę.

– Piętnaście. – Odłożyła placek i wstała, otulając się kocem. Spojrzała na Archiwistkę i oznajmiła: – Muszę wrócić. Muszę się pożegnać, zanim wybiorę.

– Wiesz, co wybierzesz?

Lundy pokiwała głową.

– Tak.

– Twój ojciec przyszedł tutaj przed tobą. Wybrał inaczej. Jeśli zostaniesz, będzie wiedział, co się stało. To będzie uczciwa cena. Twój wybór spłaci jego wybór.

Bo Targ w nią zainwestował, prawda? Karmił ją, chronił i uczył. Odchodząc – nawet gdyby jej na to pozwolono – zabrałaby ze sobą tę wartość.

Ale ona nigdy ich nie prosiła, żeby w nią inwestowali. Po prostu poszła tam, gdzie zaprowadziły ją drzwi.

– Muszę im powiedzieć – oświadczyła. – Muszę... Może nie zrozumieją. Może nie potrafią. Ale muszę spróbować, bo inaczej wszystko, co kiedykolwiek im mówiłam, stanie się kłamstwem, a ja nie potrafię z tym żyć. –

Ojciec zrozumie. Matka, rodzeństwo... nigdy. Wciąż będą patrzeć na puste miejsce przy stole i się zastanawiać.

Skoro wybierała Targ – a właśnie go wybrała – musiała zrobić to bez długów, bez żalu. Wszystko inne byłoby nieuczciwe.

Księżyc wybuchła płaczem. Lundy przytuliła ją, ciesząc się, że ma ramiona, którymi może objąć przyjaciółkę, ale oczy już miała utkwione w horyzoncie.

Odeszła o zachodzie słońca. Ubranie było na nią za małe, skóra zbyt naga. Już odwykła od butów. Boso oddaliła się od straganów Targu i szła, aż znalazła drzwi, które kiedyś przeniosły ją z domu dzieciństwa do domu jej serca. Dotknęła drewna.

– Jestem pewna – wyszeptała i przez nie przeszła.

Korytarz wydawał się mniejszy, zasady wyszyte ścięciem krzyżykowym na ścianach wyblakłe i zniszczone. Czytała je, idąc, aż dotarła do kolejnych drzwi i wyszła na świat cuchnący spalinami i zatrutą wodą. Chwycił ją atak kaszlu.

Próbowała się zorientować, gdzie jest. Kiedy się odwróciła, drzewo zniknęło. Nie było to dla niej zaskoczeniem. Nie poczuła niepokoju. Targ Goblinów zjawi się po nią, kiedy nadejdzie pora, a ona wróci do swojego prawdziwego domu po raz ostatni. Wzięła kolejny oddech. Tym razem już nie zapiekło jej w gardle.

Tyle czasu minęło, odkąd tutaj była, że już nie pamiętała drogi. Co innego jej stopy. Lundy zamknęła oczy i pozwoliła, żeby poprowadziły ją pewnym, spokojnym krokiem ścieżką do chodnika, chodnikiem do ulicy, potem zakręt po zakręcie, aż stanęła przed zwyczajnym, na poły znajomym

domem. Samochód na podjeździe był co prawda jej nieznanym, ale rower leżący na podwórku należał do jej brata, teraz starszy, zardzewiały, ale nadal rozpoznawalny. Lundy się zdziwiła. Brat powinien być o wiele za duży na taki rower. Jak...

Siostra. Oczywiście. Tyle czasu minęło, Diana zawsze była o wiele młodsza, tak że prawie o niej zapomniała w chaosie szkół z internatem, cudownych ucieczek i odlotów. Diana miała teraz dziewięć lat, niewiele więcej niż Lundy, kiedy pierwszy raz zobaczyła drzwi, które nakazały jej być pewną. Była dostatecznie duża, żeby jeździć na rowerze. Dostatecznie duża, żeby zapomnieć starszą siostrę.

W tym samym wieku była Drwina, kiedy zginęła.

Lundy weszła na ganek. Czowała się bardziej nie na miejscu niż kiedykolwiek wcześniej. Wzięła głęboki oddech. Zapukała.

Czekała.

Po drugiej stronie rozległy się kroki. Lundy obciągnęła brzeg za ciasnej spódniczki, żałując, że nie może jej powiększyć tak, żeby zakryła ją jak płaszcz z piór. Nie minęło aż tyle czasu, żeby nie mogła odlecieć. Nie było za późno. Miała zły pomysł. Ale jeszcze mogła się odwrócić, mogła pobiec, mogła...

Drzwi się otworzyły. Stał w nich ojciec w aureoli światła padającego z salonu. Lundy oniemiała, porażona doniosłością tej chwili. Patrzyli na siebie, rodzic i dziecko, zjednoczeni po raz pierwszy i być może jedyny.

– Wróciłaś – wyszeptał ojciec.

Słowa były jak cios. Lundy się zachwiała, pokręciła głową i odpowiedziała:

– Wróciłam, ale mój dom nie jest tutaj.

– Jesteś pewna?

Tyle rzeczy sprowadzało się do pewności. Lundy uniosła brodę, spojrzała ojcu prosto w oczy i oznajmiła:

– Byłam pewna, zanim jeszcze mnie odesłałeś.

Mieli niewiele czasu, nim zjawił się matka, żeby zobaczyć, co się dzieje, dlaczego drzwi są otwarte, dlaczego do środka wpada nocne powietrze. Ojciec nadal stał w miejscu i patrząc na Lundy, powiedział:

– To było dla twojego dobra, a ja mógłbym odesłać cię znowu. Jestem twoim ojcem. Mam swoje prawa.

– Odesłanie mnie to nie byłaby uczciwa cena.

Ojciec drgnął. Jej słowa trafiły w sedno, ale odparował:

– Ucieczka to też nie była uczciwa cena dla tej rodziny. Twoja matka co noc płacze przed zaśnięciem. Co noc. Robi to od dwóch lat.

– Więc oboje mamy dług. – Lundy się zawahała. – Jak spłacę swoją część?

– Zostaniesz.

– Nie. – Lundy pokręciła głową. – To jest proszenie, żebym wzięła wszystko na siebie, stwierdzenie, że to, co zrobiłeś, nie miało żadnego znaczenia. Może mógłbyś mnie przekonać, że będę tutaj szczęśliwa, gdybyś raczył spróbować, ale tego nie zrobiłeś. Byłam zagubiona i smutna, a ty mnie odesłałeś. Odrzucam twoją ofertę, bo ty próbujesz odrzucić uczciwą cenę. Postaraj się bardziej.

Ojciec wstrzymał oddech i na nią spojrzał, jakby robił to po raz pierwszy w życiu. W końcu rzekł głosem zachrypniętym i suchym jak płonący papier:

– Jeden rok. Zostaniesz na jeden rok. Gdy ten rok się skończy, nie będę cię zatrzymywał, jeśli postanowisz odejść. Ale przez ten rok tutaj mieszkasz. Traktujesz to miejsce jak swój dom. Nie starasz się go przeczekać ani nie zabijasz po prostu czasu. Przynależysz. Nie odeślę cię, a ty nie uciekniesz. Mamy umowę?

Kryła się w tym jakaś sztuczka, pułapka. Na pewno. Lundy próbowała przyjrzeć się słowom ojca ze wszystkich stron, poszukać zagrożeń. Próbowała, ale wszystko wokół niej było straszne i dziwne. Nie mogła nic znaleźć. W końcu niechętnie skinęła głową.

– Tak.

Ojciec zrobił krok do tyłu i otworzył drzwi szerzej, żeby ją wpuścić. W jego oczach lśniły łzy. Lundy nic nie powiedziała, tylko weszła do budynku, który kiedyś był jej domem, i rozejrzała się z nieskrywaną ciekawością. Tyle się zmieniło. Tyle rzeczy pozostało bez zmian.

– Tatusiu, mama mówi, że musisz...

Dziewczynka, która wbiegła do pokoju, mogłaby być Lundy w miniatu-rze. Zatrzymała się raptownie, kiedy zobaczyła, że ojciec nie jest sam, a jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe. W końcu ostrożnie zapytała:

– Katherine?

Lundy zamrugła. Nawet w Chesholm była Lundy, panną Lundy, a tylko Lundy na Targu, nie Katherine. Katherine była dziewczynką, która zosta-wiła za sobą.

Ale obiecała. Właśnie tak spłaciła dług. Sztywno skinęła głową i powiedziała:

– Cześć, Diano.

Oczy siostry nadal przypominały spodki.

– Tatusiu?

– Zostań tutaj – polecił ojciec. – Pójdę po twoją matkę.

Wyszedł z szybkością, która mogła się zrodzić jedynie z nagłej, palącej potrzeby, żeby oddalić się od niemożliwej córki, tej, której zabrakło przyzwyczajenia, żeby nie wracać.

Lundy spojrzała na Dianę. Diana spojrzała na Lundy. I to Diana odezwała się jako pierwsza.

– Zostaniesz? – spytała. – Bo tęsknię za tym, żeby mieć siostrę, ale nie chcę ci wybaczyć, jeśli nie zamierzasz zostać.

– Tak – powiedziała Lundy. Niezupełną prawdę, niezupełne kłamstwo. Na razie tyle musiało wystarczyć.

Diana z powagą skinęła głową, przeszła przez pokój i objęła siostrę w talii. Lundy gwałtownie nabrała powietrza, zbyt zaskoczona, żeby się odsunąć.

– Odeszłaś – oskarżycielsko stwierdziła Diana głosem zdławionym od łez. Przycisnęła twarz do brzucha Lundy, a ona poczuła, że jej za ciasna koszula robi się mokra. – Wyjechałaś i mnie zostawiłaś, mówili, że cię porwano, ale wszyscy wiedzieli, że uciekłaś, bo nikt nie chce przyjaźnić się z córką dyrektora. Mogłaś zostać i mogłaś mi pomóc, mogłaś być moją przyjaciółką, a wyjechałaś. – Ostatnie słowo przeszło w zawodzenie. Dziewczynka się rozszlochała, obejmując Lundy tak mocno, jakby już nigdy nie zamierzała jej puścić.

Mogłaby być Drwiną; mogłaby być Księżyc. Łza stoczyła się po policzku Lundy. I jakby to był sygnał, w ślad za pierwszą popłynęło ich więcej, aż ona też zaczęła szlochać i zgięła się niemal w pół, żeby otoczyć siostrę ramionami i też tulić ją z taką samą czułością, choć nie z taką samą miażdżącą siłą.

– Przepraszam – wyszeptała. – Musiałam. Nie myślałam o tobie. Przepraszam. Zostaję.

– Na zawsze? – spytała Diana, w końcu puszczając ją na tyle, żeby się odsunąć i spojrzeć na nią ogromnymi oczami pełnymi nadziei.

Lundy wyczuła pułapkę, która zaraz miała zatrzaskać się wokół niej i zatrzymać ją tutaj, żeby zdradziła ludzi, którzy czekali na nią na Targu.

– Nie – odpowiedziała. – Nie na zawsze. Obiecałam naszemu ojcu, że zostanę na rok, zanim znowu odejdę. – Rok był bezpieczny. Za rok skończy szesnaście lat, nadal będzie dostatecznie młoda, żeby złożyć przysięgę obywatelską, nadal młoda, żeby wrócić do domu. Dłużej...

Stawiała na to, że w ojcu przetrwała pamięć o uczciwej cenie, na to, że nie zawierałby umowy, żeby potem ją złamać. Gdyby odesłał ją z powrotem do Chesholm albo do innego takiego miejsca, byłaby skończona. Kłopot z posiadaniem rodzica, który skorzystał z takich samych niemożliwych drzwi co ona, polegał na tym, że on wiedział, jak rozgrywać zasady przeciwko niej.

Zgodziła się na jeden rok. Gdyby jej nie puścił, uciekłyby. Latały nad Targiem, łapała ryby dla handlarzy, zbierała rzadkie zioła dla chemika i drewno pazurami, polowała na króliki, małe jelenie i inne zwierzęta dla rzeźnika. Zwierała umowy, dotrzymywała ich, zdobyła zaufanie Archiwistki, która była prawie tak stara jak Targ albo taka się wydawała. Mogłaby to wszystko robić.

Diana pociągnęła nosem.

– Dlaczego nie chcesz zostać z nami? – spytała.

– Zostanę przez rok – odparła Lundy. – To chyba lepsze niż nic? – Czy to była uczciwa cena za miłość siostry? Nie wiedziała. Nie mogła tego wiedzieć. Nigdy wcześniej nie próbowała dobić takiego targu.

Diana nadal płakała, kiedy ojciec wrócił, prowadząc swoją żonę, zmęczoną i oszołomioną. Matka gwałtownie zaczerpnęła tchu na widok córki i zasłoniła usta dłonią. Lundy, która przysięgłaby, że już skończyła z płaczem, że nie zostały jej żadne łzy, znowu zaczęła szlochać. Matka podbiegła i otoczyła ją ramionami, miażdżąc Dianę między nimi. Dziewczynka rozplakała się na dobre i wszystkie trzy stały w ten sposób, nie wypuszczając się z objęć przez całą wieczność.

Potem z szybkością spotęgowaną przez rozpacz i gniew matka się odsunęła, uniosła rękę i spoliczkowała starszą córkę. Ból był natychmiastowy i silny. Lundy krzyknęła i zatoczyła się do tyłu, przykładając dłoń do zaczerwienionego policzka.

– Jak śmiesz? – wysyczała matka. – Jak śmiesz uciekać? Dwa razy? Albo trzy? Zostałaś porwana?

Lundy patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, zbyt osłupiała, żeby mówić.

– Dałam ci wszystko, Katherine! Dałam ci życie, dom, wszystko, co powinno uczynić cię szczęśliwą, a ty nas opuściłaś! Dlaczego? Ktoś zaproponował ci więcej? – Matka potrząsnęła głową, zaciskając pięści po bokach tułowia. Jej oczy były czerwone i mokre. – Jak w ogóle ktoś mógł dać ci więcej?

Lundy, nadal trzymając się za policzek, nic nie odpowiedziała. Nie miała nic do powiedzenia. Była młoda, niewinna i samolubna za pierwszym razem, kiedy poszła na Targ; nigdy nie zamierzała uciekać. Tak zrządził przypadek. Ale drugi raz nie był przypadkiem, trzeci też nie i nawet jeśli uważała, że to w porządku tak wciąż odchodzić – nawet jeśli należała do Targu aż do szpiku kości – nic nie zmuszało jej, żeby tam zostać i nigdy nie wracać.

Matka znowu uniosła rękę, a ojciec, o dziwo, w jednej chwili znalazł się przy niej i przytrzymał jej ramię.

– Ona jest w domu – powiedział. – Możemy znowu być rodziną. Będziesz zła. Wszyscy będziemy wściekli. Ale czy najpierw nie możemy pobyć razem? Tylko przez pięć minut nie możemy pobyć razem?

Matka zgięła się w pół, niemal upadła na podłogę. Lundy i ojciec złapali ją razem, zanim uderzyła się w głowę, i przytrzymali, czwórka ludzi szlochających w następstwie przygody, a przed sobą mieli jeszcze tyle drogi do przejścia. Tyle strasznej, nieuniknionej drogi.

Obietnice i papierkowa robota

Papierkowa robota jest magią samą w sobie. Robi z obcych ludzi małżonków, z budynków domy... i uciekinierów z uczniów. Ojciec Lundy wyszedł z domu rankiem po jej powrocie i nie było go przez kilka godzin, zanim wrócił z prospektem w ręce i ściągniętą twarzą. Bez słowa rzucił folder na stół przed Lundy i zostawił ją samą, żeby przejrzała jego zawartość.

W środku dziewczyna znalazła całą swoją dokumentację ze szkoły Chesholm, łącznie z podaniem o przyjęcie i świadectwami. Jej stopnie pozostawały doskonale przez całą tę fikcyjną szkolną karierę; przypuszczała, że ojciec nie spodziewał się niczego innego po swojej córce. Choć nieidealna, co trzeba odnotować, ta fikcyjna wersja Lundy miała skłonność do marzeń na jawie w czasie lekcji historii, który to fakt znalazł odzwierciedlenie w niższych ocenach, i nie lubiła wychowania fizycznego, ale dostawała z niego na tyle dobre stopnie, żeby zyskać sobie szacunek.

Z tych lat, kiedy jej nie było, zostało kilka legitymacji uczniowskich w plastikowej okładce, z nazwiskiem starannie napisanym na maszynie. Patrząc na nie, Lundy poczuła się wyobcowana z własnego życia i zadała sobie pytanie, czy brak zdjęcia na szkolnej legitymacji mógł być jednym z powodów, które skłoniły ojca do wybrania właśnie tego dokumentu. Trafił kiedyś na Targ Goblinów, nawet jeśli później go odrzucił; znał jego pokusy i konsekwencje.

Po raz pierwszy Lundy zaczęła myśleć o dziadkach. Wiedziała, że rodzice matki od dawna nie żyją, ale co z rodzicami ojca? Czy drzwi wzywały kolejne pokolenia rodziny Lundy, nakazując im mieć pewność, zanim zrozumieli, czym ta pewność jest? Czy byli przeciwieństwem Księżyc, potomkami dziecka wyrzuconego z Targu?

To było dobre pytanie, a zastanawianie się nad nim trochę pomagało w oderwaniu się od papierów, które trzymała w rękach, i od obietnicy, którą złożyła. Wszystko było historią, jeśli studiowało się ją we właściwy sposób.

Lundy wróciła do przeglądania dokumentacji i nagle znieruchomiała, kiedy trafiła na nową legitymację, tym razem przypiętą do planu lekcji. Jej planu lekcji w miejscowej szkole średniej.

Powód wysokich ocen od razy stał się jasny. Była zapisana na wszystkie przedmioty, których należy wymagać od młodej damy o nienagannym wykształceniu, łącznie z zajęciami z prowadzenia gospodarstwa domowego i ćwiczeniami wzmacniającymi. Wydawałoby się, że wszystko jest w całkowitym porządku, gdyby nie zajęcia wyrównawcze z historii tuż przed lunchem. Co miało pewien sens: Lundy знаła historię Targu, ale dzieje tego świata pozostawały dla niej tajemnicą.

Z ponurą miną zamknęła folder i wstała. Rok. Obiecała mu rok. Obiecała rok Dianie. Zamierzała dotrzymać słowa; da uczciwą cenę tej rodzinie i z czystym sumieniem wróci do świata, do którego przynależała. Będzie mogła mówić, że spłaciła wszystkie długi. Tak zrobi. Nieważne, jakie trudne to będzie, ona tak zrobi.

Znalazła ojca w gabinecie, który był – gdy ostatnio odwiedziła dom – dawnym pokojem Daniela. Jej pokój pozostał nietknięty przez całą jej nieobecność, zarówno kiedy przebywała w Chesholm, jak i na Targu Goblinów. Teraz był dla niej za mały, nadal urządzony jak dla wiecznego dziecka, i napierał na nią niczym za ciasne ubranie, w którym przyszła do domu.

(Tych rzeczy brakowało, kiedy obudziła się rano. Podejrzewała, że matka je spaliła. Ubrania, które teraz nosiła, były przerobione z matczynych, miękkie, sprane i lekko pachnące fiołkowymi perfumami. Lundy podejrzewała, że już zawsze, czując zapach fiołków, będzie pamiętała dłoń matki na swoim policzku, ale nie miała nic przeciwko temu. Niektóre formy uczciwej ceny są mniej namacalne niż inne).

– Kiedy zaczynam? – spytała.

– Mam formularze egzaminacyjne z zeszłego roku. Zapisalem cię. Powiedzialem, że opuścilaś szkołę z internatem z powodu choroby, która sprawila, że nie poradzilabyś sobie sama z dala od rodziny. Zaznaczyłem również, że możesz potrzebować więcej czasu na rekonwalescencję. Gdy tylko zdasz te egzaminy dostatecznie dobrze, żeby nie ściagać na siebie uwagi albo nie przynieść mi wstydu, rozpoczniesz naukę.

Jak szybko przeszedł od „możemy być rodziną” do „nie przynieś mi wstydu”. Lundy popatrzyła na niego spokojnie.

– Pamiętaj o naszej umowie – powiedziała. – Jeden rok.

– Ja mógłbym ci przypomnieć, że jestem twoim ojcem, a ty nadal dzieckiem.

– Gdybyś to zrobił, ja mogłabym ci przypomnieć, że zdołałam uciec z kampusu, z którego rzekomo nie da się uciec. Mogłabym ci również przypomnieć, że może miałeś wpływ na początek mojej edukacji, ale nie na te jej okresy, które się liczą. Jeśli spróbujesz złamać naszą umowę, cofnę swoją zgodę i pobiegnę do najbliższego miejsca, gdzie mogą ukrywać się drzwi. Jeśli zauważę, że coś kombinujesz, zniknę, zanim twój plan zacznie działać. Wróciłam, żeby spłacić długi. Nie próbuj mnie przechytrzyć.

Ojciec spojrzał na nią ze znużeniem.

– Czego ci nie daliśmy? – zapytał. – Gdzie cię zawiedliśmy, że Targ Goblinów wydał ci się lepszym miejscem? Proszę. Zastanawiałem się nad tym przez lata. Co zrobiliśmy źle?

Lundy milczała przez chwilę.

– Wiedziałaś, kim jesteś. Byłeś taki pewien, że dostałeś uczciwą cenę za swoje życie, że nigdy nie pytałeś, co to będzie oznaczać dla reszty z nas. Roztrwoniliśmy nasze szczęście, żeby zapewnić sobie własne. Nigdy nie nauczyłam się zawierać przyjaźni. Nigdy nie nauczyłam się niczego poza tym, jak być twardą i samotną.

– Nadal jesteś twarda. Trafiłaś do miejsca, które podnosi zasady do rangi świętego prawa, a teraz cytujesz mi je, jakby w nich były zawarte wszystkie odpowiedzi.

– Bo tak jest. – To było takie proste. Jak on mógł tego nie rozumieć, skoro to było takie proste? – Jeśli dajesz wszystkim uczciwą cenę i nikt jej nie chce, to znaczy, że nie musi jej przyjmować. Targ dba o to, żebyśmy nie wykorzystywali siebie nawzajem.

– Targ nie sprawił, że zrozumiałaś. Skoro prowadzi cię ręka, która równie dobrze może być bogiem, jak mogłabyś zbłądzić? Nauczyć radzić sobie lepiej? Ludzie, którzy tam mieszkają i codziennie walczą, żeby nie odlecieć na skrzydłach, o które nigdy nie prosili, nie są lepsi od domowych zwierzątek.

– Byłeś kiedyś upierzony?

Ojciec uniósł brodę i spojrzał jej w oczy.

– Wolałbym umrzeć.

Lundy nic nie powiedziała. Jeśli ojciec domyślił się, co oznacza jej milczenie, nie dał tego po sobie poznać.

– Rok to dostatecznie długo, żeby pójść do szkoły – stwierdził. – Musisz zrozumieć ten świat, jeśli w ogóle masz kiedyś rozważyć wybranie jego zamiast swojego ukochanego Targu.

Lundy nadal milczała. Ojciec westchnął.

– Nie rób ze mnie potwora, Katherine. Gdybym nigdy nie był na Targu, gdyby był jakimś... jakimś zwyczajnym, ograniczonym człowiekiem, który nie ma powodu wierzyć w magię, naprawdę myślisz, że bez protestu przyjąłbym deklarację mojej piętnastoletniej córki, że wraca do domu tylko na rok? Zamknąłbym cię w jakimś miejscu o wiele mniej przyjemnym niż tamta droga szkoła z internatem, pod stałym nadzorem, a ty nie miałabyś szansy wrócić. Staram się być wobec ciebie sprawiedliwy. Staram się, jak mogę, choć czasem wydaje mi się, że mnie to zabije. Jestem twoim ojcem. Wierz albo nie, ale cię kocham i chcę jedynie powstrzymać przed zrobieniem błędu, który rozbije tę rodzinę.

– Dlaczego to miały być błęd?

Teraz z kolei on zamilkł. Lundy łypnęła na niego spode łba.

– Jeśli coś wiesz, powiedz mi – zażądała. – Chodzi o godzinę policyjną? Wiesz coś o niej?

– Oczywiście nic ci nie powiedzieli – stwierdził ojciec z goryczą. – Dlaczego mieliby mówić? Przecież już cię mieli. Ta godzina oznacza, że kiedy skończysz osiemnaście lat, to tak naprawdę już wybrałaś bez wybierania. Od dnia, kiedy znalazłaś drzwi, zaczęło się odliczanie czasu. Jeśli nie złożysz przysięgi przed osiemnastymi urodzinami, w ogóle nie będziesz mogła jej złożyć, a jeśli spróbujesz tam zostać po ostatecznym terminie, zostaniesz ukarana.

– Targ musi pozwolić mi zostać, jeśli będę miała dług – oświadczyła Lundy. – Usłyszelibyśmy coś o nim, gdyby nagle zaczęli się tu pojawiać ludzie z piórami, których nie mogliby się pozbyć. – Mimo to robak niepokojowi zaczął pełznąć po jej karku. Pióra mogły być sposobem, w jaki Targ kontrolował własną walutę, ale właściwie nie były karą. Lundy nie miała pojęcia, jaka mogłaby wyglądać kara.

– Targ nie musi nic robić – poprawił ją ojciec. – Targ nie jest twoim przyjacielem, za jakiego go uważasz. Gdyby nim był, dlaczego polowałby na dzieci, zamiast pozwolić im wpięć dorosnąć? On chce młodych. On chce uległych. Jeśli chce ciebie, to dlatego, że widzi w tobie coś, co może wykorzystać. Twoje życie jest najlepszą kartą przetargową, jaką masz.

Zanim zdecydujesz się ją wyłożyć, upewnij się, że rozumiesz, co otrzymasz w zamian.

Przez chwilę wydawało się, jakby zamierzał mówić dalej, ale on tylko wstrzymał oddech. Potem uniósł rękę i dodał:

– Jeśli mi wybaczysz, wziąłem dzień wolny, ale nadal muszę dokończyć papierkową robotę, zanim pójdziemy na zakupy. Potrzebujesz nowych ubrań do szkoły.

– A co z egzaminem?

– Przeprowadzimy go dzisiaj wieczorem – rzucił i odwrócił się do biurka.

Lundy rozumiała, kiedy jest odprawiana, więc wyszła z gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Łatwo byłoby iść dalej, stojąc samotnie w salonie. Podejść do drzwi, otworzyć je i ruszyć chodnikiem w stronę najbliższego zagajnika. Łatwo byłoby wygłosić deklarację pewności i czekać, aż pojawią się drzwi. Lundy przygryzła wargę, patrząc za okno. Niewiele osób wiedziało, że wróciła. Byłoby stosunkowo łatwo ukryć następne zniknięcie. Ostateczne zniknięcie. Tym razem odeszłyby na dobre.

Drzwi się otworzyły.

– Katherine?

Lundy drgnęła. Diana patrzyła na nią z powagą, trzymając dłoń na klamce.

– Myślisz, żeby znowu odejść, prawda? – zapytała. – Dokąd idziesz? Dlaczego wciąż mnie zostawiasz?

Bo gdybyś miała znaleźć Targ, Targ by ciebie odnalazł, pomyślała Lundy, ale na głos powiedziała:

– Do miejsca, które nie jest takie jak to. T... tata kazał mi obiecać, że nie będę o tym mówić. – Słowo „tata” zabrzmiało dziwnie w jej uszach. Od tak dawna go nie używała. Przy kilku okazjach, kiedy musiała wspomnieć o nim na Targu, mówiła „ojciec”. Nic osobistego.

– On nie lubi, kiedy ludzie pytają, gdzie jesteś – wyznała Diana. – Ja też tego nie lubię, bo to mi zawsze przypomina, że cię nie ma. Jesteś głodna? Jak wracam do domu, robię sobie kanapkę z masłem orzechowym i pianko-

wym kremem. Mama mówi, że popsują mi się zęby, ale jest jeszcze w pracy, więc się nie przejmuję.

– Mama ma pracę?

– Kiedy pojechałaś do szkoły z internatem, a ja poszłam do przedszkola, powiedziała, że nie chce siedzieć sama w domu przez cały dzień. – Diana wzruszyła ramionami. – Jest sekretarką w elektrowni. Mówi, że jest w porządku, i lubi to, że może kupować w sklepie spożywczym lepsze rzeczy. Chcesz kanapkę?

– Jasne – powiedziała Lundy nieszczercze.

Powłokła się za Dianą do kuchni i obserwowała, jak praktycznie obca dziewczynka, która była jej siostrą, wyjmuje produkty z szafek. Bardzo dużo się tutaj zmieniło, ale wiele rzeczy wyglądało tak samo, co jeszcze bardziej podkreślało różnice. Lundy nie mogła zaufać swojej pamięci. Albo dokonano tu jakiegoś przemeblowania, albo wszystko źle zapamiętała, ale równie dobrze mogłaby to być jej pierwsza wizyta w tym domu.

Uświadomiła sobie, że oblicza wartość noża, którym Diana rozsmarowywała masło na chlebie. Zawstydzona odwróciła głowę. Te rzeczy nie należały do niej. Raz wróciła, żeby ukraść, kiedy była młodsza i nie rozumiała, że jeśli coś znajduje się w jej domu, nie znaczy, że ona ma do tego prawo. Tym razem wróciła, żeby się pożegnać. Uczciwą ceną za okradzenie tej rodziny z córki był rok, nie więcej. Z pewnością nie rok i całe srebro stołowe.

– Mają kanapki z masłem orzechowym tam, gdzie byłaś? – spytała Diana od niechcienia.

Lundy uniosła brwi.

– Próbujesz podstępem mnie nakłonić, żebym ci powiedziała.

– Yhm. – Diana nałożyła kremową maź na dwie kromki białego chleba. – Nie lubię tajemnic. Wszystko było tajemnicą przez cały czas, odkąd zniknęłaś. Gdzie jest Katherine, dokąd pojechała, uciekła czy została porwana, och, wróciła, gdzie była, teraz wyjeżdża do szkoły z internatem, dlaczego, dlaczego, dlaczego? – Z większą siłą, niż to było konieczne, Diana wsadziła nóż do słoika. – I chyba to dobrze, bo byłam taka mała, kiedy odeszłaś, że pewnie bym cię zapomniała. Ale to głupie. Jesteśmy rodziną. Powinnam wiedzieć takie rzeczy. Powinnam wiedzieć teraz.

Lundy się jej przyjrzała i dostrzegła między nimi pewne podobieństwa. Dostrzegła też dzielące je różnice. Diana była bystrzejsza niż ona w tym wieku, ostra jak nóż gotowy do tego, żeby ciąć świat i nie przestawać, aż on

da jej to, czego chciała. Lundy zawsze była bardziej igłą, ostrożną i precyzyjną, podążającą wzdłuż linii wyznaczonych przez zasady, nigdy ich nieprzekraczającą. Może dlatego Targ przyszedł po nią, a nie po jej siostrę. Może wiedział, że nigdy nie dałby Dianie uczciwej ceny.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie mogę. Obiecałam.

– Tak jak obiecałaś zostać przez rok? – Diana odłożyła nóż i gwałtownie złożyła kawałki chleba, wciskając piankowy krem w masło orzechowe. – To nic. Nie zobaczysz, jak dostaję się do szkoły średniej, ani nie będzie cię, żeby rozmawiać ze mną o chłopcach albo o niczym. Równie dobrze mogłaś w ogóle nie wracać, skoro zamierzałaś wrócić tylko na rok.

– Tylko tyle czasu mam – odpowiedziała Lundy słabym głosem.

– Wcale nie. – Diana się odwróciła i wcisnęła jej do ręki kanapkę jak akt oskarżenia. – Masz całe życie. Masz moje całe życie. Dwa całe życia, które mogłybyśmy spędzić jako siostry, a ty dajesz mi tylko rok. To niesprawiedliwe.

– Tak naprawdę mnie nie znasz.

– Przez ciebie. – Diana spiorunowała ją wzrokiem. – Rok to jest nic.

– Powiedz to kalendarzowi. – Kanapka ciążyła w dłoni Lundy, ciążyła słodczą. – Spędzimy cały rok na kłótniach? Czy wtedy łatwiej będzie ci pozwolić mi odejść?

– Nie chcę. – Diana skubnęła brzeg kanapki. – Wolę, żebyśmy były siostrami.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. – Diana wzruszyła ramionami. – Nigdy żadnej nie miałam. Lundy się uśmiechnęła.

– Dowiedzmy się.

Egzaminy okazały się łatwiejsze, niż Lundy się spodziewała. Albo jej przerywana, chaotyczna edukacja w chacie Archiwistki była bardziej wszechstronna, niż można by sądzić, albo szkoły w tym świecie przygnębiająco łatwe. Tak czy owak, Lundy zdała wszystko oprócz historii, a ponieważ jej ojciec się tego spodziewał, wygodnie umościł ją w łonie klasy wyrównawczej, gdzie brak wiedzy o bieżących i minionych wydarzeniach raczej nie mógł jej zaszkodzić.

W poniedziałek rano wcisnęła się na tył samochodu ojca obok Diany, która bawiła się suwakiem logarytmicznym. Nie miała nic przeciwko temu miejscu. Nigdy w życiu nie pozwalano jej jeździć z przodu, bo był to przywilej zarezerwowany dla dorosłych i dla starszych braci. Siedzenie obok kierowcy wydawałoby się jej teraz dziwne, jakby rościła sobie pretensje do dorosłości, której w rzeczywistości wcale nie chciała.

Szkoła była deprymująco i przerażająco pełna ciał – uczniów, z których część pamiętała ją jako „Katie z drugiej klasy”, trochę więcej jako „tę dziewczynę, która zniknęła”, a większość w ogóle jej nie pamiętała; nauczycieli, którym powiedziano, żeby traktowali ją łagodnie po ostatniej, choćby fikcyjnej, chorobie – klas i korytarzy, z których wszystkie wydawały się niewłaściwe.

Ale były tam również książki, lekcje i zasady. Zasady, których mogła się nauczyć, a potem przestrzegać. Diana nadal chodziła do szkoły ich ojca i zносиła pogardę uczniów, którzy nie chcieli, żeby widziano ich w towarzystwie córki dyrektora, ale tutaj, w liceum, Lundy mogła w końcu przebywać wśród rówieśników i się nie wyróżniać. Była kolejną uczennicą, dziwną, nieznaną, ale jedną z nich. Zwyczajną. Normalną.

Wyróżniała się jako dziecko, kiedy na jej samotnych barkach ciążyło zbyt dużo władzy, i wyróżniała się na Targu jako letnia turystka, tropicielka i dziewczynka, która pomogła zabić Królową Os i walczyła o bezpieczeństwo ich granic, choć jeszcze nie złożyła przysięgi obywatelskiej. Zwyczajność była dla niej nowym doświadczeniem. Choć miała wrażenie, że wszystko dzieje się w mgnieniu oka, chodziła do szkoły przez wiele tygodni, uczyła się różnych przedmiotów, natury rówieśników, zasad, które ich obowiązywały, i tych, które dotyczyły wyłącznie jej edukacji.

Jednocześnie poznawała swoją siostrę.

Porozmawiajmy przez chwilę o kwestii sióstr. Potrafią one być walczącymi ze sobą wrogami albo towarzyszkami, które mogą na sobie polegać. Czasami potrafią być dla siebie obce. Nie wymaga się od nich, żeby angażowały się nawzajem w swoje życie, były przyjaciółkami albo kimś więcej niż nieznanymi połączonymi przez okoliczności swoich narodzin. Mimo to w słowie „siostra” jest magia, magia, która opowiada o wspólnych korzeniach i wspólnych gałęziach, o pewnej swobodzie, do której zawsze należy dążyć, choć nie zawsze się ją znajduje.

Jeszcze pilniej niż szkolnych przedmiotów i zasad znajomego, choć nagle obcego świata, Lundy uczyła się swojej siostry.

Diana nie przepadała za czytaniem, ale miała dryg do rysowania, a jej pastele o całe lata wyprzedzały prace innych dzieci z jej klasy. Lubiła jeździć na rowerze i przez lata denerwowała się z powodu ograniczeń, które nie istniały, kiedy Lundy była dzieckiem: ograniczeń, które, jak podejrzewała, wynikały z jej winy. Diana uwielbiała słodczyce, nie znosiła buraków, kochała malować paznokcie na czerwień jaskrawszą, niż pochwalał ojciec, zmywała naczynia bez narzekania, ale nienawidziła mycia okien. Była osobą. Lundy przypuszczała, że od zawsze. Jedynie różnica wieku nie pozwalała jej wcześniej tego dostrzec.

Co ważniejsze, Lundy ją lubiła. Diana była szczera, zabawna i ostra, kiedy musiała; przypominała jej Drwinę, tylko że młodszą i nadal żywą, która w cudowny sposób znalazła się tutaj. Zamierzała być artystką, podróżować po świecie i ujrzyć swoje obrazy w najlepszych galeriach, w najbardziej prestiżowych muzeach.

Gdy po raz pierwszy zdradziła Lundy swoje cele, zrzęda jej mina. Spojrzenie, które posłała siostrze, w połowie wyrażało miłość, a w połowie nienawiść.

– Ale chyba tak się nie stanie – stwierdziła. – Kiedy twój rok się skończy, ty znikniesz, a ja wrócę pod klucz.

– Szesnaście to nie osiemnaście – odpowiedziała Lundy. – Oni rozumieją.

I zrozumieli, że jest w tym piękno: kiedy rok dobiegł końca, a ona poszła szukać drzwi, o których wiedziała, że tam są, zobaczyła, że Archiwistka i Księżyc czekają na nią po drugiej stronie portalu. Księżyc uśmiechnęła się na jej widok, a potem spojrzała na jej ubranie – czyste, obcisłe, nienadające się do biegania po lesie – i na puste ręce. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Och, więc tak będzie. – Wręczyła Lundy placek, odwróciła się i odeszła.

Lundy patrzyła za nią oniemiała. Dopiero kiedy Księżyc już nie było widać, spojrzała na Archiwistkę i powiedziała:

– Jej oczy. Są prawie brązowe.

– Ona codziennie bierze i daje uczciwą cenę – skwitowała Archiwistka i zmierzyła ją wzrokiem. – Szesnaście lat. Jesteś tu na dobre?

Lundy spojrzała na placek, który trzymała w rękach.

– W następnym tygodniu są urodziny mojej siostry. Obiecałam jej, że będę na przyjęciu. Ale potem wrócę.

– Och, dziecko. – Archiwistka wyciągnęła rękę i dotknęła jej twarzy, łagodnie jak szept, tak odległy od policzka jej matki. – Zawsze będą jakieś urodziny. Zawsze będą święta, pogrzeby albo chrzciny. Jeśli będziesz zwlekać, możesz stwierdzić, że już nie jesteś pewna.

– Jestem pewna – oświadczyła Lundy. – Po prostu potrzebuję więcej czasu.

– Dobrze. Ale zostało go niewiele.

Lundy się odwróciła i weszła do korytarza. Archiwistka, która wszystko to już wcześniej widziała, odprowadziła ją wzrokiem.

Uczciwa cena

Kiedy się słyszy o czyichś przygodach w dalekiej, magicznej krainie, łatwo powiedzieć: „Nigdy nie wybrałabym tego świata zamiast fantastycznego. Pobieglabym w tęczowe rzeki tak szybko, jak poniosłyby mnie nogi, i nawet bym się nie obejrzała”. Kiedy ma się luksus pewności, że coś nigdy się nie wydarzy, często łatwo jest być równie pewnym odpowiedzi. Niestety rzeczywistość ma zwyczaj komplikowania spraw, nawet tych, które według nas nie powinny być takie skomplikowane.

Lundy wróciła do rodzinnego domu. Obchodziła urodziny siostry. Jej matka, której oczy straciły trochę pustki, upiekła tort cytrynowy, tak jak dawno temu, kiedy Diana była jeszcze marzeniem w jej brzuchu, a Lundy spokojną, powściągliwą rzeczywistością.

Daniel przyjechał do domu na przepustkę z wojska. Gapił się na Lundy jak na jakiś cud, a kiedy zapytał ją, czy będzie, kiedy zjawi się na gwiazdkę, odpowiedziała, że tak, zanim zdążyła się zastanowić.

Jej siedemnaste urodziny nadeszły i minęły pośród lawiny prezentów i kartek z życzeniami, w ciepłe, które zdawało się obejmować dom, w miarę jak kolejny dzień oddalał ich od czasów, kiedy Lundy była zjawą, a nie postacią.

Trzy razy Lundy wracała na Targ, wymykała się w niestrzeżone popołudnia – bo teraz mniej jej pilnowali, gdy już zaczęli akceptować, że jest rzeczywista – i trzy razy wracała do wygodny łóżka z dzieciństwa, do towarzystwa siostry, która dorastała na tyle fantastycznych, nieoczekiwanych sposobów, którą trzeba było chronić przed surowością ojca, przed wiszącym w powietrzu niepokojem matki. Trzy razy Archiwistka czekała na nią na końcu korytarza i za każdym razem przypominała jej, że osiemnastka nadejdzie szybciej, niż Lundy sądzi.

Trzy razy Lundy mówiła: „Wiem. Staram się dać uczciwą cenę” i wracała do życia, które tak chętnie porzucała w wieku ośmiu, jedenastu i trzy-

nastu lat. Nigdy nie dokonała wyboru. Nigdy nie powiedziała: „To jest dzień, kiedy osiądę na stałe w świecie, którego nie chciałam”.

Nigdy nie musiała.

Stała w kuchni, patrząc na kalendarz i licząc dni do osiemnastych urodzin, kiedy siostra wpadła do pokoju i zatrzymała się raptownie, wodząc wzrokiem od Lundy do kalendarza.

W końcu zapytała cichutkim głosem:

– Znowu odejdziesz?

– Muszę. – Lundy się do niej odwróciła. – Ja nie... tu nie jest moje miejsce, Diano. Wszystko jest nie tak. Woda, powietrze, to, jak ludzie stoją, rzeczy, które mówią... Jest tak, jakbym znajdowała się w bardzo długiej podróży, i ona była wspaniała, naprawdę, tyle się nauczyłam, uwielbiałam poznawać cię lepiej, ale nie mogę zostać. Tęsknię za domem.

Nigdy nie była dobrą mówczynią. Gdyby nią była, potrafiłaby trochę lepiej wyjaśnić, ile rzeczy kryje się w pojęciu „dom”. Nie tylko smak wody i zapach powietrza, ale sposób, w jaki dojrzewały jagody, z białych stawały się granatowe przez jedną noc, tak że podszycie lasu wciąż się zmieniało. Dźwięk skrzydeł, kiedy nigdy nie było wiadomo, czy to mieszkaniec, który wpadł w zbyt duże długi, czy ptak, który urodził się do posiadania piór i nieba. Pewność, że Targ szybko i sprawiedliwie wyrówna wszelką nierównowagę, nigdy nie uprzywilejowując żadnej ze stron.

Nawet wygląd ludzi Lundy odbierała tutaj jako niewłaściwy. Na Targu Goblinów nie była jedynym człowiekiem, ale tutaj dziwnie jej się szło ulicą, kiedy widziała tylko dwunożne istoty z dwiema rękami i jedną głową, bez żadnych skrzydeł i ogonów. Trudno było nie tęsknić za krzepiącą różnorodnością zamiast czasami szokującej jednolitości.

Oczy Diany napełniły się łzami.

– Myślałam, że mnie kochasz.

– Kocham cię, Diano. Naprawdę, ale miejsce, do którego należę... – Lundy się zawahała. – Jeśli tam nie wrócę, zanim skończę osiemnaście lat, w ogóle nie będę mogła wrócić. Nie wyobrażam sobie, że starzeję się w tym świecie. Przepraszam, nie potrafię. Jeśli zostanę dłużej, mogę tu utknąć w pułapce.

– Chciałam.... – Diana potrząsnęła głową. – Chciałam, żebyś zobaczyła, jak idę do szkoły średniej. Chciałam mieć siostrę. Nie możesz zostać i być moją siostrą?

Lundy milczała, aż w końcu cichym głosem powiedziała:

– Mogę spróbować.

Spójrzcie na nią teraz, prawie kobietę, formalnie nadal dziecko, jak biegnie między drzewami z objijającą się o biodro torbą na zakupy ze wszystkim, co zdołała do niej wrzucić: widelcami, łyżkami, świecami, koronkowymi serwetkami i wrotkami; jak jej stopy dudnią po ziemi. Jak ona biegnie, Katherine Lundy, słodka siedemnastolatka, której zaczyna kończyć się czas.

Jak ona biegła.

Dotarła do drzwi, otworzyła je gwałtownie, wskoczyła do środka, popędziła korytarzem, obok zasad, i wypadła na nocne powietrze, które pachniało słodko, pachniało jak dom.

Biegła dalej.

Żaluzje na straganie Vincenta były opuszczone. Księżyc, która stała się młodą kobietą, kiedy Lundy nie patrzyła – kiedy robiła to samo w obcym świecie – uniosła głowę znad ciasta, które zagniała, a jej zaskoczenie powoli zmieniło się w radość.

– Lundy! – krzyknęła. – Wróciłaś do domu? Wreszcie jesteś w domu? Tak się martwiłam. Myślałam...

– Muszę przestać – przerwała jej Lundy.

Księżyc zamrugała.

– Co?

– Muszę przestać – powtórzyła Lundy. – Moja siostra nie jest gotowa mnie puścić, a Archiwistka powiedziała, że muszę złożyć przysięgę, zanim skończę osiemnaście lat. Gdybym mogła przestać się starzeć, nie skończyłabym osiemnastu lat. Muszę jeszcze trochę zostać taka, jaka jestem, aż Diana będzie potrafiła mnie puścić, a ja będę mogła wrócić do domu. Pomożesz mi? – Uniosła torbę. – Jestem gotowa dać uczciwą cenę.

– Ja...

– Proszę.

Księżyc powiedziała cichym głosem:

– Chodź ze mną.

Potem się odwróciła, nie zdejmując fartucha, i odeszła od ciasta leżącego na ladzie.

Lundy podążyła za nią. Razem, choć niezupełnie obok siebie, przeszły przez cały Targ, aż dotarły do znajomego szlaku. Gdy ujrzały małą, rozpadającą się chatę, Księżyc się zatrzymała. Lundy spojrzała na nią z ciekawością.

– Tylko dotąd mogę iść – powiedziała Księżyc. – Byłaś moją najlepszą przyjaciółką. Pamiętaj o tym, dobrze? Bardzo cię kochałam. Nawet jeśli ty byłaś całkiem pochłonięta swoimi sprawami. – Potem odwróciła się i odeszła.

Lundy patrzyła za nią przez chwilę, a potem z ciekawością ruszyła w stronę chaty. Drzwi były zamknięte. Otwarcie ich wydawało się niewłaściwe. Zamiast tego Lundy zapukała.

Drzwi się uchyliły. W środku była Archiwistka. Ze znużeniem spojrzała na Lundy i spytała:

– Więc jednak przyszedłeś mnie o to poprosić, prawda?

– Ja... – Lundy wzięła głęboki oddech. – Moja siostra mnie potrzebuje. Nie chcę skończyć osiemnastu lat. Muszę poczekać. Możesz mi pomóc zaczekać?

– Lundy...

– Proszę.

– Nie chcesz tego, o co prosisz. Wróć do domu. Zostań z nami. Bądź bezpieczna, szczęśliwa i zostań.

Lundy, miłośniczka zasad, miłośniczka luk, pokręciła głową. Nieustępliwa, znalazła rozwiązanie.

– Nie. Jeśli nie skończę osiemnastu lat, godzina policyjna nie będzie mnie obowiązywać. Będę mogła zostać. Proszę.

Archiwistka zamknęła oczy na dłuższą chwilę. Kiedy je otworzyła, znużenie zastąpił smutek.

– Możesz podać uczciwą cenę?

Lundy bez słowa wyciągnęła przed siebie worek ze skradzionymi rzeczami. Archiwistka przejrzała jego zawartość i westchnęła.

– Zaczekaj tutaj – powiedziała i zniknęła w głębi chaty.

Kiedy wróciła, już nie miała worka. Zamiast niego trzymała w ręce małą fiolkę koloru dojrzałych truskawek, zrobioną z jednego kawałka jasnego kryształu. Podała ją Lundy, mówiąc:

– Jeśli to wypijesz, nie skończysz osiemnastu lat. Ale to nie jest... Proszę. Zadałaś pytanie, zapłaciłaś, ale proszę. Będą konsekwencje, jeśli to zrobisz. Zostań. Proszę. Po prostu zostań.

– Jakiegokolwiek będą konsekwencje, poniosę je – oświadczyła Lundy, otworzyła fiolkę i wychyliła ją do dna.

Płyn smakował jak woda. Smakował jak nic. Smakował jak łyż. Archiwistka znowu westchnęła. Lundy na nią spojrzała i zobaczyła łyż w jej oczach.

– Zasady to zasady – powiedziała Archiwistka. – Ustala się je z jakiegoś powodu. Ja ustalam je z jakiegoś powodu.

Oczy Lundy się rozszerzyły.

– Co?

– Imiona mają moc. Tytuły również. Nazywają mnie „Archiwistką”, bo byłoby zniewagą mówić do mnie po imieniu. Ale ja byłam tutaj pierwsza i będę ostatnia, a Targ żyje, bo jestem jego sercem. Tak bardzo cię kochałam. Naprawdę.

– Ja nie...

– Prosiłam cię, żebyś pamiętała o godzinie policyjnej, i pamiętałaś, ale nie dałaś mi za nią uczciwej ceny, bo zapomniałaś o Drwinie. – Archiwistka, Targ, zamigotała i przez chwilę była dziewczynką z białymi piórami we włosach, piórami łabędzia, którym mogłaby się stać, gdyby żyła, gdyby miała czas dorosnąć. – Zapomniałaś, że czasami uczciwa cena łączy się ze zmianą, śmiercią, poświęceniem. Nie możesz dać uczciwej ceny i mieć wszystko. Nie możesz zatrzymać zegara i spodziewać się, że pozostaniesz częścią tego świata. Przestrzegałaś zasad, moja droga, moja mała Lundy, ale w tym samym czasie je zdradziłaś, więc twoja kara będzie karą, jaka czeka wszystkich łamiących zasady, bo złamanie zasady boli nas wszystkich. Wygnanie. Odejdź.

Oczy Lundy się rozszerzyły.

– Jak mam zrobić, żeby po wypiciu tego eliksiru znowu zacząć się starzeć?

Targ się uśmiechnął, zrozpaczony.

– Nic nie możesz zrobić.

Archiwistka zamknęła drzwi.

Lundy próbowała do nich sięgnąć, ale stwierdziła, że nie może się ruszyć. Nie może oddychać. Nie mogła zrobić nic, tylko stać i walczyć o powietrze, aż w końcu odwróciła się i pobiegła z powrotem drogą, którą przyszła.

Ludzie, których mijala, nie patrzyli jej w oczy. Stragan Vincenta był zamknięty. Księżyc nigdzie nie było widać. Lundy biegła dalej, walcząc

z bólem z płucach. Z odrzuceniem, które czuła wszędzie wokół siebie, aż pojawiły się drzwi i otworzyły, żeby ją przyjąć.

Nie poczuła ulgi nawet w korytarzu, który napierał na nią, jakby próbował ją z siebie siłą wycisnąć. Lundy chwiejnie dotarła do ostatnich drzwi, wytoczyła się przez nie i opadła na kolana, dysząc.

Kiedy odzyskała oddech, spojrzała za siebie. Drzwi zniknęły.

– Byłam pewna – wyszeptała.

Odpowiedziała jej cisza.

Epilog

Chodźcie, kupujcie

1990

Kobieta, która wyglądała na pięćdziesiąt kilka lat i była ubrana, jakby nigdy nie trafiła na swój kolor, wysiadła z samochodu i popatrzyła na dom. Wyglądał całkiem zwyczajnie pod każdym możliwym względem, podobnie jak miasteczko, w którym stał. Lecz ona wiedziała swoje. Potrafiła uważnie słuchać, co czasami było najcenniejszą rzeczą, a usłyszała plotki, opowieści o dziewczynce, która się starzała nie tak, jak powinna, tylko na odwrót, jakby dla niej wskazówki zegara biegły do tyłu.

(Jedna z tych plotek pojawiła się w formie listu od młodszej siostry tej dziewczynki, obecnie starszej, mądrzejszej i smutniejszej. „Moja siostra zniknęła, kiedy byłem dzieckiem. Teraz mój syn zrobił to samo, a ja myślę, że to dzieje się znowu i że ona nadal potrzebuje kogoś, kto ją uratuje...”)

– Cóż – powiedziała kobieta i ruszyła dalej.

Dzwonek dobrze działał; jego dźwięk wyraźnie rozbrzmiał we wnętrzu. Kobieta czekała.

Drzwi uchyliły się kilka minut później.

– Moich rodziców nie ma w domu – powiedziała dziewczynka, która wyglądała na nie więcej niż czternaście lat, ale miała oczy kobiety dorosłej i potępionej.

– Wiem, kochanie. – Nieznajoma się uśmiechnęła. Wyraźnie starała się być czarująca. – Nazywam się Eleanor West. Szukam pani od jakiegoś czasu, panno Lundy. Myślę, że zostaniemy bardzo dobrymi przyjaciółkami, pani i ja.

Lundy powoli otworzyła drzwi szerzej, ale nie odezwała się słowem, patrząc na Eleanor.

Nie było to może szczęśliwe zakończenie. Lecz właśnie takie dostały, więc zostawimy je i ruszymy dalej, jeszcze dalej, w stronę następnych cier-

pliwie czekających drzwi.